



Diamantowy
PLAC

MERCÈ RODOREDÀ

TLUMACZENIE ZOFIA CHĄDZYŃSKA

Diamantowy
PLAC

MERCÈ RODOREDA

Tłumaczenie
ZOFIA CHĄDZYŃSKA

Pascal

Copyright © Institut d'Estudis Catalan 1962

Copyright © for the Polish edition Wydawnictwo Pascal Sp. z o.o. Wszelkie prawa zastrzeżone

Tytuł oryginalny: *La plaça del diamant*

Tytuł: *Diamentowy plac*

Autor: *Mercè Rodoreda*

Tłumaczenie: *Zofia Chądzyńska*

Tłumaczenie prologu: *Rozalya Kośmider-Sasor*

Zdjęcie autorki: © *Arxiu Mercè Rodoreda de l'Institut d'Estudis Catalans*

Redakcja techniczna: *Jarosław Jabłoński*

Koordynator projektu: *Kamila Trusiewicz*

Opieka kreatywna: *Łukasz Wolak*

Korekta: *Katarzyna Ziola-Zemczak*

Projekt graficzny okładki: *Mariusz Mrotek*

Zdjęcia na okładce: *Edwin L. Wisherd/National Geographic Society/Corbis*

Dmitry Rukhlenko/Corbis

Wydawnictwo Pascal sp. z o.o.

ul. Zapora 25

43-382 Bielsko-Biała

www.pascal.pl

pascal@pascal.pl

Bielsko-Biała 2014

ISBN 978-83-7642-395-1

eBook maîtrisé par [Atelier Du Châteaux](#)

A.J.P.

My dear, these things are life
Meredith

PRZEDMOWA

Diamentowy Plac zaczyna się tak: „Julietta specjalnie wstąpiła do sklepu, gdzie pracowałam, żeby mi opowiedzieć, że przed główną loterią na „ramo” odbędzie się losowanie maszynek do kawy, że już je oglądała, piękne, całe białe, z wymalowaną na każdej pomarańczą przeciętą na pół, tak że widać cząsteczki”. Pisząc to pierwsze zdanie, nie przypuszczałam nawet, że ćwierć wieku później moja powieść będzie mieć tyle wydań po katalońsku i tyle przekładów na inne języki.

Kiedy ją pisałam, zupełnie nie pamiętałam, jak naprawdę wyglądał Diamentowy Plac. Pamiętałam jedynie, że kiedy miałam trzynaście albo czternaście lat, poszłam z ojcem przejść się ulicami dzielnicy Gràcia z okazji *festa major*. Na Diamentowym Placu ustawiono namiot. Tak jak i na innych placach, rzecz jasna, ale najlepiej zapamiętałam właśnie ten. Kiedy go mijала, a cały aż rozbrzmiewał muzyką, miałam desperacką ochotę zatańczyć, tyle że byłam z tych, co to im rodzice nie pozwalali tańczyć, więc wlokłam się niczym pokutująca dusza przystrojonymi ulicami. Być może z winy tej frustracji, wiele lat później, w Genewie, zaczęłam powieść właśnie tamtym namiotem.

Jestem córką dzielnicy Sant Gervasi de Cassoles, wąskiej i krótkiej ulicy, która w tamtych czasach biegła od carrer de Pàdua do riera de Sant Gervasi, i nazywała się carrer de Sant Antoni. Później zmieniono jej nazwę na carrer de París, a jeszcze później otrzymała imię Manuela Angelona, które zachowała do dziś. Z Sant Gervasi nie jest wcale daleko do Gràcia. Znałam tam kina Trilla, Smart i Mundial, do których popołudniami chodziłam z dziadkiem. Znałam też targ Santa Isabel, gdzie chodziłam latem, w wieku pięciu czy sześciu lat, przecinając ulicę Torrent de l’Olla, gdy zaczynało się już ściemniać, z jedną z sąsiadek kupować rybę. Kiedy miałam piętnaście albo szesnaście lat, przez długi czas chodziłyśmy z matką każdego popołudnia na spacer po carrer Gran. Zaczynałyśmy od Rambla del Prat, schodziłyśmy aż do Jardinets i wracałyśmy drugą stroną ulicy, oglądając wystawy sklepowe.

Wszystkie wspomnienia, jakie zachowałam o Gràcii, są mi bardzo bliskie. Teraz te miejsca są daleko, ale myśl o nich, gdy ogarnia mnie nostalgia, dobrze mi robi. Wiele razy i w wielu okolicznościach tamte wspomnienia były mi pociechą.

Chciałabym, aby ci, którzy będą czytać moją powieść, towarzyszyli mi w tym wzruszeniu. Sprawia mi radość myśl, że wśród tylu tysięcy czytelników, jakich miała i wciąż ma moja książka, jest wielu takich, którzy nigdy nie przeczytali niczego po katalońsku, a czytając ją, odkryli, że nasz język jest cywilizowany, wyrafinowany i ważny. Sprawia mi radość również inna myśl, a mianowicie, że ta prosta i ludzka powieść zniosła nazwę Diamentowego Placu z Gràcii, a z nim także Katalonii, do tak wielu odległych krajów.

Pisanie przedmów, czyli mówienie o sobie (czy też o własnej książce, co jest tym samym), nigdy mnie specjalnie nie interesowało.

Opowieść o początkach *Diamentowego Placu* być może byłaby ciekawa. Ale czy da się opowiedzieć, jak powstaje powieść? Jaki impuls ją wywołuje, jak silna musi być wola, by kontynuować pisanie, by ukończyć z trudem to, co zaczęło się tak łatwo? Czy starczy, jeśli powiem, że rozmyślałam nad nią w Genewie, patrząc na górę Salève albo spacerując po Perle du Lac? Mogę powiedzieć, i po części będzie to prawdą, że *Diamentowy Plac* jest konsekwencją pewnego rozczarowania.

Wysłałam powieść *Jardí vora el mar* (*Ogród nad brzegiem morza*) na konkurs o nagrodę Joanota Martorella (jak się okazało, na ostatni, jaki ogłoszono), a jury ją odrzuciło. Niepowodzenie to wywołało u mnie reakcję przeciwną naturalnej, ponieważ trudności zawsze pobudzały mnie do działania. Gnana siłą urażonej dumy zaczęłam pisać nową powieść.

Chciałam, żeby była to powieść kafkowska, bardzo kafkowska, i oczywiście absurdalna, i pełna gołębi. Chciałam, żeby te gołębie dławily główną bohaterkę od samego początku aż do końca. I tak zaczęła się we mnie rodzić, nim jeszcze usiadłam do maszyny do pisania, ze stosem kartek na boku, które miały się stać *Diamentowym Placem*. Pisałam ją jak w gorączce, jakby każdy dzień pracy miał być ostatnim dniem mojego życia.

Pracowałam jak nieprzytomna, poprawiałam po południu to, co napisałam rano, starając się, mimo pośpiechu, z jakim pisałam, mocno trzymać lejce, aby koń się nie znarowił i nie zboczył z drogi. Niektórzy mówią o wybuchu twórczym. Nie wiem, co mają na myśli. Pisanie powieści to praca wymagająca wytrwałości, spokoju i panowania nad sobą samym.

A powieść, która z początku miała być złym snem o gołębiach, zaczęła stopniowo zmieniać się w *Diamentowy Plac*, również z gołębiami, ale teraz w innym znaczeniu. Był to okres wielkiego napięcia nerwowego i doprowadził mnie niemal do choroby. Z tym że *Diamentowy Plac* wysłany na pierwszy ogłoszony konkurs o nagrodę San Jordi, został potraktowany tak samo, jak *Jardí*

vora el mar na ostatnim Joanocie Martorellu.

Kiedy powieść się ukazała, mój przyjaciel, Baltasar Porcel, choć bardzo ją chwalił, powiedział, że Colometa jest głupią dziewczyną. Uważam tę opinię, rzuconą bez namysłu, za błędną. Spoglądanie na świat oczami dziecka, w nieustannym zachwycie, nie oznacza bycia głupim, wręcz przeciwnie. Poza tym Colometa robi to, co powinna robić w sytuacji, w jakiej postawiło ją życie, a robienie tego, co należy robić i nic ponadto, ukazuje naturalny talent godny wszelkiego uznania. Uważam, że Colometa jest mądrzejsza od Madame Bovary albo Anny Kareniny, a nikomu nigdy nie przyszło do głowy, by mówić o nich, że są głupie. Może dlatego, że były bogate, chodziły ubrane w jedwabie i miały służbę. A chociaż ja sama, kiedy byłam młoda, marzyłam, by być Madame Bovary albo Anną Kareniną, chętniej tą drugą niż pierwszą, gdy potrzebowałam głównej bohaterki powieści wybrałam Colometę, która w tym jest tylko podobna do mnie, że czuje się zagubiona w świecie.

O rzeczach (meblach, zegarach, wskazówkach zegarów i ich wahadłach, obrazach, kształtach i kolorach foteli i kanap, lampach oliwnych i lampach stojących, dywanach i baldachimach) mówi się w każdej powieści. Od Balzaka przez Tołstoja po Prousta, by wymienić tylko najważniejszych. Rzeczy mają niezwykłą wagę w narracji i miały ją na długo przed tym, jak Robbe-Grillet napisał *Podglądacza*. W *Diamentowym Placu* jest całe mnóstwo rzeczy: lejek, ślimak, lalki z „Domu Cerat”... wszystkie detale mebli, dzwonków elektrycznych i drzwi domu, gdzie miała pracować. Są złote pieniądze ojca Joana, które dał Quimetowi na wypadek, gdyby był w potrzebie. Są wagi wyrysowane na ścianie klatki schodowej. I nóż, symbol seksualny, którym pod koniec książki Colometa wykrobuje swoje imię na drzwiach domu, gdzie kiedyś mieszkała.

Tyle że w *Diamentowym Placu* są nie tylko rzeczy, przede wszystkim jest w nim osobowość Colometry. Podsunęła mi ją bohaterka mojego dawnego opowiadania ze zbioru *Dwadzieścia dwa opowiadania*, zatytułowanego *Popołudnie w kinie* i zainspirowanego *Kandydem*. Gdyby Voltaire nie napisał *Kandyda*, możliwe, że *Diamentowy Plac* nigdy by nie ujrzał światła dziennego. Wpływ Jamesa Joyce’a? Możliwe, że zakończenie mojej powieści wzięło się ze słynnego monologu Ulissesa. Ale słuszniej byłoby szukać źródeł dla rozdziału XIII *Diamentowego Placu*, tego o śmierci matki Quimeta, w którymś z opowiadań z *Dublińczyków*.

Gdybym nie czytała Bernata Metge, nie przyszłoby mi do głowy kazać Colomecie opisywać wygląd jej młodego małżonka. Bernat Metge opisał wdzięki swojej ukochanej, a rozdział ten, będący przykładem doskonałości stylu i języka,

nazywa się „Opis dziewczyny”. Kilka stron, które z powodzeniem mogłyby rywalizować z najlepszą światową literaturą. „Opis dziewczyny” Bernata Metge podsunął mi pomysł na „opis chłopca”, czyli Quimeta, który czytelnik może znaleźć w rozdziale VIII mojej powieści. Jestem wdzięczna Bernatowi Metge za to, że dał mi dużo więcej, niż sobie zasłużyłam. I proszę go gorąco, aby wybaczył mi zapożyczenie.

Powinnam przyznać się do wielu jeszcze wpływów, do których należałoby zaliczyć wszystkie moje lektury, poczynając od *Biblii*. Chcę też potwierdzić, ponieważ nie wszyscy tak sądzą, że *Diamentowy Plac* jest powieścią o miłości. O miłości napisano bardzo dużo. Od miłości najbardziej natchnionej i rycerskiej po tę najbardziej cielesną, w jakimś sensie ukazaną w jednej z najbardziej pretensjonalnych powieści – a wylano z ich powodu całe morze atramentu – stworzonej przez wybitnego pisarza D.H. Lawrence’a. Mam na myśli *Kochanka Lady Chatterley*. Jednak najwznioślejsza i najbardziej poruszająca rzecz o miłości, jaką napisano, to historia Franceski da Rimini z V pieśni *Piekieła Boskiej Komedii*. Historia rozpoczynająca się tymi oto cudownymi wersami:

*Siede la terra dove nata fui
su la marina, dove'l Po discende
per aver pace co' seguaci sui.*¹⁾

1) Jam się zrodziła w ziemi, która leży / Nad brzegiem morza, kędy Pad szeroki / Spoczynku szuka z hołdowniki swemi. D. Alighieri, *Boska Komedia*, tłum. A. Stanisławski, Poznań 1870.

Miłość Ulissesa wcale nie do Penelopy ani nie do słodkiej Nauzykai, lecz jego pełna pasji miłość do przygody. Dante rzuca go, w XXVI pieśni *Piekieła*, wraz z czterema starymi i obszarpanymi towarzyszami, w nadwątlonym okręcie, na ostatnią przygodę: przygodę ze śmiercią.

*Nè dolcezza di figlio, nè la pieta
del vecchio padre, nè'l debito amore
lo qual dovea Penelope far lieta,
vincer potero dentro a me l'ardore
ch'èbbi a divenir del mondo esperto,
e de li vizi umani e del valore.*²⁾

2) Ni przywiązanie do starego ojca, / Ani powinna dla małżonki miłość, / Co Penelopę uszczęśliwić miała, /

Nie mogły we mnie przewyciężyć żądz, / Którą pałałem, chcąc poznać świat cały, / I śmiertelników przywary i cnoty. D. Alighieri, *Boska Komedia*, tłum. A. Stanisławski, Poznań 1870.

Po *Biblii* i Dantem, do autorów, którzy wywarli na mnie, jak sądzę, największy wpływ i o których chcę wspomnieć, dodałabym jeszcze Homera.

Chcę podkreślić raz jeszcze, jako że martwi mnie, że niektórzy sądzą inaczej, otóż chcę wyraźnie zaznaczyć, że *Diamentowy Plac* jest przede wszystkim powieścią o miłości, choć pozbawioną jakiegokolwiek sentymentalizmu. Chwila, w której Colometa, powróciwszy do żywych ze swojej przeszłości, wchodzi o świcie do domu i obejmuje swojego drugiego męża, człowieka który uchronił ją od nędzy tego świata, to scena ukazująca głęboką miłość. „Pomyślałam, że nie chciałabym, żeby umarł, nigdy, nigdy...”. I zatyka mu pępek palcem „żeby nie wysssała go żadna zła wróżka i nie zostawiła mnie bez Antoniego”. A słowo *szczęśliwe* kończące powieść nie jest wcale przypadkowe. Nie umieściłam go tam, bo tak. Pozwala zrozumieć, że chociaż na świecie jest tyle smutku, zawsze ktoś go może uratować dzięki odrobinie radości. Na przykład ptaki. „W każdej kałuży, nawet najmniejszej, będzie odbijało się niebo, niebo, które od czasu do czasu zmąci skrzydłami ptak, spragniony ptak, który nie wiedząc o tym, będzie mącił niebo z wody... albo wiele małych krzykliwych ptaków, które będą zniżały się z drzew niby błyskawice, będą zanurzały się w kałużach, będą w nich kapały swe nastroszone piórka i będą mieszały niebo i błoto, i dziobki, i skrzydła, *szczęśliwe...*”

Diamentowy Plac jest już daleko. Jakbym to nie była ja, która go napisała. Bardzo daleko. W tej chwili, kiedy właśnie kończę przedmowę, bardziej zajmuje mnie ogród. Kwitną już bladoróżowo śliwki i koraloworóżowe maleńkie *drzewo Jowisza*. Podnosi się wiatr północny i nie obejdzie się z nimi łagodnie. Pójdę zobaczyć, co się dzieje z wiatrem i kwiatami.

MERCÉ RODOREDA
Romanyà de la Selva, 1982

ROZDZIAŁ I

Julietta specjalnie wstąpiła do sklepu, gdzie pracowałam, żeby mi opowiedzieć, że przed główną loterią na „ramo” odbędzie się losowanie maszynek do kawy, że już je oglądała, piękne, całe białe, z wymalowaną na każdej pomarańczą przeciętą na pół, tak że widać cząsteczki, ale mnie się nie chciało iść na tańce, w ogóle nie chciało mi się wychodzić, cały dzień sprzedawałam słodycze i już mnie bolały czubki palców od ciągłego przyciskania tych złotych sznureczków i od robienia supełków i kokardek. A jeszcze i dlatego, że znałam Julieta i wiedziałam, że jest jej zupełnie obojętne, o której pójdzie spać, i nie robi jej żadnej różnicy, czy się wyśpi, czy nie.

Zmusiła mnie jednak, bym jej towarzyszyła z chęcią czy też, bez: taka już byłam, że cierpiałam, gdy ktoś mnie o coś prosił, a ja mu miałam odmówić; więc poszłam, na biało od stóp do głów: sukienka i halki wykrochmalone, pantofle jak mleko, klipsy z białej masy, trzy bransoletki dobrane do klipsów i biała torebka, zdaniem Juliety z ceraty, z zamkiem w kształcie złotej muszelki.

Kiedyśmy przyszły na plac, muzyka już grała. Na środku placu zrobili jakby dach, ubrany kwiatami i papierowymi łańcuchami we wszystkich kolorach: na przemian łańcuchy i kwiaty. W niektórych kwiatkach były w środku żarówki, tak że cały ten dach wyglądał jak parasolka do góry nogami, bo po bokach końce łańcuchów były przywiązane wyżej niż miejsce, gdzie były złączone.

Gumka od halki, z którą się tak namęczyłam, żeby ją nawlec szpilką od włosów, co się wciąż zahaczała, zapięta na guzik i nicianą pętelkę, cisnęła mnie, że aż. Na pewno mi się odgniotła w pasie. Od czasu do czasu brałam głęboki oddech, żeby jakoś ją rozluźnić, ale jak tylko go wypuszczałam, znowu zaczynała mnie cisnąć. Podwyższenie dla orkiestry było obstawione asparagusami tworzącymi barierkę, a do asparagusów cieniutkim drutem były poprzyczepiane papierowe kwiaty.

Muzycy, spoceni, w samych koszulach. A moja matka zmarła już tak dawno, że w niczym nie zdążyła mi być oparciem, a mój ojciec żonaty z inną.

Mój ojciec żonaty z inną, a ja bez matki, która żyła tylko dla mnie. Mój ojciec żonaty, a ja taka młodziutka, sama na tym Diamentowym Placu, czekam na losowanie maszynek do kawy, i Julieta drze się, żeby przekrzyczeć muzykę: „Nie siadaj, bo się wygnieciesz!” – i przed oczami żarówki poprzebierane

za kwiaty i klajstrem poprzyklejane łańcuchy, i wszyscy weseli, i ja myśląca o niebieskich migdałach, i w czasie tego wszystkiego głos szepczący mi do ucha: „Zatańczymy?”.

Nie zwracając uwagi, powiedziałam, że nie umiem, ale gdy odwróciłam się, żeby spojrzeć, natknęłam się na twarz tak blisko, że zobaczyłam tylko, że to była twarz chłopca.

– To wszystko jedno – powiedział – ja umiem, to panią nauczę. – Pomyślałam o biednym Perem, który w tej chwili w białym fartuchu gotuje w podziemiach restauracji „Pod Kolumbem”, i powiedziałam głupio:

– A jak się dowie mój narzeczony?...

Chłopak przysunął się jeszcze bliżej i śmiejąc się, powiedział:

– Taka młodziutka, a już ma narzeczonego? A jak się śmiał, wargi mu się rozsunęły i zobaczyłam wszystkie zęby. Oczki miał zupełnie jak małpa i białą koszulę w niebieskie paski z rękawami zawiniętymi do łokcia i z odpiętym kołnierzykiem. Nagle odwrócił się do mnie tyłem, stanął na palcach, rozejrzał się dokoła, znów zwrócił się do mnie:

– Przepraszam – powiedział i zaczął krzyczeć: – E, nie widziałeś mojej wiatrówki? Leżała obok orkiestry... Na krześle... Co? – I powiedział mi, że mu gdzieś podzieli wiatrówkę, że zaraz wróci, żebym była łaskawa zaczekać, i znów w krzyk:

– Cintet! Cintet!

Julieta, cała na żółto z zielonymi haftami, wylazła nie wiadomo skąd i powiedziała:

– Zasłoń mnie, bo muszę zdjąć pantofle, Jezu, nie wytrzymam dłużej... – więc jej powiedziałam, że nie mogę się ruszyć, bo jeden chłopak zgubił wiatrówkę, a że zamówił sobie u mnie taniec, to mu obiecałam poczekać. Na to Julieta:

– Tańcz sobie, tańcz!

Było gorąco. Dzieciaki po rogach puszczały fajerwerki i rzucały petardy. Na ziemi pełno było pestek od arbuzów, a po kątach wały się skórki i butelki od piwa; na tarasach także puszczano fajerwerki i na balkonach. Widziałam twarze całe błyszczące od potu, chłopcy wycierali je sobie chusteczkami. Muzycy śpiewali zadowoleni. Wszystko jak w teatrze. I pasodoble. Nie zdając sobie z tego sprawy, drobiłam tam i z powrotem, aż nagle z uczuciem, że przychodzę z bardzo daleka (a przecież byłam tak blisko), usłyszałam głos tego chłopca, który mówił: „Widzi pani, że pani umie tańczyć?” – i poczułam mocny zapach potu i zwietrzałej wody kolońskiej. Małpie oczki błyszczały tuż koło moich, a z każdej strony twarzy ucho

tworzyło jakby medal. Gumka dalej cisnęła mnie w pasie, a moja nieżyjąca matka nie zdążyła być mi oparciem, bo powiedziałam temu chłopcu, że mój narzeczony jest kuchcikiem „Pod Kolumbem”, a on się roześmiał i powiedział, że mu współczuje, bo nie minie rok, jak będę panią jego i królową i będziemy tańczyć „el ramo” ma Diamentowym Placu.

– Moja królowa – powiedział.

I powiedział, że kiedy mi mówił, że za rok będę jego królową, to nawet na niego nie spojrzałam, więc spojrzałam, a wtedy powiedział:

– Niech pani tak na mnie nie patrzy, bo ja naprawdę nie wytrzymam – a to było, kiedy mu powiedziałam, że ma małpie oczki. Guma u halki różnie mnie jak nóż, muzycy swoje tarari i tarara. Juliety ani śladu, zniknęła i ja sama z tymi oczkami, które mnie nie opuszczają. Tak jakby cały świat zamienił się w te oczy i nie było sposobu, żeby od nich uciec. A noc płynęła na wozie z gwiazd i zabawa płynęła, i „ramo”, dziewczyna od „ramo”, cała błękitna, kręcąca się w kółko i w kółko. A mama na cmentarzu San Gervasio, a ja na Diamentowym Placu...

„Pani sprzedaje słodycze? Miód i konfitury?”

Zmęczeni muzycy już wkładali instrumenty do pokrowców i z powrotem je wyjmowali, bo ktoś stawiał wszystkim walca, więc znowu kręcili się jak bąki. Kiedy ten walc się skończył, ludzie zaczęli wychodzić. Powiedziałam, że zgubiłam się z Julieta, a on powiedział, że zgubił się z Cintetem, i powiedział: „Jak będziemy sami, jak wszyscy już pochowają się po domach, a na ulicach będzie pusto, zatańczymy sobie walca z jednego na drugi kraniec Diamentowego Placu, Colometa”. Zmieszałam się, spojrzałam na niego i powiedziałam, że nazywam się Natalia, a jak mu powiedziałam, że się nazywam Natalia, znowu roześmiał się i powiedział, że mogę mieć tylko jedno jedyne imię: „Colometa”. Wtedy właśnie zaczęłam biec, a on biegł za mną.

– Proszę się nie bać, nie widzi pani, że nie może pani chodzić sama po ulicach, jeszcze mi panią ukradną... – I wziął mnie pod rękę, i zatrzymał mnie: – Nie widzi pani, że ukradliby mi panią, Colometa?

A mama nieżyjąca, i ja stojąca jak głupia, i ten pasek, co tak mnie ciśnie, jakbym była przywiązana drutem do gałązki asparagusu.

Więc znów zaczęłam biec. A on za mną. W sklepach pospuszczane żaluzje, a na wystawach pełno spokojnych przedmiotów, kałamarzy i suszek, i pocztówek, i lalek, i poupinanych materiałów, i aluminiowych garnków i jerseyów... Pędem wylecieliśmy na Calle Mayor, ja pierwsza, on za mną, i długo potem jeszcze nieraz to opowiadał: „Tego dnia, co poznałem Colometę na Diamentowym Placu, jak

zaczęła przede mną uciekać, to przed samym przystankiem tramwajowym zgubiła halkę...”.

Niciansa pętelka pękła, a halka spadła na ziemię! Wskoczyłam z niej, o mało co nie zaplątałam się w nią, i w nogi, jakby mnie goniły wszystkie diabły świata. Doleciałam do domu i po ciemku zwałam się jak kamień na moje żelazne panięskie łózczo. Było mi wstyd. A kiedy już mi minął wstyd, jednym kopnięciem zrzuciłam pantofle i rozpięłam włosy. A Quimet jeszcze długo potem opowiadał, jakby to było coś, co się dopiero zdarzyło: „Pękła jej gumka, a gnała jak wiatr”...

ROZDZIAŁ II

To było bardzo tajemnicze. Włożyłam beżową sukienkę, trochę za lekką na ten sezon, i cała w gęszej skórcie czekałam na rogu na Quimeta. Kiedy już dłuższą chwilę tak stałam bez ruchu, nagle wydało mi się, że spoza listewek żaluzji ktoś na mnie patrzy, bo zauważyłam, jak z jednej strony listewki trochę drgają. Umówiliśmy się z Quimetem koło parku Guell. Z bramy wyszedł chłopczyk z rewolwerem za paskiem i wycelowaną strzelbą i coś, krzyżąc, przeszło tak blisko, że dotknęło mojej spódnicy. Listewki opuściły się, żaluzja podniosła się i jakiś facet w pizamie psyknął na mnie „pst! pst”, i zagiąwszy palec jak haczyk, dawał mi znaki, żebym podeszła. Chcąc jakoś nabrać pewności siebie, położyłam rękę na piersiach, tak jakbym się chciała przeżegnać, i patrząc na niego, spytałam cichutko: „Ja?”. Zrozumiał, chociaż nie usłyszał, i głową pokazał, że tak, a miał przepiękną tę głowę, więc przeszłam przez ulicę i podeszłam bliżej. Kiedy stanęłam pod balkonem, powiedział: „Chodź, zrobimy sobie malutką sjestę”.

Krew mi uderzyła do głowy i odwróciłam się wściekła, głównie na siebie, ale także bałam się, bo czułam, że gapi mi się na plecy i widzi mnie przez bieliznę i przez skórę. Więc tak się ustawiałam, żeby przestał mnie widzieć, ale znowuż się bałam, że jak będę taka schowana, to i Quimet mnie nie zobaczy. Zastanawiałam się, jak to wyjdzie, bo to był pierwszy raz, cośmy się mieli spotkać w parku. Z rana nie wiedziałam już, za co się łąpać; myśląc o tym popołudniu, byłam tak niespokojna, że nie do wytrzymania.

Quimet mi powiedział, że spotkamy się o wpół do czwartej, a nie zjawił się do wpół do piątej. Ale nic nie powiedziałam, bo myślałam, że może to ja źle zrozumiałam; skoro on nie usprawiedliwił się ani słowem, to widocznie ja się pomyliłam... Nie odważyłam się przyznać mu ani że bołą mnie nogi od tak długiego stania, bo założyłam lakierki, co pieką, ani że jakiś szczeniak mnie zaczepiał. Szliśmy pod górę, nie mówiąc do siebie ani słowa, a kiedy już weszliśmy na sam szczyt, przeszło mi zimno i skóra zrobiła mi się taka gładka jak zawsze.

Chciałam powiedzieć mu, że zerwałam z Perem, że wszystko jest w porządku. Usiedliśmy na kamiennej ławce w zacisznym kącie, pod drzewami aż ciężkimi od liści, a kos wylazł gdzieś z dołu i łąził od jednego drzewa do drugiego,

pokrzykując trochę chrapliwie; przez chwilę nie było go widać, a potem, kiedy już zapominaliśmy o nim, znowu wyłaził. Nie patrząc, kątem oka widziałam Quimeta i widziałam, że patrzy na domy, dalekie i małe. Wreszcie odezwał się:

– Nie boisz się tego ptaka? – powiedział.

Powiedziałam, że mi się bardzo podoba, a on na to, że jego matka zawsze mówiła, że czarne ptaki przynoszą nieszczęście, nawet kosy. Do tej pory, ile razy zobaczyliśmy się z Quimetem, to – prócz tego pierwszego razu na Diamentowym Placu – natychmiast pytał, cały pochylając się do przodu, czy zerwałam z Perem. A tego dnia mnie wcale nie pytał, a ja nie wiedziałam, jak się do tego zabrać, żeby mu powiedzieć, że już powiedziałam Peremu, że z nas nic nie będzie. A bardzo mi było ciężko powiedzieć mu to, bo Pere zrobił się zupełnie jak świeczka, którą zapaliło się po to, żeby zaraz zgasić. I kiedy myślałam o tym, że z nim zerwałam, coś mi się we środku robiło, i to coś dawało mi odczuć, że to był zły uczynek. Na pewno; bo ja, która przedtem czułam się zupełnie spokojna, kiedy przypominałam sobie tamten wyraz twarzy Perego, zaczynałam w głębi czuć ból, coś takiego, jakby w samym środku mojego dotychczasowego spokoju skorpiony uwiły sobie gniazdo i wyłaziły jeden po drugim, żeby mieszać się z moim bólem, zaostrać go i rozlewać po mojej krwi, zmieniając jej kolor na czarny. Bo Pere zduszonym głosem z zamglonymi oczami powiedział mi, że mu złamałam życie. Że zmieniałam mu je w grudkę błota, w nic. A Quimet patrzył na kosa i zaczął coś opowiadać o panu Gaudi, o tym, że jego ojciec poznał go dopiero tego dnia, co go przejechał tramwaj, bo był jednym z tych, co się nim zajęli i zawieźli do szpitala, biedny pan Gaudi, taki porządny człowiek, popatrz, jaka nędzna śmierć...

I że na świecie nie ma nic równego parkowi Guell ani nic takiego jak Sagrada Familia i Pedreza. Powiedziałam, że za dużo wchodzenia i schodzenia. Kantem ręki trzepnął mnie w kolano tak niespodziewanie, że aż mi podskoczyła noga, i powiedział, że jeżeli chcę być jego żoną, muszę zacząć od tego, żeby podobało mi się to wszystko, co się jemu podoba. I wygłosił wielkie kazanie na temat mężczyzny i kobiety oraz praw każdego z nich, a kiedy udało mi się mu przerwać, zapytałam:

– No, a jeżeliby coś w żaden sposób mi się nie podobało?

– To ma ci się spodobać; ty się nie znasz.

I znów kazanie: bardzo długie. Zaczął opowiadać o różnych członkach swojej rodziny, o swoich rodzicach, o jakimś wuju, który miał kapliczkę i klęcznik, o dziadkach i jakichś dwóch matkach katolickich królów, które – powiedział – naznaczyły właściwą drogę.

I wtedy, czego przedtem nie zrozumiałam, bo z początku pomieszał to jakoś z innymi rzeczami, powiedział: „Biedna Maria”. I znowu matki królów katolickich i że może uda nam się niezadługo wziąć ślub, bo już dwóch przyjaciół szuka mu mieszkania. I że mi zrobi takie meble, że jak je zobaczę, to zemdleję, bo nie na darmo jest stolarzem, i że on jest jak święty Józef, a ja jak Matka Boska.

Mówił to wszystko bardzo wesoło, a ja się zastanawiałam, co to miało znaczyć, że powiedział „Biedna Maria”, i jakoś gasłam trochę tak, jak gaśnie światło, a kos nic a nic niezmeżony ciągle gdzieś z dołu się wyłaniał i przelazł od jednego drzewa do drugiego, i znów wyłaził, tak jakby tam było wiele kosów.

– Szafę zrobię nam wspólną, dwudrzwiową, z bukowego drzewa. A jak będę miał meble do całego mieszkania, zrobię kołyskę dla dziecka.

Powiedział mi, że lubi dzieci i nie lubi dzieci. Zależnie od humoru. Słońce zaczynało zachodzić i tam, gdzie już nie sięgało, cień robił się rzadki i niebieski. A Quimet opowiadał o rodzajach drewna, że jedno jest takie, a drugie inne, że palisander taki, a mahoń inny, a jeden dąb jeszcze inny, a drugi znowu inny...

I wtedy – świetnie to pamiętam i nie zapomnę nigdy – pocałował mnie, a kiedy mnie zaczął całować, zobaczyłam Pana Boga, hen, wysoko, w Jego domu, pośrodku chmury, całego jakby otoczonego pomarańczową obwódką w jednym miejscu blaknącą, i Pan Bóg jeszcze szerzej rozłożył i tak rozpostarte długie ramiona, złapał chmurę za brzeg i zawinął się w nią; tak się w niej zamknął jakby w szafie.

– Dzisiaj nie powinniśmy byli przychodzić. Pierwszy pocałunek połączył się z drugim i całe niebo zachmurzyło się. Widziałam, jak chmura wyłaniała się powoli, a potem wyszły inne, cieńsze, i wszystkie zaczęły płynąć za tą grubą, a Quimet krzyknął:

– Zamykają!

– Skąd wiesz?

– Nie słyszałaś gwizdka?

Wstaliśmy, kos zerwał się spłoszony, wiatr rozwiewał mi spódniczkę i poszliśmy ścieżką w dół. Na ławce z kafli siedziała jakaś dziewczynka, która najpierw wsadzała palec do nosa, a potem tym palcem obwodziła ośmioramienną gwiazdę na oparciu ławki. Miała tego samego koloru sukienkę co i ja, na co zwróciłam uwagę Quimeta. Nie odpowiedział ani słowa. Kiedy wychodziliśmy na ulicę, powiedziałam: – Popatrz, ludzie ciągle jeszcze wchodzą – a on, żebym się nie przejmowała, że zaraz ich wyrzucą. Schodziliśmy na dół i dokładnie w chwili, kiedy chciałam powiedzieć: „Wiesz, zerwałam z Perem”, stanął jak wryty,

popchnął mnie przed siebie, wziął za ręce i patrząc na mnie, jak na jakąś ofiarę, znowu powtórzył swoje: „Biedna Maria”.

Już chciałam mu powiedzieć, żeby się nie przejmował, tylko żeby mi powiedział, o co chodzi z tą całą Marią... ale nie odważyłam się. Puścił moje ręce, przesunął mnie, żebym stanęła obok, i dalej schodzić na dół, aż doszliśmy do Diagonal Paseo de Gracia. Tam zaczęliśmy chodzić naokoło domów, dosłownie nie czułam nóg. Kiedy już z pół godziny chodziliśmy tam i na powrót, znowu złapał mnie za ramiona, staliśmy pod latarnią i właśnie kiedy myślałam, że powtórzy to „Biedna Maria”, i wstrzymałam oddech, czekając na to, powiedział ze złością:

– Gdybyśmy nie byli prędko stamtąd zeszli, to z tym kosem i w ogóle, sam nie wiem, co byłoby się stało! Masz mi nie ufać, bo tego dnia, co cię złapię, to cię skrzywdzę.

Jeszcze chodziliśmy naokoło domów aż do ósmej, ale już bez słowa, jakbyśmy od urodzenia byli niemi. Kiedy zostałam sama, popatrzyłam w niebo: było całe czarne. I bo ja wiem... To wszystko było takie tajemnicze...

ROZDZIAŁ III

S potkałam go na rogu i zdziwiłam się, bo tego dnia nie miał po mnie przyjść.

– Nie chcę, żebyś dłużej pracowała u tego cukiernika! Dowiedziałem się, że się przywala do swoich pracowników.

Cała zadrżałam i powiedziałam mu, żeby nie krzyczał, że nie mogę zostawić firmy w taki sposób, ordynarny i bez wychowania, że ten nieszczęśnik nigdy do mnie ani jednym słowem się nie zwrócił, że lubię sprzedawać słodycze i że jeżeli ma zamiar zmusić mnie do rzucenia pracy, to... Wtedy powiedział, że kiedyś, zimą, jak było ciemno, przyglądał się, jak pracowałam, i że kiedy pomagałam jakiejś klientce wybierać czekoladki z gabloty, z tej na prawo, to cukiernik wodził za mną oczami, właściwie nie tyle za mną, ile za moim tyłkiem.

Powiedziałam mu, że za dużo sobie pozwala i że jeżeli nie ma do mnie zaufania, to lepiej dać spokój z tym wszystkim.

– Nie, mam zaufanie, ale nie mam ochoty, żeby cukiernik tak się zabawiał.

Tak się oburzyłam, że aż mnie twarz zaczęła palić. Wtedy jedną ręką złapał mnie za kark i zaczął potrząsać moją głową. Powiedziałam mu, żeby sobie poszedł i że jeżeli mnie nie posłucha, zawołam policjanta. Trzy tygodnie nie widzieliśmy się i kiedy zaczynałam żałować, że tak zrobiłam z Perem, bo między mną a Quimetem i tak wszystko się skończyło – a w końcu Pere był dobry chłopak, przez którego nigdy nie miałam najmniejszej przykrości – znowu się zjawił, spokojny jak pień drzewa, i pierwsze, co mi powiedział, trzymając ręce w kieszeniach, było: „A biedna Maria z twojej winy...”.

Szliśmy przez Rambla del Prat ku Calle Mayor. Zatrzymał się przed sklepem, w którego drzwiach stały worki, wsadził rękę w worek grochu. „Jaki ładny groch” – powiedział... i poszliśmy dalej. Zabrał sobie sporą garstkę grochu i kiedy tylko nie uważałam, wrzucał mi po jednym ziarnku za kołnierz. Potem kazał mi się zatrzymać przed wystawą konfekcji.

– Widzisz – powiedział – jak będziemy po ślubie, to będziesz musiała sobie kupić takie fartuszki jak ten. – Ja mu na to, że wyglądają jak z sierocińca, a on, że takich używała jego matka, a ja, że co mnie to obchodzi i że nie będę chodziła w fartuszkach jak z sierocińca.

Powiedział, że mnie przedstawi matce, że już jej o mnie mówił i że ona

bardzo jest ciekawa, jak wygląda dziewczyna, którą sobie wybrał jej syn. Poszliśmy w niedzielę. Mieszkała sama, Quimet mieszkał oddzielnie, żeby oszczędzić jej pracy; mówił, że w ten sposób lepiej ze sobą żyją, bo kiedy są razem, to się kłóca.

Jego matka mieszkała w małym domku, z dachu było widać morze i mgłę, która czasami je zasłaniała. Była to osobka mała i żywa jak wiewióreczka, uczesana w fale prosto od fryzjera. A dom miała pełen kokard. Quimet już mi o tym wspominał. Nad krucyfiksem u wezgłowia – kokarda. Łóżko z czarnego mahoni z dwoma materacami i kremową kapą w czerwone róże, która była obszyta układaną falbaną z czerwoną wypustką. Na rączce od nocnego stolika – kokarda. Na uchwycie każdej szuflady w komodzie – kokarda. I na każdej kłamce u drzwi – kokarda.

– Pani lubi wstążki – powiedziałam.

– Bez wstążek mieszkanie nie jest mieszkaniem.

Zapytała, czy lubię sprzedawać słodycze, więc jej powiedziałam, że bardzo, a najbardziej to lubię skręcać w grajczarki końce sznurka przy pomocy nożyczek i że już bym chciała, żeby nadeszły święta, żebym miała dużo pudełek do pakowania i żebym słyszała *trrr* rejestrującej kasy i dzwonek u drzwi

– To dopiero – powiedziała.

Po południu Quimet szturchnął mnie łokciem, że już czas iść. Kiedyśmy byli przy drzwiach, zapytała:

– A gospodarstwo też pani lubi?

– Tak, proszę pani.

– Tym lepiej.

Wtedy powiedziała, żebyśmy poczekali, cofnęła się do mieszkania i wróciła z różańcem z czarnych paciorków i podarowała mi go. Kiedyśmy byli daleko, Quimet powiedział, że ujęłam ją.

– Co ci mówiła, jak byłyście same w kuchni?

– Że dobry chłopak z ciebie.

– Domyśliłem się.

Powiedział to, patrząc w ziemię i kopiąc kamyk. Powiedziałam mu, że nie wiem, co zrobić z tym różańcem. Powiedział, żebym go wsadziła do szuflady, że może któregoś dnia mi się przyda: że nigdy nie należy niczego wyrzucać.

– Może przyda się naszej córce, jeżeli nam się urodzi...

I szczyptał mnie w ramię. Podczas gdy rozcierałam je sobie, bo naprawdę zabolęło, zapytał mnie, czy pamiętam już tam nie wiem co, i powiedział, że prędko kupi sobie motor, że to nam się bardzo przyda, bo jak się pobierzemy,

będziemy mogli jeździć po całym kraju, on z przodu, a ja z tyłu. Zapytał, czy jeździłam już z jakim chłopcem na motorze, więc powiedziałam, że nie, nigdy, że to chyba bardzo niebezpieczne; zrobił się wesoły jak ptaszek i powiedział:

– Proszę, ale dziewczyna...

Poszliśmy do „Monumentalu” na słodki wermut i ośmiornice. Tam spotkał Cinteta, i Cintet, który miał bardzo duże oczy, zupełnie jak krowa, i trochę krzywą gębę, powiedział, że jest mieszkanie na ulicy de la Perla, niedrogie, ale w dość złym stanie, bo właściciel nie chce zawracania głowy i chce, żeby lokatorzy zrobili remont na swój koszt. Mieszkanie było na samej górze, co nam się bardzo spodobało, a jeszcze bardziej, kiedy Cintet powiedział, że taras byłby wyłącznie dla nas, i to cały, bo lokatorzy z dołu mają wewnętrzne patio, a ci z pierwszego – małe schodki – ślimaka, schodzące do ogródka, w którym jest kurnik i pralnia. Quimet bardzo się zapalił i powiedział Cintetowi, że nie trzeba tego za nic w świecie wypuścić, a Cintet powiedział, że jutro pojedą tam z Mateu, byśmy także przyszli. Quimet pytał się go jeszcze, czy tnie słyszał o jakimś używanym motorze, bo wuj Cinteta miał garaż i Cintet u niego pracował, więc obiecał, że się rozejrzy. Gadali, jakby mnie w ogóle nie było.

Mama nigdy nic mi nie mówiła o mężczyznach. Moi rodzice przez wiele lat klócili się, przez wiele lat w ogóle ze sobą nie rozmawiali. Całe popołudnie niedzielne spędzali, siedząc w jadalni i nie odzywając się do siebie ani słowem. Kiedy mama umarła, to życie upływało w jeszcze większym milczeniu. I kiedy po iluś tam latach mój ojciec po raz drugi się ożenił, nie miałam nic, czego mogłabym się uchwycić, żyłam tak, jak żyją koty: stąd tu, stamtąd tam, z podwiniętym ogonem, z zadartym ogonem, teraz trzeba coś zjeść, teraz trzeba się przespać. Z tą różnicą, że koty nie muszą pracować, żeby żyć. W domu żyliśmy bez słów, a to, co czułam w środku, napełniało mnie przerażeniem; nie byłam pewna, czy to, co czuję, jest naprawdę mną.

Kiedy zegnaliśmy się na przystanku tramwajowym, usłyszałam, jak Cintet mówi do Quimeta: „Skąd wydłubałaś taką śliczną lalę?” – a potem śmiech Quimeta ha-ha-ha...

Odłożyłam różaniec na nocny stolik i wychyliłam się, żeby popatrzeć na ogród na dole. Syn sąsiadów, który odslugiwał wojsko, zażywał świeżego powietrza. Skręciłam kulkę z papieru, cisnęłam w niego i schowałam się.

ROZDZIAŁ IV

Dobrze, że młodo wychodzisz za mąż. Potrzeba ci męża i dachu nad głową.

Seniora Enriqueta, która na rogu ulicy Smart sprzedawała zimą pieczone kasztany i bataty, latem zaś ziemne orzeszki, zawsze dawała mi dobre rady. Teraz, siedząc na wprost mnie przy drzwiach na balkon, od czasu do czasu podciągała rękawy, a gdy je podciągała, milkła i dopiero kiedy już je podciągnęła, znowu zaczynała gadać. Była wysoka, z rybimi ustami i nosem jak rożek od lodów. Zimą i latem chodziła w białych pończochach i czarnych pantoflach, była bardzo czyściutka i okropnie lubiła kawę. Na podwójnym, żółtym i czerwonym sznurku miała zawieszony obraz, na którym były langusty jakby wyłazące z przepaści, w złotych koronach, z ludzkimi twarzami i kobiecymi włosami, cała trawa wokół nich spalona, morze w tle i niebo w górze czerwone jak krew, a langusty w żelaznych zbrojach zabijają się ciosami ogonów...

Na dworze mżyło. Drobny deszczyk padał na wszystkie tarasy, na wszystkie ulice, na wszystkie ogrody, na morze, jakby jeszcze nie dość w nim było wody, a pewno i na góry. Było wczesne popołudnie, ale nie było nic widać. Z drutów do wieszania bielizny zwisały krople wody i goniły jedna drugą; czasem któraś spadała, ale przedtem wydłużała się, jakby rozstanie się z drutem wiele ją kosztowało. Już od ośmiu dni padał ten drobny deszczyk, ani za mocny, ani za słaby, a chmury były tak naładowane, że wydawało się, że swe opuchłe brzuchy włóczą po tarasach.

Patrzyliśmy na deszcz.

– Myślę, że Quimet odpowiedniejszy jest dla ciebie niż Pere. Ma swój warsztat, podczas gdy Pere pracuje u kogoś. Jest obrotniejszy i lepiej umie zarobić na życie.

– Ale nieraz wydaje się smutny i powtarza: „Biedna Maria”.

– Ale chyba ożeni się z tobą, jak myślisz?

Miałam zmarznięte nogi, bo mi przemokły buty, i gorące czoło. Powiedziałam jej, że Quimet chce sobie kupić motor, więc uznała, że jest bardzo nowoczesny. To seniora Enriqueta właśnie poszła ze mną wybierać materiał na ślubną suknię, a gdy jej powiedziałam, że może będziemy mieszkać niedaleko niej, bardzo się ucieszyła.

Mieszkanie rzeczywiście było w bardzo złym stanie. W kuchni dosłownie śmierdziało stonogami i karaluchami, a ja znalazłam całe gniazdo podłużnych brązowych jajeczek, na co Quimet:

– Poszukaj, to więcej znajdziesz.

W jadalni tapeta była w paski, rozszerzające się w koła. Quimet powiedział, że chciałby wytapetować na bladozielono, a w dziecinnym na kremowo ze szlaczkiem w pajace i chciałby mieć całkiem nową kuchnię. Powiedział Cintetowi, żeby zawiadomił Mateu, że chce się z nim zobaczyć. W niedzielę po południu wszyscy poszliśmy do tego mieszkania. Mateu od razu się zabrał do rozbierania kuchni, a jego pomocnik wynosił całe kubły gruzu do wózecka, który zostawił na ulicy. Ale pomocnik brudził schody i wyszła do nas lokatorka z pierwszego, zaznaczyć, żeby przed wyjściem pozamiatali, bo nie ma zamiaru łamać sobie nóg. Od czasu do czasu Quimet powtarzał: „Ciekawe, czy też ukradną nam wózek”. Razem z Cintetem zmoczyli ściany w stołowym i drapakiem zaczęli zeskrobywać tapetę, ale po jakiejś chwili zorientowaliśmy się, że Quimet zniknął. Cintet powiedział, że kiedy Quimet nie chce czegoś zrobić, wyślizguje się jak węgorz. Poszłam do kuchni napić się wody i zobaczyłam, że Mateu ma koszulę przylepioną do pleców, a całą twarz aż błyszcząca od potu i nic, tylko wali młotkiem, więc wróciłam, by dalej zmywać tapety. Cintet uprzedził nas, że Quimet z pewnością wróci późno, a jak wróci, będzie strugał wariata. Nielatwo było odrywać tapetę, pod pierwszą warstwą ukazała się druga i trzecia, i tak aż do piąciu.

Kiedy się ściemniło i myśliśmy ręce, wrócił Quimet i powiedział, że jak pomagał tamtemu ładować gruz na wózek, spotkał swojego klienta, na to Cintet: – No i zabrało ci to sporo czasu. Jasne...

A Quimet, nie patrząc na niego, że rzeczywiście więcej jest tam pracy, niż się spodziewali, ale że teraz będzie to szybko postępowało naprzód. Kiedy schodziliśmy, Mateu powiedział, że zrobią mi taką kuchnię, że i królowa nie ma lepszej. Quimet postanowił, że trzeba jeszcze wejść na taras. Był tam dziki przeciąg, ale widziało się wiele tarasów, choć wieżyczka z pierwszego piętra zasłaniała nam widok na ulicę. Zeszliśmy. Między naszym podestem a podestem pierwszego piętra ściana była cała pomazana, pełna imion i bohomazów. A pośród tych imion i bohomazów widać było ślicznie narysowane wagi, tak wydrapane, jak gdyby ktoś rysował je szpikulcem. Jedna z szalek zwisała niżej niż druga.

Obrysowałam ją palcem... Poszliśmy na wermut i ośmiornice. W połowie tygodnia znowu pokłóciłam się z Quimetem o tę jego manię na temat cukiernika.

– Jeżeli jeszcze raz będzie ci się wlepiął w tyłek tymi gałami, wejdę i pokażę

mu, że popamięta! – wrzeszczał. Po czym zginął na dwa czy trzy dni, a kiedy się pojawił, zapytałam, czy już mu przeszło, a on cały się z jeżył jak kogut do walki i oznajmił, że przyszedł prosić mnie o wyjaśnienie, bo mnie widział z Perem. Powiedziałam mu, że widać się pomylił, ale upierał się, że to byłam ja. Przysięgałam, że to nieprawda, a on przysięgał, że prawda. Z początku rozmawiałam z nim spokojnie, ale gdy za nic nie chciał mi uwierzyć, zaczęłam krzyczeć, a kiedy zobaczył, że krzyczę, powiedział, że wszystkie baby są wariatki i że żadna nie jest warta pięciu groszy. Wtedy zapytałam, gdzie mnie widział z Perem.

– Na ulicy.

– Na jakiej ulicy?

– Na ulicy.

– Ale na jakiej? Na jakiej?

Więc się zabrał i poszedł sobie wielkimi krokami. Całą noc nie zmrużyłam oka. Następnego dnia pojawił się i oznajmił, że muszę mu obiecać, że nigdy więcej nie umówię się z Perem, więc żeby już raz z tym skończyć i nie słyszeć więcej tego głosu, który, kiedy on był wściekły, zupełnie mu się zmieniał, powiedziałam, że nigdy więcej nie umówię się z Perem. Zamiast ucieszyć się, tym razem wpadł w nieprzytomną wściekłość; powiedział mi, że ma dosyć łgarstw, że zastawił na mnie pułapkę, w którą się dałam złapać jak mysz, i zażądał, żebym go przeprosiła za to, że wtedy spotkałam się z Perem, a mówiłam, że się nie spotkałam; w końcu doprowadził mnie do tego, że prawie uwierzyłam w moje spotkanie z Perem, i zażądał, żebym padła na kolana.

– Na środku ulicy?

– Masz wewnętrznie paść na kolana.

Kłękawszy zatem wewnętrznie, miałam prosić go o przebaczenie za spotkanie z Perem, którego – żebym tak zdrowa była – nie widziałam od naszego zerwania!

W niedzielę znów poszłam zdrapywać tapety. Quimet nie pojawił się aż do chwili, kiedy wychodziłam, bo wykańczał jakiś zamówiony mebel. Mateu prawie miał już zrobioną kuchnię. Jeszcze jedno popołudnie i gotowa: do wysokości wyciągniętej ręki cała była wyłożona białymi kafkami, a ponad kuchnią – błyszczące czerwone. Mateu powiedział, że wszystkie kafki gwizdnął z budowy, że to jego ślubny prezent. Quimet uściskał go, a Cintet, z tymi swoimi oczyma przerażonej krowy, zacierał ręce. Poszliśmy wszyscy razem na wermut i ośmiornice. Cintet powiedział, że jeżeli potrzebujemy obrączek, to zna jubilera,

co nam zrobi bardzo tanio. A Mateu powiedział, że zna innego, co nam zrobi za pół ceny.

– Nie wiem, skąd ty zawsze wszystko wiesz! – powiedział do niego Quimet.

A Mateu, cały czerwony i z tymi niebieskimi, oczami, uśmiechał się zadowolony i spoglądał to na jedno z nas, to na drugie.

– Ma się te znajomości...

ROZDZIAŁ V

Z wigilię Palmowej Niedzieli zapytał mnie ojciec, kiedy się pobieramy. Szliśmy właśnie do jadalni, on przodem, i widziałam, że obcasy po zewnętrznej stronie ma całkiem zbite. Powiedziałam, że jeszcze nie wiemy... że jak mieszkanie będzie gotowe.

– Dużo brakuje?

Powiedziałam, że trudno powiedzieć, że to zależy od tego, ile czasu będziemy mu poświęcać, że na ścianach było po pięć warstw tapet, a Quimetowi zależy na tym, żeby zdrapać do czysta, bo lubi, żeby wszystko było zrobione jak najlepiej i na całe życie.

– Powiedz mu, żeby przyszedł w niedzielę na obiad.

Powiedziałam to Quimetowi, który się wściekł.

– Jak poszedłem prosić go o twoją rękę, to udawał, że ma to w nosie, powiedział, że przede mną było już dwóch, ja trzeci i dopiero okaże się, czy ostatni. Chyba po to tak powiedział, żeby mnie zniechęcić, a teraz mnie zaprasza? Jak będziemy po ślubie...

Poszliśmy święcić palmę. Na ulicy pełno było chłopców z palmowymi gałęziami i dziewczynek z palemkami, i chłopców z grzechotkami, i dziewczynek też z grzechotkami, a niektórzy zamiast grzechotek mieli drewniane młotki, żeby tłuc Żydów, i tłukli ich na ścianach, na ziemi, na puszkach, na kubelkach, wszędzie. Jak dochodziliśmy do Josepets, wszyscy krzyczeli. Mateu był z nami, miał dziecko na rękę, swoją dziewczynkę jak kwiatusek, a tak ją trzymał, jakby rzeczywiście była kwiatkiem. Miała jaśniutkie włoski całe w loczkach i niebieskie oczy Mateu, ale nigdy się nie śmiała. Trzymała palemkę pełną wisien w cukrze, którą podtrzymywał Mateu. Jakiś inny ojciec niósł chłopczyka, który miał w rączce niewielką gałązkę palmową z błękitną kokardą i z brylantową gwiazdą; obaj ojcowie, popychani przez tłum, mimo woli przybliżali się do siebie, aż w pewnej chwili chłopczyk zaczął obrywać wisienki z palmy, którą trzymała córka Mateu, a kiedy zdaliśmy sobie z tego sprawę, już pół palmy było łyse.

Na obiad poszliśmy do matki Quimeta, na stole leżały gałązki bukszpanu poprzewiązywane czerwonymi wstążeczkami i małe palemki poprzewiązywane niebieskimi wstążeczkami. Powiedziała, że dla najbliższych przyjaciół co rok przygotowuje takie palemki. Mnie podarowała bukiet z czerwoną wstążką, bo

powiedziałam jej, że palmę już święciłam. Z ogrodu weszła jakaś pani, a matka Quimeta poznała nas: to sąsiadka, z którą rzadko się widywała, bo pokłóciła się z jej mężem.

Podczas obiadu Quimet poprosił o sól. Matka podniosła głowę, jakby ją ktoś uszczyptał, i powiedziała, że ona wie, ile trzeba soli, ale Quimet swoje, że zupełnie bez smaku. Matka wstała, cała sztywna poszła do kuchni i wróciła z solniczką w kształcie królika, któremu sól sypie się przez uszy. Postawiła solniczkę na stole i sucho powiedziała: „Sól”. Quimet zamiast wziąć i posolić, zaczął opowiadać, że od tego czasu, co tamta kobieta nie uwierzyła swemu mężowi i obejrzała się, chociaż on jej przykazywał, żeby szła prosto i nie oglądała się, wszyscy jesteśmy z soli. Matka powiedziała mu, żeby cicho siedział i jadł, a on zaczął rozrabiać i pytać sąsiadki, czy ma rację, czy też nie ma, twierdząc, że tamta kobieta nie powinna się była oglądać, na co sąsiadka, ani na chwilę nie przestając żuć i przełykać, ale zachowując całą wytworność, powiedziała, że ona się na tym nie zna.

Wtedy Quimet zaklął, po czym zwróciwszy się do matki i potrząsając solniczką-królikiem, powiedział:

– Widzisz? Ani ziarnka soli. Całe rano tylko kokardki i kokardki, a tu ani ziarnka soli.

Wystąpiłam w obronie matki, powiedziałam, że jedzenie jest dosyć słone, a sąsiadka powiedziała, że na przykład ona zupełnie: nie może jeść, jak coś jest przesolone, na co Quimet, że teraz rozumie, że widocznie matka zrobiła jedzenie bez soli, żeby tamtej smakowało, ale że proszę, można robić takie jedzenie, żeby smakowało sąsiadce, tylko nie trzeba wmawiać synowi, że potrawy są osolone. I dalej solić to, co miał na talerzu, ale tyle, że matka aż się przeżegnała. A kiedy już dobrze posolił, odstawił solniczkę i znowuż o tej soli i o diabłach. Matka powiedziała, żeby więcej nie nudził, ale on dalej jakby nigdy nic, że diabli nadali cukrzyków, którzy są z cukru tylko po to, żeby mordować innych, bo w normalnych ludziach wszystko jest słone, pot, łzy, i do mnie: – Poliz sobie rękę, to zobaczysz, jaki ma smak. – I znowuż o tych diabłach, aż sąsiadka powiedziała mu, że chyba jak małe dziecko wierzy w diabły, a on na to znowu coś, że diabli, aż matka mu powiedziała: – Milcz! – W ogóle jeszcze nie zaczął jeść, a myśmy już były w połowie, i wtedy właśnie wystąpił z tym, że diabeł jest cieniem Boga i że tak jak Bóg jest wszędzie, w roślinach, w górach, na dworze, na ulicach, i pod ziemią, i nad ziemią, i że często przybiera na siebie postać gnojaka, całego czarnego, mieniającego się czerwonawo i niebieskawo, ale kiedy jest gnojakiem, ma

po dziurki od nosa odpadków i martwych nadgniłych zwierząt, które się walają po śmietnikach. I odstawił talerz, i powiedział, że nie ma ochoty i że zje tylko deser.

W następną niedzielę przyszedł do nas do domu, nawet ofiarował ojcu cygaro, a ja przyniosłam cygańskie ciastka z kremem... Przez cały obiad Quimet opowiadał o drewnie, o większej wytrzymałości rozmaitych gatunków. Podczas kawy zapytał mnie, czy chcę już wyjść czy też później; odpowiedziałam mu, że wszystko mi jedno. Ale żona ojca powiedziała, że młodzież musi się bawić, tak że o trzeciej byliśmy już z powrotem na ulicy, zalanej dosłownie oślepiającym słońcem.

Poszliśmy do mieszkania zdrapywać tapety. Tam spotkaliśmy Cinteta; przyniósł dwie rolki tapety i oglądał je wraz z Mateu, a potem powiedział, że zna jednego, który nam wytapetuje za darmo, jeżeli Quimet podaruje mu nogi do stołu; bo jego stół ma spróchniałe nogi, a jedna w ogóle się nie trzyma, bo jak jego dzieci zostają same w domu, to „tańczą” tym stołem specjalnie po to, żeby ta noga się odkleiła. Jakoś doszli do porozumienia.

Kiedy stołowy już był cały wytapetowany, po prawej stronie wystąpiła plama. Wezwali tego, co tapetował, ale powiedział, że to nie jego wina, że plama widocznie potem wystąpiła, że to musi być w ścianie, że widać coś tam w ścianie pękło. Quimet powiedział, że ta plama na pewno już była, kiedy on tapetował, i że jego obowiązkiem było zwrócić uwagę na to, że jest wilgoć. Mateu na to, że powinniśmy zająć się do sąsiadów, bo może właśnie w tym miejscu mają zlew i jeżeli to przecieka z ich zlewu, to kłapa. We trzech poszli do tych sąsiadów, ale tam ich przyjęli nieuprzejmie i powiedzieli, że to my mamy, plamę, a nie oni, i dali adres właściciela ich domu, żeby tam pójść. Właściciel – że przyśle kogoś do sprawdzenia, ale nikt nie przyszedł, w końcu przyszedł on sam, obejrzał plamę i powiedział, że zapłacić musimy albo my, albo nasz gospodarz, bo to jest uszkodzenie, które zrobiliśmy, kiedyśmy kuli ściany. Quimet powiedział, żeśmy nic nie kuli, ale tamten twierdził, że najwyraźniej stało się to, kiedyśmy robili kuchnię, i że on umywa ręce. Mateu mówił, że jeżeli trzeba będzie zrobić jakąś reperację, powinno się zapłacić ją po połowie, ale Quimet się uparł, a tamten też o niczym nie chciał słyszeć.

– Idźcie do waszego gospodarza – mówił.

– Ale skoro plama jest od waszej strony, to po co będziemy chodzić do naszego gospodarza?

Na to tamten, że to my uważamy, że plama jest od jego strony, bo on

podejmuje się dowieść, że od jego strony nie ma nic a nic, od czego by mogła wyjść plama, że zresztą tyle zawracania głowy, gadania i obrażania się o nic, o coś, co nie ma najmniejszego znaczenia, bo przecież można wszystko załatwić, zastawiając plamę jakimś meblem.

Co niedziela chodziliśmy do „Monumentalu” na wermut i ośmiornice. Któregoś dnia podszedł w żółtej koszuli i prosił, żeby kupić pocztówki ze zdjęciami jakiejś artystki, która przed laty była królową Paryża. Powiedział że on jest reprezentantem tej artystki, którą kochali książęta i królowie, a która teraz jest sama i żyje ze sprzedaży swoich rzeczy i swoich pamiątek, ale Quimet go spławił. Kiedyśmy wychodzili, powiedział, że mogę iść do domu, bo on jest umówiony z jakimś klientem, który chce odnowić trzy sypialnie. Połączyłam więc sobie po Calle Mayor, oglądając wystawy. I wystawę lalek w „Domu Lalek”. Ale chłopaki zaczęli mnie zaczepiać, a jakiś podobny do Cygana przybliżył się bardziej od innych i powiedział: „Ale dobra...”, tak jakbym była zupą, czy co! Zezłościło mnie to. Mój ojciec zawsze mówił, że urodziłam się wymagająca, i to prawda... choć w gruncie rzeczy nie bardzo wiedziałam, po co żyję na świecie...

ROZDZIAŁ VI

Powiedział, że przedstawi mnie ojcu Joanowi. A kiedy szliśmy do niego wystąpił z tym, że komorne za mieszkanie powinniśmy płacić po połowie. Tak jakbyśmy byli parą przyjaciół. Miałam z tym kupę kramu w domu, bo resztą pieniędzy, które mi zostały, kiedy już macocha odliczyła za utrzymanie, zarządzał mój ojciec, ale wreszcie się zgodził, że zapłaci te pół komornego, o które Quimet wystąpił, właśnie jak szliśmy do ojca Joana.

Ojciec Joan wydawał się zrobiony ze skrzydełek muchy: właściwie nie on, ale jego ubiór. Taki czarny, spłowiwały kolor. Przyjął nas jak jaki święty. Quimet mi przedtem tłumaczył, że cały ten ślub to chwilka i że im mniej to kosztuje, tym lepiej, a jeżeli może trwać pięć minut zamiast dziesięciu, to jeszcze lepiej. Ojciec Joan, który znał Quimeta od dziecka, położył dłonie na kolanach, pochylił się do przodu i z oczami zasnutymi mgłą, bo wiek znać mu było po oczach, powiedział, żeby tak nie myślał.

– Małżeństwo jest czymś na całe życie i należy przykładać do niego właściwą wagę. Przecież się ubierasz na niedzielę? A małżeństwo i początek małżeństwa, to jest jakby jakaś wielka niedziela i wymaga uroczystego podejścia. Lekceważenie wszystkiego dowodziłoby, żeśmy się jeszcze nie ucywilizowali... A ty przecież chcesz się uważać za cywilizowanego? – Quimet słuchał z pochyloną głową, a kiedy chciał coś wtrącić, ojciec Joan uciszył go ręką.

– Dam wam ślub, ale radzę się nie śpieszyć. Wiem, że młodzież nigdy nie ma czasu, chce żyć, i to szybko żyć. Ale prawdziwe życie powinno być przeżywane powoli. Myślę, że twojej narzeczonej będzie przyjemnie brać ślub na biało, żeby wszyscy widzieli, że to panna młoda idąca do ołtarza, a nie w codziennej sukience, choćby była i nowa. Takie już są dziewczęta. I podczas wszystkich ślubów, które dawałem... na wszystkich pięknych ślubach, które dawałem, panna młoda zawsze była na biało...

Kiedyśmy wyszli, Quimet powiedział, że go szanuje, bo to porządny człowiek.

Z domu wzięłam tylko mosiężne łóżko, bo też nic innego nie miałam. Cintet podarował nam żelazną lampę do stołowego, z jedwabną frędzlą malinowego koloru, która zwieszała się z sufitu na trzech żelaznych łańcuszkach, połączonych żelaznym kwiatem o trzech płatkach.

Miałam długą ślubną suknię, a Quimet był ubrany na ciemno. Przyszedł jego

czeladnik i cała rodzina Cinteta: trzy siostry i dwóch żonatych braci, którzy przyszli z żonami.

Do ołtarza prowadził mnie ojciec. Matka Quimeta przyszła w czarnej jedwabnej sukni, która szeleściła przy każdym kroku, a Julieta w popielatej koronkowej sukience z różową szarfką. Wszyscy razem dobrze się prezentowali. Żona Mateu, imieniem Griselda, nie przyszła, bo w ostatniej chwili źle się poczuła i Mateu powiedział, że często jej się zdarza i żebyśmy się nie gniewali. Ceremonia okropnie długo trwała, a ojciec Joan wygłosił bardzo piękną mowę. Mówił o Adamie i Ewie, o jabłku i wężu, i że kobieta jest zrobiona z żebra mężczyzny, że Adam znalazł ją, jak spała u jego boku, i że Pan Bóg wcale nie przygotował go na tę niespodziankę. Opowiedział nam, jak jest w raju: strumyki i łąki pełne błękitnych kwiatów, a jak Ewa się obudziła, to pierwsza rzecz urwała taki błękitny kwiatek i dmuchnęła ma niego, aż płatki pofrunęły, a Adam się na nią rozgniewał, że skrzywdziła kwiatek; bo Adam, który był ojcem wszystkich ludzi, chciał tylko dobra. A wszystko skończyło się przy pomocy ognistego miecza...

– Jak poranny różaniec – powiedziała seniora Enriqueta, która siedziała za mną, a ja zaczęłam myśleć o tym, co by powiedział ojciec Joan, gdyby kiedyś zobaczył obraz z langustami o tych dziwnych głowach, zabijających jednym uderzeniem ogona... Wszyscy powiedzieli, że kazanie było jednym z piękniejszych, jakie kiedykolwiek powiedział ojciec Joan, a czeladnik powiedział matce Quimeta, że na weselu jego siostry ojciec Joan mówił też o raju, o pierwszych rodzicach i o aniele z płonąącym mieczem – identycznie. Tylko z kwiatami było jakoś inaczej; na weselu siostry mówił o żółtych kwiatkach, a woda w strumykach – powiedział – była niebieska z rana, a po południu różowa.

Poszliśmy podpisywać do zakrystii, a potem powozami do Montjuich, żeby trochę się przejść i nabrać apetytu. Kiedy po spacerze goście poszli na wermut, myśmy z Quimetem pojechali do fotografa. Zrobił nam kilka zdjęć: ja na stojąco, a Quimet na siedząco, kilka innych: Quimet na stojąco, a ja na siedząco, na innych oboje na siedząco bokiem lub zwróceniem do siebie twarzami, „żeby nie wyglądało, że zawsze się na siebie boczycie” – powiedział fotograf. I jeszcze oboje na stojąco profilem, z ręką położoną na stoliczku o trzech nogach, który się kiwał, i jeszcze we dwoje na ławeczce koło drzewa z papieru i z tiulu. Jak wróciliśmy do „Monumentalu”, to tamci powiedzieli, że już nie mogli się nas doczekać, więc wytłumaczyliśmy, że fotograf robił zdjęcia artystyczne, a to musi trwać. W każdym razie już nie było ani oliwek, ani sardeli, i Quimet powiedział, że nie szkodzi i że wobec tego możemy zaczynać, ale że jego zdaniem wychowania to im

brak. I podczas całego przyjęcia kłócił się z Cintetem o te oliwki, że to i że tamto, Mateu nie mówił nic, tylko od czasu do czasu spoglądał na mnie i uśmiechał się, a wreszcie przechyliwszy się za krzesłem mojego ojca, powiedział mi, że są „pocieszni”.

Jedzenie było bardzo smaczne, a jak skończyliśmy, to zaczęli puszczać płyty i wszyscy w tany. Zaczęłam ja z ojcem, z początku w welonie, ale potem go zdjęłam i dałam seniorze Enriquecie, żeby mi nie zawadzał. A jak tańczyłam, to unosiłam spódnicę, bo się bałam, że mi podepczą, i z Mateu tańczyłam walca, tańczył cudownie i prowadził mnie, jakbym była piórkim, jakby nic innego w życiu nie robił, tylko tańczył, tak cudownie prowadził. Twarz mnie paliła. Potem tańczyłam z czeladnikiem, ledwie nogami umiał przebierać, i Quimet z niego kpił, żeby mu dokuczyć, ale on robił swoje i nie zwracał uwagi. W samym środku zabawy przyszli panowie, którzy jedli w sąsiedniej salce, i zapytali, czy mogą się przyłączyć. Byli już starsi, około czterdziestki. A po tych czterech przyszło jeszcze dwóch innych, razem pół tuzina. Powiedzieli, że oblewają operację ślepej kiszki najmłodszego (tego, któremu z ucha zwieszał się sznureczek, bo był trochę głuchy), że operacja się udała, jak to widać na obrazku, i że jak usłyszeli, że w sąsiednim gabinecie jest wesele, to przyszli zapytać, czy mogą się przyłączyć, bo bardzo im potrzeba młodości i wesołości. Wszyscy ci panowie zaczęli mi wieszować i pytać, który to jest pan młody, częstować go najlepszymi cygarami, i każdy po kolei ze mną zatańczył, i wszyscy się śmiali, a kelner, który podawał nam napitki, gdy zobaczył, że ci panowie, co oblewali operację, dołączyli się do nas, zapytał, czy może zatańczyć jeden taniec z panną młodą, bo ma taki zwyczaj i to mu przynosi szczęście.

Powiedział, że jeżeli pozwolę, to zapisze sobie moje imię w notatniku, gdzie ma zapisane imiona wszystkich młodych mężatek, z którymi tańczy, i zapisał moje imię, a potem pokazał mi ten notatnik, w którym pełne siedem kartek było zapisanych imionami panien młodych. Chudy był jak szparag – policzki miał wpadnięte i jeden jedyny ząb, a włosy szesane na jedną stronę, żeby zasłonić miejsce, gdzie był łysy. Ponieważ kelner powiedział, że chce zatańczyć ze mną walca, Quimet nastawił bardzo szybkie pasodoble, dość że ganialiśmy jak strzały i wszyscy się ubawili, a w połowie Quimet powiedział, że chce sam zakończyć ze mną to pasodoble, bo poznaliśmy się, tańcząc pasodoble, więc kelner oddał mnie Quimetowi, a potem ręką przesunął po głowie, żeby uporządkować sobie włosy, zamiast czego całkowicie je rozciął i każdy włos poleciał mu w inną stronę. Panowie od operacji stali koło drzwi, wszyscy na czarno, każdy z białym

goździkiem w klapie, a kiedy tańczyłam, widziałam ich kątem oka i wydawali mi się nieprawdopodobnie śmieszni.

Tańczyłam z Quimetem, który szeptał mi do ucha, że ma dosyć tego wygłupiania, że rzeczywiście tylko brak ojca Joana z kazaniem. Wszyscy bili nam brawo, nie mogłam złapać tchu, serce mi waliło, a radość to mi wprost strzykała oczami.

A kiedy się wszystko skończyło, żałowałam, że to nie poprzedni dzień, żeby to wszystko, takie cudowne, przeżyć raz jeszcze...

ROZDZIAŁ VII

*M*inęło już dwa miesiące i siedem dni od naszego ślubu. Matka Quimeta podarowała nam materac, a seniora Enriqueta staromodną kapę na łóżko w szydełkowane kwiaty. Materac był z niebieskiego materiału w błyszczący wzór z falujących piór, łóżko – z jasnego drzewa. W głowach i w nogach miało rząd kolumnienek, a każda kolumnienka składała się z ułożonych jedna na drugiej kul. Pod łóżkiem łatwo mógł się pomieścić człowiek, o czym sama się przekonałam, kiedy pierwszy raz założyłam brązową sukienkę z eleganckim kremowym kołnierzykiem; sama ją sobie uszyłam, miała plisowaną spódniczkę, a przód cały zapinany na małe złote guziczki. Po kolacji, podczas gdy Quimet rysował jakiś mebel pod żelazną lampą, która rzucała na stół jasne koło, ubrałam się w tę nową sukienkę i przyszłam pokazać się Quimetowi. Nie podnosząc głowy, zapytał:

– Co tam się tak skradasz?

Spojrzał na mnie, cień malinowej frędzli zasłaniał mu pół twarzy (tak jakbym nie mówiła ze sto razy, że trzeba podnieść tę lampę, żeby było jaśniej), jego oczy były jeszcze mniejsze i głębiej osadzone w cieniu, ale nie powiedział ani słowa, tylko patrzył tak długo, że już nie mogłam wytrzymać, a potem nagle zerwał się jak burza, podniósł ręce i rozcapierzywszy palce, skoczył na mnie, wrzeszcząc „uuu... uuu...”. Rzuciłam się do korytarzyka, a on za mną „uuu... uuu...”, wyleciałam do sypialni, a on za mną, przewrócił mnie na ziemię i wepchnął pod łóżko, a potem sam na nie wskoczył.

Jak chciałam wyleźć, to walił mnie po głowie, wrzeszcząc: „Za karę, a masz!”, więc chowałam się, a po chwili znowu z drugiej strony usiłowałam wyleźć i znowu dostawałam po głowie: „Za karę, a masz!”. Od tej pory wielokrotnie robił mi ten kawał.

Któregoś dnia zobaczyłam bardzo ładne filiżaneczki do czekolady, białe, pękate, i kupiłam sześć. Jak Quimet je zobaczył, rozgniewał się, że niby po co nam filiżaneczki do czekolady.

W tym momencie nadszedł Cintet; zanim się przywitał, powiedział, że Mateu ma przyjaciela, który zna jednego pana z ulicy Bertran i że ten pan chce odnowić wszystkie meble.

– Mateu mówi, żebyś tam poszedł jutro o pierwszej. To duży dom, więc

zwróci ci się wszystko, coś wydał na wesele, w dodatku temu panu się śpieszy, więc będziesz musiał robić nadgodziny. – Quimet zanotował sobie adres, a potem otworzył kuchenną szafkę.

– Widzisz, jak tracimy pieniądze?... Żadne z nas nie lubi czekolady... Byle czas i forszę tracić.

Cintet roześmiał się i wziął filiżankę do ręki, udając, że pije, a potem odstawił ją z powrotem. Ustalili, że ja także nie lubię czekolady.

Za to, co zarobił, odnawiając meble u pana z ulicy Bertran, Quimet kupił używany motor, po kimś, kto zginął w wypadku i kogo znaleźli dopiero następnego dnia po śmierci. Tym motorem waliliśmy po ulicach jak błyskawica, przejeżdżając podmiejskie kury i strasząc ludzi.

– Trzymaj się mocno, bo teraz naprawdę zobaczysz wszystkie gwiazdy!

Najgorzej cierpiałam na zakrętach, kładliśmy się całkiem na bok, dopiero na prostym wracaliśmy do pozycji pionowej. „Wyobrażałaś sobie, jak mnie poznałaś, że będziesz ze mną w takim tempie pożerać kilometry?” Czasem twarz tak mi marzła, że robiła się sztywna jak tektura, z oczu mi ciekły łzy i z głową przyklejoną do pleców Quimeta przez całą drogę tylko myślałam o tym, że już nigdy nie wrócę do domu.

– Dziś pojedziemy nad brzeg morza.

Zjedliśmy w Badalonie i zostaliśmy tam, bo było za późno, żeby jechać dalej. Patrzyłam na morze: było jak nie z wody: szare i smutne, bo dzień był pochmurny, unoszone w górę oddechem ryb. A wściekłość ryb była oddechem morza, które wydymało się w górę grzywami fal i bąbelkami powietrza. Kiedy piliśmy kawę, niby jakieś zdradzieckie ukłucie sztyletem znowu usłyszałam: „Biedna Maria”.

Z nosa poszła mi krew i nie było sposobu zatrzymać; położyłam sobie pieniądze między brwi, a wielki klucz od bramy na kark.

Kelner poszedł ze mną do toalety i polewał mi głowę wodą. Kiedy wróciłam, Quimet miał zaciśnięte wargi i nos siny ze złości.

– Żebyś wiedziała, że nie dam mu ani grosza napiwku.

Oznajmił, że kelner nie powinien być ze mną iść, więc zapytałam, dlaczego nie poszedł on, ale odpowiedział, że skończyłam już dziesięć lat i mogłam iść sama. Kiedyśmy wsiedli na motor, znowu:

– Gdyby Maria widziała te sto koni...

Zacząłam się tym wreszcie przejmować na dobre. Na parę dni przed tym, zanim usłyszałam „Biedna Maria”, już poznawałam, że się to zbliża, bo stawał się

jakiś drętwy, senny. A kiedy wyrzucił swoje „Biedna Maria” i wiedział, że mi zrobił przykrość, milkł i choć zachowywał się jak nieobecny, czułam, że mu ulżyło. Nie mogłam przestać myśleć o tej Marii. Kiedy szorowałam, myślałam: „Maria zrobiłaby to lepiej ode mnie”. Kiedy zmywałam statki, myślałam „Maria lepiej by je zmyła”. Kiedy słałam łóżko, myślałam: „Maria z pewnością lepiej by obciągała prześcieradła”. I tylko bez przerwy myślałam i myślałam o tej Marii. Filizaneczki do czekolady schowałam: kiedy przypomiinałam sobie, że kupiłam je bez pozwolenia Quimeta, dosłownie ścisnęło mnie w gardle. Zaś matka Quimeta, ile razy mnie zobaczyła, pytała: „No? Żadnych nowości?”.

Quimet, z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała i dłońmi na zewnątrz, wzruszał ramionami bez słowa. Ale słyszałam w nim jakiś ukryty głos, który szeptał: „To nie moja wina”. Matka patrzyła na mnie, a oczy robiły jej się jak ze szkła.

– Może nie dość jada?... – Dotykała moich ramion: – Chociaż nie: chuda nie jest...

– Tylko tak się wydaje – mówił Quimet, patrząc na nas obie.

Kiedy chodziliśmy z wizytą do matki Quimeta, zawsze mówiła, że zrobiła nam coś fenomenalnego do jedzenia. A kiedy wychodziliśmy, Quimet, nieodmiennie pytał: „Co myślisz o mojej matce jako o kucharce?”.

I na motocykl: rrum... rruuum.... Niby błyskawica.

Kiedy wieczorem rozbierałam się, z góry było wiadome: „No, dzisiaj przy niedzieli zrobimy sobie dziecko...”.

A następnego ranka zrywał się jak piorun, ściągając prześcieradła, i wcale nie zwracał uwagi na to, że mnie zostawia odkrytą. W pasażu robił kilka głębokich oddechów, mył się z hałasem, ze śpiewem wchodził do jadalni i siadał do stołu, okręcając nogi dokoła krzesła.

Jeszcze nigdy nie widziałam jego sklepu; któregoś dnia powiedział mi, żebym przyszła. Wystawa była obdrapana, a szyby tak brudne, że z zewnątrz nie widziało się, co jest w środku, ani na odwrót, kiedy jednak zaproponowałam mu, że je umyję, powiedział: – Do sklepu nie masz się wtrącać. – Miał rozmaite ładne narzędzia, ale kiedy dotknęłam jakiegoś drążka, klepnął mnie po ręce: – Zostaw, zostaw, nie ruszaj. – Po czym poznał mnie z czeladnikiem, jakbyśmy się nie znali: – Colometa, moja żona. – Czeladnik, z twarzy zupełny smarkacz, podał mi rękę niby zeszlą gałązkę: – Andreuet do usług.

I wiecznie to samo: „Colometa, Colometa...”. A matka: „No? Żadnych nowości?”. Pewnego dnia, kiedy powiedziałam, że zbyt pełen talerz jakoś mnie odrzuca, i że proszę, żeby była łaskawa trochę odlać, wykrzyknęła: – Najwyższy

czas! – i kazała mi iść za sobą do pokoju.

Na wszystkich czterech szyszkach zdobiących czarne łóżko, przykryte kapą w czerwone róże, wisiały kokardy: niebieska, lila, żółta i pąsowa. Matka kazała mi położyć się na łóżku i badała mnie, dotykając i słuchając, jakby była doktorem. – Jeszcze nie – oznajmiła, wchodząc do stołowego. Strząsając na podłogę popiół z cygara, Quimet powiedział, że tego się spodziewał.

ROZDZIAŁ VIII

Zo reszcie zrobił to krzesło. Przez wiele nocy robił projekty i kładł się, kiedy ja już spałam. Budził mnie mówiąc, że najtrudniej jest wyliczyć równowagę. Kiedy w niedzielę była brzydka pogoda i siedzieliśmy w domu, dyskutował na ten temat z Cintetem i Mateu.

Było to bardzo dziwne krzesło: pół krzesło, pół fotel, a pół bujający fotel i na jego robotę stracił wiele czasu. Mówił, że to styl z Majorki, drewniane, na biegunach i że musi zrobić na nie poduszkę albo dwie tego samego koloru co frędzle u lampy: jedną na siedzenie, a drugą pod głowę. I że w tym krześle tylko on będzie miał prawo siadać.

– To męskie krzesło – oznajmił. Dodał, że trzeba je pastować w każdą sobotę: drzewo ma mieć taki połysk, żeby można się było w nim przejrzeć. Siadłszy na krześle, zakładał nogę na nogę. Jeżeli palił, to wypuszczając dym, przymykał oczy, jakby się cały roztopiał. Opowiedziałam to seniorze Enriquecie.

– Przecież to nic złego, prawda? Lepiej, że się w taki sposób rozrywa, niż gdyby szalał na motorze...

Ona powiedziała mi, żebym była bardzo ostrożna z matką Quimeta, a przede wszystkim żeby on sam nigdy nie wiedział, o czym myślę, bo jeżeli należy do takich, co tylko po to żyją, żeby dręczyć innych, to lepiej, żeby nie znał moich słabych punktów. Powiedziałam jej, że matkę Quimeta dosyć lubię za tę jej przyjemną manię wiązania na wszystkim kokardek. Ale seniora Enriqueta powiedziała, że te kokardki to jej sposób nabierania ludzi, żeby myśleli, że jest taka naiwna. W każdym razie powinnam jednak okazywać, że ją lubię, bo Quimet będzie zadowolony, jeżeli jego matka będzie mnie uważała.

W takie niedziele, kiedy nie wychodziliśmy z powodu deszczu, a Mateu i Cintet nie przychodzili, spędzaliśmy popołudnia w naszym łóżku, co miało kolumnienki z kul jedna na drugiej i całe było z drzewa w kolorze miodu. W czasie kolacji oznajmiał:

– Dziś robimy dziecko.

I och, co się działo...

Już od dawna seniora Enriqueta podpuszczała mnie, żebym jej opowiedziała naszą poślubną noc. Ale nie mogłam się na to zdobyć, bo właściwie nie mieliśmy poślubnej nocy: mieliśmy poślubny tydzień. Aż do chwili, kiedy się wtedy

rozebrał, nigdy właściwie go nie widziałam. Siedziałam w kącie, nie śmiać się poruszyć, aż w końcu powiedział, że jeżeli się wstydzę rozbierać przy nim, wyjdzie, a jeżeli nie, to sam zacznie, żebym zobaczyła, że to nie ma żadnego znaczenia. Włosy miał jak jakiś las posiany na okrągłej głowie. Błyszczące jak lakier. Cesał się długimi pociągnięciami grzebienia, za każdym pociągnięciem drugą ręką przyglądając to, co przecesał, a gdy nie miał grzebienia, cesał się rozcapierzonymi palcami, szybko, szybko, szybko, jakby jedna ręka ścigała drugą. Jeżeli nie był uczesany, kosmyk zwisał mu na czoło szerokie i trochę niskie. Miał gęste brwi, tak czarne jak i włosy, ponad małymi, jak u myszki błyszczącymi oczkami. Te oczy miał zawsze wilgotne, jakby czymś namaszczone, co było bardzo ładne. Nos ani wąski, ani szeroki, ale i nie zadarty, czego bym nie zniosła. Policzki pełne, w lecie różowe, czerwone w zimie, a uszy po obu stronach u góry niezupełnie przyrośnięte. Usta miał grube i zawsze czerwone, dolną wargę troszkę wysuniętą. Kiedy mówił albo kiedy się śmiał, ukazywał sznur zębów, głęboko osadzonych w dziąsłach każdy w swoim dołeczku. Na szyi nie miał żył, a co do nosa, który jak rzekłam, nie był ani za szeroki, ani za wąski, to w każdej dziurce miał maluśką kępkę włosów, żeby zatrzymywały chłód albo kurz. Tylko na łydkach, raczej szczupłych, żyły nabrzmiewały mu jak żmije. Ciało miał smukłe, ale okrągłe tam, gdzie należy. Klatkę piersiową szeroką, wąskie biodra, stopę długą i wąską z podbiciem, raczej płaskim, którą, gdy chodził boso, stawiał z pięty. Był dobrze zbudowany i powiedziałam mu to, a wtedy odwrócił się powoli i powiedział „Tak sądzisz?”.

Siedząc w moim kącie, umierałam ze strachu. A kiedy już się rozebrał, żeby – jak powiedział – dać mi przykład, ja zaczęłam się rozbierać. Od dawna bałam się tej chwili. Mówiono mi, że dochodzi się do niej drogą pełną kwiatów, a schodzi – pełną łez. Okłamują cię na wesoło.

Bo już od dziecka słyszałam, że wtedy nas rozdierają, i zawsze się bałam, że umrę rozdarta. Kobiety – mówiono – umierają rozdarte... Zaczyna się to od samego ślubu. Jeżeli jeszcze nie dość je rozdarto, akuszerka rozkrawuje je nożem albo szkłem od butelki i już takie zostają na zawsze, rozdarte albo zszyte, dlatego mężatki męczą się, jeżeli chociaż chwilę muszą stać. Niektórzy panowie to wiedzą i dlatego jeżeli w tramwaju jest duży tłok, wstają, żeby ustąpić kobietom miejsca, a tylko ci, co tego nie wiedzą, nie ustępują i sami siedzą.

Więc zaczęłam płakać, a wtedy Quimet wysadził głowę ponad prześcieradło i zapytał, co mi się stało, więc powiedziałam mu prawdę: że boję się umrzeć rozdarta. Zaczął się śmiać i powiedział mi, że tak, że rzeczywiście był taki jeden

przypadek, przypadek królowej Bustamante, której mąż, żeby się nie fatygować, kazał otworzyć żonę koniowi, w rezultacie czego umarła.

Więc nie mogłam opowiedzieć seniorze Enriquecie, jak wyglądała moja noc poślubna, bo tego dnia, cośmy przyszli po ślubie do domu, Quimet najpierw posłał mnie po zapasy, a potem założył sztabę na drzwi i zrobił mi wesele, które trwało cały tydzień. Natomiast o wypadku Bustamante opowiedziałam seniorze Enriquecie; uznała, że to potworne, ale że jeszcze potworniejszą rzecz zrobił jej własny mąż (którego już od lat polewał deszczyk i na którym rosły malwy), bo rozkrzyżował ją, a potem przywiązał do łóżka, żeby nie uciekła. A kiedy upierała się, żebym jednak coś opowiedziała o tej poślubnej nocy, usiłowałam ją jakoś zagadać, zająć czymś innym, a wtedy najlepszy okazywał się bujający fotel. I historia zgubionego klucza.

ROZDZIAŁ IX

Któregoś wieczora po wyjściu z „Monumentalu” spacerowaliśmy z Cintetem po ulicach aż do drugiej w nocy. A kiedy podeszliśmy pod dom i Cintet właśnie miał odejść, okazało się, że nie możemy wejść. Znikł klucz od bramy. Quimet oświadczył, że mi go dał do schowania w portmonetce. Cintet, który jadł u nas kolację, powiedział, że mu się wydaje, że Quimet zdjął z gwoźdźcia na drzwiach, gdzie zawsze wisiał i wsadził go do kieszeni. Quimet przejrzał wszystkie kieszenie, żeby sprawdzić, czy nie są dziurawe. Ja powiedziałam, że może tylko wydaje mu się, że go zabrał. Quimet jakoby napomknął Cintetowi, że trzeba wziąć klucz od dołu, wobec czego nie jest wykluczone, że Cintet wziął klucz, w ogóle o tym nie myśląc, a teraz nie pamięta, czyli że on go zgubił. Potem ustalili, że jednak ja wzięłam klucz, ale nie mogli się zdecydować kiedy, ani stwierdzić, czy widzieli, jak go brałam. Cintet powiedział, żeby zadzwonić do lokatorów z pierwszego piętra. Ale Quimet nie chciał i miał rację. Tych z pierwszego lepiej było nie tykać. Wreszcie Quimet wymyślił: „Co za szczęście, że mamy warsztat! – powiedział. – Pójdziemy po narzędzia”.

Poszli we dwóch po narzędzia, żeby otworzyć drzwi. Ja zostałam w bramie, patrząc, czy nie nadchodzi nocny stróż, bo mimo żeśmy wołali go, klaskali na niego i chodzili aż do rogu, nie zjawił się i nie było go nigdzie widać. Zmęczona stanem usiadłam na stopniu u wejścia. Oparłam głowę o bramę i patrzyłam na skrawek nieba widoczny między domami. Było trochę wiatru, ale tylko trochę, niebo było bardzo ciemne i przebiegały po nim chmury. Musiałam zrobić wysiłek, żeby nie zamknąć oczu. Brał mnie sen. Noc, wietrzyk i chmury, płynące jakby w pośpiechu wszystkie w tym samym kierunku, usypiały mnie, i myślałam, co by powiedzieli Quimet i Cintet, gdyby po powrocie znaleźli mnie pod bramą tak rozspaną, że nie miałabym siły wejść na górę... Z daleka usłyszałam jakieś kroki, które zbliżały się po bruku...

Przy pomocy świdra Quimet zrobił dziurę w bramie ponad zamkiem, Cintet cały czas powtarzał, że nie wolno, ale Quimet twierdził, że potem zatka dziurę, a przecież musimy się dostać.

Kiedy już przedziurawił drzwi na wylot, zrobił z drutu haczyk, złowił nim linkę – drzwi otwierały się z wewnątrz za pociągnięciem linki – i otworzył dosłownie w tej samej chwili, w której zza rogu wyłonił się nocny stróż.

Weszliśmy jak najszybciej, a Cintet rzucił się do ucieczki. Kiedyśmy się znaleźli w mieszkaniu, natychmiast zauważyliśmy, że klucz spokojnie wisi na drzwiach. Następnego dnia Quimet załatał dziurę kawałkiem korka i jeżeli nawet ktoś cokolwiek zauważył, nikt nie powiedział ani słowa.

– Więc nie zgubiliście klucza! – powiedziała seniora Enriqueta. A ja jej na to, że przez ten czas, cośmy myśleli, żeśmy go zgubili, to było tak, jakbyśmy go naprawdę zgubili.

Nadeszła La Fiesta Mayor i Quimet powiedział, że pójdziemy na Diamentowy Plac, zatańczyć „el ramo”...

Tymczasem spędziliśmy całe święto w domu i Quimet był wściekły, bo odnawiał coś, nad czym się wiele napracował, a okazało się, że ten facet, co to zamówił, tak się z nim wytargował, że Quimet w końcu musiał mu ustąpić. A kto zapłacił za ten zły humor? Naturalnie ja. Kiedy był w złym humorze, zawsze wyjeżdżał z tym samym: „Colometa, nie denerwuj mnie, Colometa, zrobiłaś głupstwo, Colometa, idź, Colometa, chodź. Jaka spokojna... Patrzcie ją, jaka spokojna...”. I latał z jednego końca mieszkania na drugi, jak zwierzę w klatce. I dalej otwierać mi wszystkie szuflady i wywalać na ziemię, co popadło. Kiedy pytałam, czego szuka, nie odpowiadał. Był wściekły, że ja nie złośćczę się na tego, co się z nim wytargował. Nie chciałam się denerwować, więc zostawiłam go samego. Uczesalam się i powiedziałam mu, że idę po coś do picia, bo z tego cholernego rozrabiania tylko zachciało mi się pić. Od razu przestał się awanturować. Na ulicy wszyscy byli weseli, pełno ślicznych dziewcząt w ładnych sukienkach, a z któregoś balkonu zrzucili na mnie dosłownie deszcz kolorowych papierków; kilka z nich wetknęłam sobie głęboko we włosy, żeby nie wyleciały. Wróciłam z dwiema butelkami: Quimet na pół śpiący, siedział na swoim krześle. Na ulicy taka zabawa, a ja muszę zbierać z podłogi i układać do szafy porozrzucaną bieliznę.

A po południu wizyta u jego matki.

– Dobrze wam ze sobą?

– Tak, proszę pani.

Kiedy po wyjściu od niej Quimet uderzeniem buta zapuszczał motor, zapytał mnie:

– Coś mówiła do niej wtedy szeptem?

Powiedziałam, że mówiłam matce, że on ma dużo roboty, a on na to, że niepotrzebnie, bo matka jest rozrzutna i już dawno czeka, żeby on jej kupił miotłę i nowe, szaro-białe pokrycie na materac. Któregoś dnia matka Quimeta zaczęła mi

tłumaczyć, że on jest uparciuch, że od małego doprowadzał ją do wariacji. Że jak go posyłała, żeby coś zrobił, a on nie chciał, siadał na podłodze i nie wstawał, dopóki mu tego kułakami z głowy nie wybiła.

Pewnego niedzielnego ranka Quimet zaczął się skarżyć na nogę. Mówił, że boli go przez sen, że tak jakby miał ogień w szpiku, a raczej między kością a ciałem, chociaż jeżeliby to było w szpiku, toby było w środku kości, więc nie między kością a ciałem.

– Jaka kość?

– Kość? Kości! Trochę kość w samej nodze, a trochę w biodrze, tylko w kolanie nic nie czuję.

Powiedział, że może to reumatyzm. Seniora Enriqueta powiedziała że mu nie wierzy, że on robi to tylko po to, żeby mnie jakoś jeszcze więcej od siebie uzależnić. Całą zimę narzekał na tę nogę. A rankiem, ledwie otworzył oczy, to przy śniadaniu opowiadał mi bardzo dokładnie o tym, jak to go w nocy bolało. Jego matka poradziła, żebym mu przykładała gorące kompresy, i powiedziała, żeby jej nie zawracać głowy, bo ma dosyć kłopotów z tym, co ją samą boli. W końcu gdy tylko wchodził, czy w dzień, czy w nocy, pytałam go, jak noga, a on opowiadał, że w ogóle jej nie czuje.

Rzuczał się na łóżku jak worek, a ja umierałam z przerażenia, że potrzaskają sprężyny w materacach. Żądał, żebym mu zdejmowała buty i wkładała nocne pantofle, miał takie beżowe w szachowniczkę, a przed snem musiałam nacierać mu spirytusem całe ciało, niby przeciw bólowi.

„Ale całe ciało, bo ból jest bardzo cwany i jak się natrze w jednym miejscu, to schodzi trochę niżej, tam gdzie chociaż skrawek jest nienatarty”.

Ja opowiadałam ludziom, że boli go tylko w nocy, ale wszyscy mi mówili, że to coś bardzo dziwnego. Sklepikarz z dołu też uważał, że to bardzo dziwne. „No i co? Dalej mu ta noga nie daje spać?” – „Jak tam noga pani męża?” – „Dziękuję, dobrze. Tylko nocami go boli.” – „Jeszcze go boli noga?” – pytała matka.

Pewnego dnia, na Rambli de las Flores, w środku fali zapachów i kolorów usłyszałam za sobą głos:

– Natalia...

Nie pomyślałam nawet, że to do mnie, tak byłam przyzwyczajona do tej Colometry. Był to mój pierwszy narzeczony: Pere. Narzeczony, którego rzuciłam. Nie odważyłam się zapytać, czy się ożenił ani czy jest zaręczony. Podaliśmy sobie ręce, dolna warga mu drżała. Powiedział, że został sam na świecie, dopiero wtedy zwróciłam uwagę na czarną opaskę na jego rękawie, i popatrzył na mnie jak ktoś,

kto tonie pośród ludzi, kwiatów, tylu sklepów. Powiedział, że któregoś dnia spotkał Julietę, która oświadczyła mu, że wyszłam za męża, i że wobec tego życzy mi dużo szczęścia. Spuściłam głowę, bo nie wiedziałam, co zrobić ani co powiedzieć, i pomyślałam, że muszę jakoś ścisnąć to zmartwienie, jakoś je zmniejszyć, żeby nie wróciło, żeby już ani chwili dłużej nie krążyło w moich żyłach, żeby zrobić z niego kuleczkę, pigułeczkę, połknąć je. A ponieważ był trochę wyższy ode mnie, kiedy tak stałam z pochyloną głową, poczułam, jak ciąży na mnie to całe nieszczęście, które on odczuwa tam wyżej ponad moimi włosami, i wydało mi się, że on widzi mnie całą na wskroś, wszystko, co czuję, każdy mój ból. Dzięki Bogu, że chociaż były tam kwiaty.

W południe, jak tylko wszedł Quimet, natychmiast mu powiedziałam, że spotkałam Perego...

– Pere? – jakby się wykrzywił. – Nie wiem, o kim mówisz.

– Tego chłopca, którego rzuciłam, żeby wyjść za ciebie.

– Rozmawiałaś z nim?

Powiedziałam mu, że spytaliśmy się siebie, co słyhać, a on na to, że powinnam była udawać, że go nie znam. Powiedziałam, że to Pere mnie poznał, ale – jak powiedział – z trudnością, i zanim do mnie przemówił, przyglądał mi się i przyglądał, taka byłam chuda.

– Niech się zajmuje swoimi sprawami.

Za to nie powiedziałam mu, że jak wysiadłam z tramwaju, poszłam popatrzeć na wystawę lalek w „Domu Cerat” i że dlatego się spóźnił obiad.

ROZDZIAŁ X

*M*atka Quimeta zrobiła mi krzyżyk na czole i powiedziała, żeby nie wycierała talerzy: byłam w tym stanie. Kiedy wytarła statki, zamknęła kuchnię i poszliśmy usiąść na balkonie, z jednej strony porośniętym winem, a z drugiej rośliną o nazwie „łzy świętego Józefa”. Quimet oznajmił, że chce mu się spać, i zostawił nas same. Wtedy mama opowiedziała mi, co jej kiedyś zrobili Cintet z Quimetem, jak byli mali, któregoś czwartku po południu, bo czwartki Cintet zawsze spędzał u nich w domu. Powiedziała mi, że posadziła hiacynty, trzy tuziny hiacyntów, i że co rano, jak się tylko obudziła, szła popatrzeć, ile jej urosły. Mówiła, że hiacynty powoli wychodzą z cebulek, tak jakby dawały się prosić, ale w końcu łodyżka pokryła się pączuszkami jak na procesję i po tych pączkach już można było poznać, jakiego koloru będą kwiaty. Najwięcej miało być różowych. Kiedy któregoś czwartku po południu obaj chłopcy bawili się w ogródku, a ona wyszła, żeby im dać podwieczorek, od razu zauważyła, że hiacynty siedzą do góry nogami: cebulki z czterema korzonkami w powietrzu, a pączki, listki i łodyżki w ziemi. Powiedziała, że chociaż nie należy do ludzi używających brzydkich słów, użyła tylko jednego słowa, ale za nic mi nie chciała powiedzieć, jakie to było słowo. I powiedziała: „Przez chłopaków najgorzej się cierpi. Jeżeli będziesz miała chłopaka, uważaj!”.

Kiedy mój ojciec dowiedział się od Quimeta o moim stanie, przyszedł mnie odwiedzić i powiedział, że jest mu obojętne, czy to będzie dziewczynka, czy chłopiec, bo jego nazwiska i tak to już nie przedłużą. Seniora Enriqueta natomiast wciąż tylko mnie pytała, czy mam zachciewajki.

– Jeżeli masz zachciewajki, to się nie dotykaj, a jeżelibyś już musiała się dotknąć, to tylko w pupę.

Opowiadała mi okropne rzeczy o zachciewajkach: o zachciewajkach na winogrona, na wiśnie, na wątróbkę. Najgorsza zachciewajka jest na koźlą głowiznę. Ona знаła jedną kobietę, której się tego zachciało, i ta zachciewajka koźlęcej głowizny odbiła się później na policzku syna tej pani, coś w zarysie oka i ucha, a ona to zauważyła.

I później mi powiedziała, że ludzie się formują w wodzie, najpierw serce, a potem po trochu nerwy, żyły i kości łonowe. Mówiła, że mamy kości łonowe, kręgosłup i chrząstki. Łono i chrząstki są po to, że inaczej nie moglibyśmy

tworzyć się w brzuchu i tam zwinięci leżeć. Że gdyby brzuch był dłuższy, tobyśmy mogli w nim siedzieć, a wtedy w krzyżu mielibyśmy kość tak sztywną jak kij do szczotki. I nawet jako dzieci nie moglibyśmy się zginać.

W lecie akuszerka powiedziała, że powinnam zażywać dużo świeżego powietrza, a już najlepsze byłyby kąpiele morskie. Więc wzięliśmy motor i na plażę. Wszystkośmy przedtem przygotowali, jedzenie i rzeczy. Ręcznik, w pasy żółte, czarne i niebieskie zastępował parawan. Quimet trzymał go, rozpostarłszy ręce na całą szerokość, żebym za nim mogła się przebrać. Śmiał się ze mnie, a było z czego, z takim nie moim brzuchem. Patrzyłam na fale przypluwające i odpływające, wciąż takie same, takie same, takie same... Wszystkie chcą przyjść, a potem wszystkie chcą odejść. Siedząc twarzą do morza, chwilami szarego, chwilami zielonego, a prawie zawsze niebieskiego, do tego nieba z wody, które ruszało się i żyło, które gadało – czułam, jak wszystkie myśli opuszczają mnie, jak robię się zupełnie pusta... Quimet, gdy uważał, że zbyt długo milczę, pytał: „No, jak tam, kochana?...”.

Najgorzej czułam się w czasie powrotu, kiedy zygzakowaliśmy na szosie i kiedy to, co przedtem tylko drżało mi w sercu, teraz podjeżdżało do samych ust. A Quimet mówił, że dziecko, przyzwyczajone w czasie formowania się do jazdy motorem, jako dorosły człowiek będzie wygrywało wszystkie wyścigi, bo mimo że teraz nie wie, że jedzie, ale to czuje, i kiedyś mu się to przypomni. Raz spotkaliśmy jakiegoś jego znajomego i myślałam, że się pod ziemię zapadnę, bo powiedział: „Już ją nafaszerowałem”.

Jego matka dała mi kaftaniczki, które miała jeszcze z dzieciństwa Quimeta, a seniora Enriqueta bandaże do pępuszka, co nie chciało mi się pomieścić w głowie. U góry kaftaniczków były poprzewlekane wstążeczki przez dziurki: raz w tę stronę, raz w tę. Wyglądały, jakby robione dla dziewczynki. Ojciec powiedział, że jakkolwiek jego nazwisko się kończy, chciałby, o ile to będzie chłopak, żeby się nazywał Luis, jeżeli zaś dziewczynka – Margarita, jak moja prababka ze strony matki, ale Quimet zaznaczył, że chrzestny czy nie chrzestny, on sam będzie wybierał imię dla swego syna lub córki. Kiedy wieczorem kładł się spać (zawsze późno, bo bardzo długo przesiadywał nad stołem, na którym rysował projekty), a ja już spałam, zapalał światło i robił co mógł, żebym się przebudziła.

– Już je czujesz?

A kiedy przychodzili Cintet i Mateu, mówił im: „Chłopaczysko będzie wielkości słonia!”.

Już sama, nie wiem, do czego byłam podobna, okrągła jak bania z głową

i nogami. Którejś niedzieli matka Quimeta pokazała mi coś bardzo dziwnego, podobnego do zeschniętego węzlastego korzenia, i powiedziała, że to róża jerychońska, którą ma jeszcze od urodzenia Quimeta. Kiedy nadejdzie ta chwila, mam ją włożyć do wody, a kiedy róża się otworzy, ja także się otworzę.

Dostałam kręcka na temat czyszczenia wszystkiego. Zawsze byłam czysta, ale teraz to była zupełna mania. Cały boży dzień nic tylko szorowałam, wycierałam kurze, a jak już skończyłam sprzątać, zaczynałam od początku. Godziny spędzałam na czyszczeniu jakiegoś kranu, ale skończywszy, zwykle zauważałam na nim jakiś cień i zmów zaczynałam go czyścić, zaczarowania błyskiem, który udawało mi się z niego wydobyć. Quimet chciał, żebym mu co tydzień prasowała spodnie. Nigdy dotąd nie prasowałam i pierwszy raz w ogóle nie wiedziałam, jak się do tego zabrać. Mimo że bardzo się starałam, od połowy nogawki do pasa wyszedł mi podwójny kant. Źle sypiałam i wszystko mnie denerwowało.

Kiedy się budziłam, podtykałam ręce pod same oczy, jakby po to, żeby się przekonać, że to moje ręce, że w ogóle ja to jestem ja. Po wstaniu czułam się jak przepuszczona przez maszynkę. A Quimet z furią wrócił do skarżenia się na ból w nodze.

Seniora Enriqueta powiedziała, że dziwna choroba Quimeta nazywa się gruźlicą kości i że potrzebna mu siarka. Kiedy mu to powtórzyłam, oznajmił, że nie ma zamiaru zdychać przez seniorę Enriquetę. A kiedy mu przygotowałam łyżeczkę miodu z kwiatem siarki, orzekł, że od miodu będą go bolały zęby, i cały dzień nic, tylko gadał o śnie na temat zębów, że domykał ich po kolei językiem i każdy ząb, którego dotknął końcem języka, wylatywał mu z dziąsła i latał po ustach jak kamyczek. I śniło mu się, że ma pełne usta kamieni i że nie może ich wypluć, bo ma zaszyte wargi, i jeszcze po przebudzeniu mu się zdawało, że zęby mu tańczą po ustach, i że taki sen zwiastuje śmierć. I że go bolą zęby. Sklepiarkarka z dołu powiedziała mi, żebym dała mu popłukać wodą makową, bo mak usypia, a woda makowa usypia bóle, ale seniora Enriqueta uprzedziła mnie, że woda makowa może uspić ból, ale że ten ból się potem obudzi i że Quimetowi potrzebne są dobre cążki dentystyczne, a nie żadne bzdury.

Podczas tych wszystkich zębów i kamyków w ustach i snów o śmierci dostałam takiego ataku pokrzywki, że myślałam, że zwariuję. Wieczorami chodziliśmy aż do Ogrodów, żebym miała trochę ruchu. Popuchły mi ręce, kostki i tylko brakowało, żeby mi uwiązali u nogi nitkę, a wzniosłabym się w powietrze.

Na tarasie pośród wiatru i błękitu, kiedy wieszałam bieliznę albo coś szyłam, miałam uczucie, że wypuszczono ze mnie to, czym byłam, i napełniono czymś

bardzo dziwnym. Jakieś tajemnicze „coś” zabawiało się, dmuchając mi w usta, aby mnie nadać.

Siedząc na tarasie sam na sam z otaczającym mnie popołudniem, wiatrem i błękitem, oglądałam moje nogi, a gdy tak patrzyłam na nie, nie mogąc się im nadziwić, po raz pierwszy niespodziewanie głośno stęknęłam.

ROZDZIAŁ XI

Pierwszy krzyk ogłuszył mnie. Nigdy bym nie pomyślała, że mogę mieć taki wysoki głos i krzyczeć tak długo, i że ten cały ból i cierpienie wyjdą mi krzykiem od góry, a dzieckiem od dołu. Quimet biegł po korytarzu tam i z powrotem, klepiąc jedno ojczenasz za drugim. W pewnej chwili, kiedy akuszerka poszła po gorącą wodę, powiedział jej (a cały był żółtozielony), że to jego wina, bo nie umiał przerwać na czas...

Kiedy co jakiś czas miałam moment ulgi, zbliżała do mnie jego matka: „Żebyś wiedziała, jak Quimet cierpi”... Akuszerka przeplotła ręcznik przez kolumienki łóżka i kazała mi trzymać za jego końce i ciągnąć, żeby się napiąć... Kiedy wszystko zbliżało się ku końcowi i nagle pękła jedna z kolumienek, usłyszałam jakby czyjś głos mówiący, ale z tak daleka, że nie mogłam dojść, do kogo by mógł należeć: „O mały włos, a byłaby go zadusiła”.

Kiedy wrócił mi oddech, usłyszałam płacz, a akuszerka, zupełnie jak gdyby to było jakieś małe zwierzątko, trzymała za nóżki dziecko, które już należało do mnie, i płaską ręką uderzała je w pośladki, a obok na nocnym stoliku stała kompletnie rozwinięta róża jerychońska...

Jak przez sen pogładziłam ręką kapę w szydełkowe kwiaty i pociągnęłam za jeden z płatków. Ale mi powiedzieli, że jeszcze nie koniec, że jeszcze muszę wyrzucić łożysko.

I nie pozwolili mi zasnąć, choć zamykały mi się oczy. Nie mogłam karmić: jedną pierś miałam małą i gładziutką, jak zawsze, drugą pełną mleka, a Quimet powiedział, że był z góry przygotowany na to, że mu wytnę jakiś numer. Dziecko, chłopiec, przy urodzeniu ważyło około cztery kilo, ale w miesiąc potem już tylko dwa, i pół. „Topnieje nam” – mówił Quimet. Rzeczywiście topniało jak kawałek cukru w szklance wody. Jak będzie ważyło pół kilo, to umrze...

Kiedy seniora Enriqueta po raz pierwszy przyszła je zobaczyć, już знаła całą historię przez sklepikarkę z dołu. „Podobno o mały włos go nie zadusiłaś?”

Quimet był bardzo przejęty i zrzędził, że wszystko na jego głowie, że musi teraz zrobić nową kolumienkę, bo tamtą tak połamałam, że nie ma mowy o sklejeniu.

Dziecko płakało nocami. Jak tylko się ściemniło, zaczynało płakać. Matka Quimeta mówiła, że płacze, bo się boi ciemności, ale Quimet mówił, że dziecko

nie wie, co to są ciemności, a co dzień. Ani smoczek, ani pokarm, którego nie chciał, ani noszenie go, ani śpiew nie były w stanie go uciszyć. W końcu Quimet stracił cierpliwość, krew uderzyła mu do głowy, takie życie to nie życie, mówił, i że to nie może trwać, bo jeżeli będzie trwało, on we własnej osobie przypłaci to życiem. Położył dziecko do kołyski w ciemnym pokoju, a kiedy szliśmy spać, zamykaliśmy drzwi. Sąsiedzi z dołu słyszeli, że płacze, i zaczęło się gadanie, że jesteśmy złymi rodzicami. Dawałam mu mleka, ale nie chciał. Dawałam mu wody, ale nie chciał. Dawałam mu soczek z pomarańczy, to go wypluwał. Przewijałam go, a on w bek. Kapałam go, a on w bek. Był nerwowy, zmieniał się i chudł, nóżki miał w końcu jak patyczki. Rozebrany, płakał jeszcze bardziej niż ubrany i poruszał paluszkami u nóg, jakby to były rączki, i tak ryczał, że bałam się, że pięknie, że otworzy mu się ten cały pępek. Bo jeszcze mu nie odpadł, chociaż było widać, że ma zamiar.

Pierwszego dnia, gdy zobaczyłam go takim, jakim go urodziłam, akuszerka pokazując mi, jak należy go trzymać do kąpieli, i wkładając go do miednicy, powiedziała:

– Przed urodzeniem wszyscy jesteśmy jak gruszki: wszyscy wisimy na tym sznureczku. I pokazała, jak go należy wyjmować z kołyski podtrzymując główkę. Gdyby jej nie podtrzymywać, to ponieważ kości są mięciutkie, mogłaby mu się złamać szyjka.

Ciągle powtarzała, że pępek jest najważniejszą rzeczą, tak ważną jak główka, która póki się nie zrośnie, też jest mięciutka.

A dziecko z dnia na dzień robiło się bardziej pomarszczone, bo im więcej chudło, tym więcej płakało. Było widać jak na dłoni, że ma dosyć życia. Julieta przyszła odwiedzić mnie i przyniosła mi w prezencie szalik na szyję, biały jedwabny, w boże krówki, i torebkę cukierków. Powiedziała, że ludzie myślą tylko o dziecku, a nikt nie pamięta o matce, i powiedziała również, że to dziecko nie będzie żyło, żebyśmy więcej nie zawracali sobie tym głowy, bo jak dziecko nie chce ssać, to już jakby nie żyło.

Ta jedyna pierś, w której miałam mleko, też zaczęła mi pękać i straciłam mleko. Zawsze słyszałam, że mleko ma dziwne kaprysy, ale nigdy nie myślałam, że aż takie... Aż po trochu dziecko nauczyło się pić ze smoczka, pierś mi się zgoiła, a matka Quimeta przyszła po jerychońską różę, która już się zamknęła, i zabrała ją, przedtem zawinawszy w bibułkę.

ROZDZIAŁ XII

Seniora Enriqueta huśtała dziecko, które miało na imię Antoni, i śpiewała mu jak na ulicy: „Do kasztanów! Do kasztanów!”.

Chłopak śmiał się, a ona przybliżyła go do obrazu, żeby dobrze obejrzał langusty, na co on natychmiast się marszczył i wypluwał ślinę brrr... brrr... Quimet znowu zaczął skarżyć się na nogę, która bolała go bardziej niż dotąd, poza swędzeniem, które teraz już miał i w kości, i poza kością; kłuło go w drugim boku, gdzieś w okolicy pasa. „Zaatakowało mi nerw” – mówił. Seniora Enriqueta powiedziała mi któregoś dnia, że jej zdaniem wygląda bardzo zdrowo, na co jej odpowiedziałam, że w nocy oka zmrużyć nie może, tak go boli.

– A ty mu wierzysz? Ma policzki jak róże, a oczy jak brylanty!

W poniedziałki matka Quimeta niańczyła dziecko, żebym mogła popracć co grubsze sztuki. Quimet twierdził, że nie lubi, jak matka zostaje z dzieckiem, bo zna ją i wie, że któregoś dnia w czasie wiązania i rozwiązywania swoich kokardek w ogóle o nim zapomni, zostawi je na stole, a dziecko spadnie na ziemię, tak jak się to zdarzyło jemu, kiedy nie miał roku.

Często z małym na ręku chodziłam oglądać lalki: stały tam sobie pyzate, ze szklanymi oczami, noseczkiem i troszkę uchyloną buzią, zawsze roześmianą i jakby w zachwycie. Nad tymi buziami czółko i przedziałek wśród włosów błyszczących od gumy, którą były przyklejone. Jedne lalki leżały w głębi pudełek jak w grobach, z zamkniętymi oczami i rękami opuszczonymi wzdłuż ciała, inne w pudełkach postawionych na sztorc i miały oczy otwarte, ale najbiedniejsze były te, które zarówno leżąc, jak i stojąc, zawsze patrzyły.

Stały sobie ubrane, niebiesko, różowo, z riuszką dokoła szyjki i kokardkami trochę poniżej pasa, w muślinowych spodzikach. Lakierki im błyszczały, miały białutkie, dobrze podciągnięte skarpetki, a kolana umalowane na cielisto, ciemniejsze niż same nogi.

Zawsze na miejscu, takie śliczne na tej wystawie w wiecznym oczekiwaniu, że ktoś je kupi i weźmie ze sobą...

Zawsze na miejscu, z porcelanowymi twarzami i ciałami z masy, obok lisich futerek do ścierania kurzu, piórek, skórek irchowych (prawdziwych i ich imitacji) – bo wszystko to było w „Domu Cerat”.

Przypominam sobie też gołębia i lejek. Quimet kupił lejek, jeszcze zanim

zjawił się gołąb. Gołębia zobaczyłam pewnego ranka, kiedy otwierałam żaluzje w stołowym. Miał zranione skrzydło, był półżywy i poplamiał mi podłogę krwią. Był młodziutki. Wyleczyłam go i Quimet powiedział, żeby go zatrzymać, że zrobi mu klatkę na balkonie, żebyśmy mogli widzieć go ze stołowego, wytworną klatkę otoczoną galeryjką, z czerwonym daszkiem i dzwoneczkami z kołatką, i że dziecko będzie miało z niego radość. Przez kilka dni trzymaliśmy go przywiązanego za nóżkę do żelaznej balustradki balkonu.

Przyszedł Cintet i powiedział, że trzeba by go puścić, że pewnie należy do któregoś z sąsiadów, bo inaczej nie mógłby dolecieć aż do nas, ze zranionym skrzydłem.

Weszliśmy na taras, żeby się rozejrzeć wokoło, ale nie zobaczyliśmy żadnego gołębnika. Cintet ze skrzywioną gębą mówił, że to nie do pojęcia. Mateu namawiał, żeby go zabić, że to lepiej dla niego, niż gdyby żył przywiązany i uwięziony. Wtedy Quimet zabrał go z balkonu, zaniósł do komórki na tarasie i powiedział, że zrobi co innego, że zamiast robić mu klatkę, zrobi mu gołębnik i że ojciec jego czeladnika, który hoduje gołębie, sprzeda nam na próbę gołębiczkę do pary z naszym.

Czeladnik przyszedł z koszykiem, w którym miał gołębicę, ale dopiero z trzecią nasz się dobrał.

Znalezonego gołębia nazwaliśmy Cafe, bo miał kawowego koloru półksiężyc pod skrzydłem. Jego żonę nazwaliśmy Maringa.

Cafe i Maringa, razem zamknięci w komórce na tarasie, nie mieli dzieci. Maringa znosiła jajka, ale piskłeta nie zalegały się. Seniora Enriqueta twierdziła, że samiec jest nic niewart, do wyrzucenia. „Nie wiadomo, skąd się wziął” – mówiła.

I mówiła, że może to gołąb pocztowy, którego karmiono Bóg wie czym, żeby go podniecić do jak najwyższego latania.

Kiedy powtarzałam Quimetowi to, co mówiła seniora Enriqueta, niezmiennie odpowiadał, żeby się zajmowała swoimi sprawami, że chyba ma dość roboty z pieczeniem kasztanów.

Mama Quimeta mówiła, że nie mamy pojęcia, ile pieniędzy będzie nas kosztowało założenie gołębnika, Już tam nie wiem kto, radził, żeby narwać pokrzyw, ususzyć je, wieszając na dachu, a potem, posiekane, dawać gołębiom, że to doda im sił i że będą znosiły pełne jaja. Seniora Enriqueta opowiedziała mi, że знаła jedną Włoszkę o nazwisku Flora Caravella, która zdrowo się puszczała, a jak się zestarzała, założyła dom, gdzie zamieszkały różne Flory Caravelle, a dla

rozrywki zaczęła na tarasie hodować gołębie, którym dawała pokrzywy. I że matka Quimeta ma rację, jak mówi, że trzeba im dawać pokrzywy. Kiedy jej powiedziałam, że to wcale nie matka Quimeta mówiła nam o tych pokrzywach, uznała, że to wszystko jedno, że obojętnie, kto to powiedział, ale ten, kto to powiedział, miał rację, bo gołębie powinny jeść pokrzywy.

Ranny gołąb i lejek prawie równocześnie zjawiły się w naszym domu, bo na dzień przed gołębiem Quimet kupił lejek, cały biały z granatowym brzegiem, żeby przelewać wino z gąsiora do butelek, i powiedział, żebym uważała, bo jeżeli mi upadnie na ziemię, pójdzie w drobny mak.

ROZDZIAŁ XIII

Zrobiliśmy ten gołębnik. Tego dnia, kiedy Quimet miał go zacząć, lało jak z cebra, więc całą stolarnię rozłożył w stołowym. Tam piłowało się paliki, przygotowywało wszystko po kolei. Dopiero kiedy całkowicie skończył drzwiczki, zaniósł je na taras wraz z zasuwką i wszystkim, co było potrzeba.

Cintet przychodził i pomagał mu, kiedy tylko mógł, i w pierwszą pogodną niedzielę wszyscy znaleźli się na tarasie, patrząc, jak Mateu robi w komórce okno z szerokim parapetem, żeby gołębie przed wyfrunięciem mogły na chwilę przysiąść i zastanowić się, dokąd polecą.

Wyrzucili mi z tej komórki wszystko: koszyk od czystej bielizny, krzeselka...

– Eksmitujemy Colometę...

Obiecali, że potem zrobią mi coś na moje rzeczy, ale tymczasem musiałam wszystko znieść do mieszkania, a chcąc usiąść na tarasie, za każdym razem musiałam wynieść sobie krzesło.

Powiedzieli, że zanim pozwolą gołębiom wyjść z gołębnika, muszą go pomalować. Jeden chciał na zielono, drugi na niebiesko, trzeci na czekoladowo. Pomalowali go w końcu na niebiesko, a malarzem okazałam się ja. Bo od kiedy gołębnik został skończony, Quimet był we wszystkie niedziele zajęty, ale uprzedził mnie, że jeżeli gołębnik długo będzie stał niepomalowany, deszcz uszkodzi drewno.

Ze śpiącym albo beczącym Antonim na podłodze zabrałam się do malowania. Dałam trzy warstwy. Tego dnia, kiedy farba wyschła, wszyscy poszli na taras. Pierwszy wyszedł biały z czerwonymi oczkami, czerwonymi łapkami i czarnymi pazurkami. Potem czarny o czarnych łapkach i szarych oczach z żółtą obwódką.

Jeden i drugi przed pofrunięciem spacerowały dłuższą chwilę, rozglądając się na wszystkie strony. Wielokrotnie pochylały i wznosiły głowy i już wydawało się, że sfruną, ale jeszcze się zastanawiały. Wreszcie z trzepotem uniosły się. Jeden zatrzymał się obok naczynia z wodą, drugi obok naczynia z jedzeniem.

Samiczka, niby pani w żałobie, potrząsnęła główką i nastroszyła piórka na szyi, a on się przybliżył, rozpostarł ogon i zaczął krążyć i puszyć się, a potem gruchać. Wszyscy milczeliśmy; wreszcie odezwał się Quimet: stwierdził, że gołębie są szczęśliwe.

Powiedział, że kiedy nauczą się wlatywać i wylatywać przez okienko, otworzy

im drzwiczki, i wtedy będą mogły wchodzić i wychodzić ze wszystkich stron, ale jeżeliby im od razu otworzyć drzwiczki, zanim nauczą się wlatywać przez okno, to już by nigdy nie wlatywały przez okno. Zrobił im na dodatek nowe gniazda do wysiadania, bo te, co miały dotychczas, były pożyczone od ojca tego czeladnika.

Jak już wszystko było gotowe, zapytał, czy nie zostało trochę niebieskiej farby, a kiedy powiedziałam, że tak, kazał mi pomalować barierkę balkonu. Po tygodniu przyniósł jeszcze jedną parę gołębi, bardzo dziwnych, z takim jakimś kapturem, że wyglądały, jakby nie miały szyi, i powiedział, że to są gołębie-zakonnicy. I nazwał je Mnich i Mniszka, ale poprzednie, które czuły się gospodarzami gołębnika, od razu je pobiły, żeby pokazać, że nie potrzebują nowych lokatorów. Zakonnicy jednak, zachowując się tak, jakby tamtych w ogóle nie było, i zgadzając się nawet na głodowanie i branie skrzydłem po głowie, w końcu doprowadziły do tego, że stare przyzwyczały się do nich i że razem stały się gospodarzami. Od tej pory robiły co chciały, a jeżeli nie mogły, rzucały się na tamte i atakowały z nastroszonym kapturem. Po piętnastu dniach Quimet przyniósł jeszcze jedną parę gołębi, tym razem z pawimi ogonami, bardzo zarozumiałych, które cały dzień puszyły się z wypiętą piersią i rozpostartymi skrzydłami.

Kiedy teraz stare zniosły jajka, wszystko poszło dobrze.

ROZDZIAŁ XIV

Zapach mięsa, ryb, kwiatów i jarzyn łączył się w jedno i nawet gdybyn była ślepa, zdałabym sobie od razu sprawę z tego, że zbliżam się do targu. Wyszłam z mojej ulicy i przeszłam przez Calle Mayor, po której w obie strony pędziły tramwaje, żółte i rozdzwonione.

Motorniczy i konduktor mieli mundury w tak wąskie paseczki, że wyglądały, jakby były jednolicie szare. Słońce nadchodziło od strony Paseo de Gracia i pomiędzy rzędami domów lało się ma bruk, na ludzi, na kafle tarasów.

Zamiatacze jak zaczarowani zamiatali powoli, wielkimi miotłami z brzozowych różeg, rynsztoki i ścieki. Włączyłam się w targ, w jego zapach i krzyki, w rzekę poszturchiwań, tłoczących się kobiet i koszyków. Moja sprzedawczyni ostryg w niebieskim fartuchu z mankietami nabierała pełne miarki małżów, już obmytych w słodkiej wodzie, lecz wciąż jeszcze przechowujących w zaciśniętym wnętrzu zapach morza.

Stoisko podrobów śmierdziało śmiercią: na kapuściane liście spływała krew z baranich nówek, z baranich głów o szklanych oczach, z serc ukazujących w środku kanalik zamknięty czarnym skrzepem... Z haków zwieszały się wilgotne wątroby, podgotowane flaki i gotowane cielęce łby, a podrobiarki o białych, woskowych twarzach od ciągłego wdychania zapachu różowych podrobów, od stałego babrania się w tych przysmakach pozbawionych smaku, stały tyłem do ludzi, jakby knuły coś złego...

Moja rybiarka, w uśmiechu pokazująca złote zęby, odważała wielohaczykowe sznury obwieszane rybami: w każdej ich łusce, tak maleńka, że niemal niewidoczna gołym okiem, odbijała się żarówka zawieszona nad koszem pełnym ryb: dorady, płaszczy, wargacze, wielkogłowe skorpeny, które wyglądały jak świeżo malowane, ze swym grzbietem pełnym kolców, podobnych cierniom wielkiego kwiatu; wszystko to kłębiło się, wałąc ogonami i wysadzając na wierzch oczy wśród zapachu, od którego – jeżeli znalazłam się w jego zasięgu – robiło mi się niedobrze.

Stara, chuda i zawsze czarno ubrana jarzyniarka, matka dwóch chłopaków uprawiających jej warzywny ogród, zawsze odkładała dla mnie sałatę.

I tak wśród małych kłopotów płynęło to życie, aż pewnego dnia nastąpiła republika. Podniecony Quimet latał po ulicach, krzycząc i wymachując nie

wiadomo skąd wyciągniętą chorągwią.

Jeszcze dziś pamiętam świeżość tego powietrza, powietrza, którym – to także sobie przypominam – już nigdy więcej nie udało mi się odetchnąć. Nigdy więcej. Powietrza połączonego z zapachem młodych liści i pąków, powietrza, które znikło i nigdy już więcej nie pojawiło się takie jak owego dnia, który zapamiętałam, a było to w kwietniu i kwiaty były w pąkach, bo od tamtego dnia moje małe kłopoty zmieniły się na większe.

– Spakowali się, a teraz won! – wołał Cintet i dodawał, że król każdej nocy spał z inną aktorką, a królowa, wychodząc na ulicę, nakładała sobie „sztuczną twarz”.

– I tak nie wszystko jeszcze jest wiadome – dorzucił Quimet.

Cintet i Mateu wpadali często, Mateu co dzień był bardziej zakochany w Griseldzie i mówił: „Jak jestem z Griseldą, ścisza mi się serce...”, a Quimet z Cintetem, że zwariował, że miłość go ogłupiła, a on nic tylko o swojej Griseldzie; rzeczywiście nie był w stanie o niczym innym mówić, zupełnie był otumaniony, za co go zresztą szanowałam.

Mówił, że po ślubie był tak wzruszony, bo – mówił – mężczyźni są wrażliwsi niż kobiety, że kiedy zostali sami, o mały włos nie zemdlał.

Quimet, bujając się w swoim krześle, uśmiechał się pod nosem i obaj z Cintetem doradzali mu, żeby zajął się sportem, bo kiedy ciało jest zmęczone, głowa mniej pracuje, i jeżeli będzie spędzał całe dnie na myśleniu o tym samym, w końcu ubiorą go w koszulę o bardzo długich rękawach, które zwiążą na plecach na marynarski węzeł.

Zastanawiali się, jaki sport najlepiej by mu leżał, a on mówił, że jako majster na budowie i tak lata z jednego końca na drugi, co daje mu fizyczne zmęczenie, więc jeżeli go zmuszą, żeby męczył się dodatkowo, kopiąc piłkę albo pływając w stoczni, nie będzie w stanie zaspokoić swojej Griseldy, która poszuka sobie innego, co ją lepiej obsłuży. Dużo na ten temat gadali, lecz nie wtedy, gdy Mateu przyprowadzał Griseldę, bo czuli się skrępowani i nie mogli dawać mu rad, więc kończyło się na rozmowie o republice i hodowaniu gołębi.

Gdy tylko Quimet widział, że rozmowa się urywa, zabierał wszystkich na taras, gdzie opowiadał im o życiu gołębi i pokazywał pary; mówił, że są takie, co uwodzą żony innych, i takie, które zawsze mają te same żony, i że jeżeli jemu tak dobrze się chowają, to dlatego, że daje im do picia wodę z siarką. I godziny całe gadali o tym, czy Pachuli szykuje gniazdo dla Tigrady, i o tym, że pierwszy gołąb, ten okrwawiony na balkonie, z czerwonymi oczami i czarnymi pazurkami,

ten, cośmy go nazwali Cafe, miał pierwsze pisklęta całe w czarne plamy i z szarymi nóżkami. Quimet mówił, że gołębie są jak ludzie, z tą różnicą, że znoszą jajka, umieją fruwać i są ubrane w pióra, ale że w momencie, kiedy się rodzą dzieci i trzeba je wykarmić, są także jak ludzie. Mateu zaznaczał, że nie lubi zwierząt i że nigdy nie jadłby piskląt wyhodowanych w domu, bo zabić pisklę zrodzone w domu, to jakby zabić kogoś z rodziny. Na co Quimet jednym palcem dotykał go w pasie i mówił: „Zobaczyłbyś, jakbyś był głodny”...

To, że gołębie zaczęły opuszczać gołębnik i że pozwoliliśmy im fruwać, spowodował Cintet, który twierdził, że gołębie nie są stworzone do życia między prętami, tylko do latania w błękitnie.

Pewnego dnia otworzył im drzwi na całą szerokość, a Quimet objąwszy głowę rękami zmienił się w słup soli: „Nigdy więcej ich nie zobaczymy”.

Gołębie nieufnie wyfruwały z gołębnika jedne za drugimi, podejrzewając, czy aby to wszystko nie okaże się pułapką. Niektóre przed wyfrunięciem wchodziły na balustradę i rzucały okiem dokoła. Nie były przyzwyczajone do wolności i zwlekały z zakosztowaniem jej.

Tylko trzy czy cztery pofrunęły od razu. Gdy Quimet zobaczył, że gołębie krążą w kółko nad naszym dachem, odzyskał kolory i oznajmił, że wszystko dobrze. Kiedy już gołębie zmęczyły się fruwaniami, zaczęły zniżać się jeden po drugim i pchać się do gołębnika drobnym kroczeniem, jak staruszki na mszę, ruszając głowami w przód i w tył, jak dobrze naoliwione maszynki. Od tego dnia nie mogłam więcej suszyć bielizny na tarasie, gołębie mi ją brudziły. Musiałam wieszać ją na balkonie. Cóż – trudno.

ROZDZIAŁ XV

Quimet oznajmił, że dziecko potrzebuje powietrza i ruchu: mniej tarasu, mniej babcinego ogródka. Sfabrykował coś w rodzaju drewnianej kołyski, którą przyczepił do motoru, brał dziecko dosłownie jak paczkę – nie miało przecież nawet roku – i wraz z buteleczką z jedzeniem przywiązywał je do kołyski. Jak widziałam, że wychodzą, zawsze miałam uczucie, że ich już więcej nie zobaczę. Seniora Enriqueta mówiła mi, że chociaż Quimet nie uzewnętrznia swych uczuć, kiedy chodzi o małego, jest zupełnie nieprzytomny: wyrabia z nim Bóg nie wie co. Kiedy wyjeżdżali, otwierałam balkon, żeby z daleka słyszeć warczenie powracającego motoru. Quimet wyjmował dzieciaka z kołyski prawie zawsze śpiącego, wlatywał na górę po dwa schody i oddawał mi go: „Trzymaj! Samo zdrowie i powietrze! Teraz będzie spał osiem godzin bez przebudzenia!”.

A w półtora roku... Równo w półtora roku nowa niespodzianka: Drugie! Znow miałam fatalną ciężę, zła cały czas jak pies.

Quimet nieraz przesunął mi palcem pod oczami mówiąc: „Fiołkowe oczki – będzie dziewczynka”. W tym okresie aż coś mi się robiło, kiedy wyjeżdżali motorem, seniora Enriqueta mówiła, że muszę się jakoś wziąć w karby, bo jak będę tak się denerwowała, to formujące się dziecko ułoży się na wywrót i będą mi je musieli kleszczami wyciągać. Quimet zaś występował z dowcipami: czy mam zamiar połamać drugą kolumnę u łóżka, bo jeżeli tak, to tym razem, jak będzie zakładał nową, wsadzi w środek żelastwo. I że nikt nie jest sobie w stanie wyobrazić, co go kosztował ten nieszczęsny bal na Diamentowym Placu. Fiołeczki... Fiołeczki...

Urodziła się dziewczynka i nazwaliśmy ją Rita.

Mało brakowało, a byłabym oddała duszę Bogu, krwawiłam jak zarzynany baran i nie było sposobu zatamować. Antoni z punktu zaczął być o dziewczynkę zazdrosny, tak że musiałam uważać. Któregoś dnia złapałam go, jak wdrapał się na stół obok kołyski i usiłował wpakować jej do gardła bąka; kiedy podeszłam, dziewczynka z tą swoją główką w kształcie kokosowego orzecha była zupełnie sina. Po raz pierwszy złapałam Antoniego, tak że jeszcze po trzech godzinach ryczał, ona zresztą także, oboje uświnieni i cali w smarkach.

Kiedy biłam Antoniego, to choć był mały, tak wściekle kopał mnie po nogach,

że aż upadł na pupę. Jeszcze nigdy nikt nie patrzył na mnie z taką złością jak ten dzieciak, kiedy go biłam.

Kiedy czasami przychodzili Cintet i Mateu z Griseldą i córeczką i któreś z nich mówiło, że mała jest ładna, Antoni maszerował prosto do kołyski, wdrapywał się, na co mógł, i dalej ją bić i szarpać za włosy.

„Tylko tego brakowało tej małej od gołąbków” – mawiała Griselda z córeczką wtuloną w spódnicę, ładną, choć zupełnie nieumiejącą się śmiać. Griseldę trudno mi opisać. Była biała z paroma piegami na każdym policzku i spokojnymi oczami koloru mięty, cienka w pasie, cała jedwabna, w lecie nosiła wiśniową sukienkę. Laleczka. Mówiła mało. A Mateu gapił się w nią i od tego gapienia rozpadał się, rozkruszał... „Tyle lat, co już jesteśmy po ślubie...” – „Nie wyglądacie na to”... A Quimet swoje: „Fiołki. Popatrzcie na fiołki, Colometa – cała jak fiołek”. Bo po dziecku zostało mi to, co miałam, kiedy na nie czekałam: całkiem niebiesko podbite oczy.

Żeby jakoś wybić małemu z głowy zazdrość o Ritę, Quimet kupił mu rewolwer: kupa niklu, cyngiel krak – krak i drewniana rączka, „żeby straszyć babcię!” – mówił. – „Jak przyjdzie babcia, strzelasz i uciekamy!” Bo Quimet był zły na matkę, która uczyła małego, żeby mówił, że go mdli i że nie może jeździć motorem. Twierdził, że matka chce z niego zrobić dziewczynkę, że to starodawne mody i że jak długo tak można... A mały, który ciągle słyszał, jak Quimet narzeka na nogę, nauczył się udawać kulawego. Był jakiś okres, kiedy się o tym nie mówiło, ale po tym, jak chodziłam z Ritą, znowuśmy zaczęli: „Paliła mnie tej nocy noga, nie słyszałaś, jak jęczałem?”. A dzieciak zaczął go naśladować; kiedy nie chciał jeść, mówił, że go boli noga, rzucał o ziemię talerzem z zupą i sztywny niby sędzia, rozparty na tronie, walił widelcem na znak, że czeka na wątróbkę, swoją ulubioną potrawę. Choć gdy nie miał apetytu, wyrzucał i to. A kiedy seniora Enriqueta albo matka Quimeta przychodziły do mnie z wizytą, stawał naprzeciw nich z rewolwerem i zabijał je po kolei; jak któregoś dnia seniora Enriqueta udała, że naprawdę ją zabił, tak strasznie się ucieszył, że potem już zabijał ją bez przestanku i musiałyśmy zamknąć go na balkonie, żeby móc chociaż trochę pogadać.

ROZDZIAŁ XVI

Wtedy to się zdarzyło. Od czasu do czasu Quimet miewał coś w rodzaju lęku. Nie mówił wtedy o nodze, tylko o tym lęku, że kiedy zje, to się czegoś boi. A apetyt miał olbrzymi. Więc siadał do stołu i wszystko było w porządku, a w jakieś dziesięć minut po jedzeniu zaczynał się ten lęk. W warsztacie miał mniej roboty i myślałam, że może mówi, że ma lęki, zamiast powiedzieć po prostu, że ma mniej roboty.

Któregoś rana, kiedy rozrzucałam pościel, znalazłam na tym miejscu, na którym sypiał Quimet, taką jakby tasiemkę, coś jakby kiszkę o falistych brzegach. Zawinęłam ją w biały papier listowy, a kiedy przyszedł Quimet, pokazałam mu, a on powiedział, że weźmie i pokaże to w aptece, i powiedział, że jeżeli to kiszka – to koniec z nim.

Nie mogłam usiedzieć i po południu wzięwszy oboje dzieci, poszłam do warsztatu. Quimet się zgniewał i zapytał, co tu robimy, więc powiedziałam, że akurat przechodziliśmy, ale zrozumiał i posłał czeladnika po czekoladę dla dzieci. Kiedy czeladnik zamknął za sobą szklane drzwi, powiedział:

– Nie chcę, żeby ten szczeniak się dowiedział, bo w pięć minut będą wiedzieli wszyscy święci. – Zapytałam, co powiedzieli w aptece, a on na to, że powiedzieli, że ma solitera wielkości konia, „takiego wielkiego, jak rzadko spotkać”, i dali mu lekarstwo, żeby go zabić. Powiedział, że jak czeladnik przyniesie czekoladę, to mamy zaraz sobie iść, a pogadamy wieczorem. Czeladnik wrócił z tą czekoladą, Quimet dał całą synkowi, a małej tylko do polizania, i poszliśmy do domu. Kiedy wrócił wieczorem, powiedział:

– Dawaj no szybko kolację, bo tak w aptece kazali; mówili, że jeżeli nie będę dużo jadł, to ten robak mnie zacznie jeść.

Podczas jedzenia znów miał lęki wprost nie do wytrzymania, więc powiedział, że w niedzielę bierze to lekarstwo i że problem w tym, żeby całego solitera wyrzucić, bo jak się nie wyrzuci caluteńkiego od głowy aż do ogona, to on odrasta, jeszcze o dwie dłonie dłuższy, niż był przedtem. Pytałam, czy mu mówili, jakiej długości są takie robaki; powiedział, że bywają różnych wymiarów, zależnie od wieku i gatunku, ale że przeważnie sama szyjka potrafi mieć z 10 cali.

Cintet i Mateu przyszli zobaczyć, jak się zażywa takie lekarstwo, ale ich wyrzucił, bo chciał być sam. Po paru godzinach zaczął chodzić po korytarzu tam

i nazad, tam i nazad, jakby nie wiedział, co robi, i powtarzał tylko: „Gorzej niż na łodzi...”.

Mówił, że czuje, jak robak walczy o to, żeby on wyrzucił lekarstwo, ale że jak on wyrzuci lekarstwo, to trzeba będzie zaczynać wszystko od początku. Kiedy dzieci spały już jak aniołeczki, a i mnie zamykały się oczy i nieprzytomna ze snu wałęsałam się z kąta w kąt, wyrzucił tego robaka. Nigdy nie widzieliśmy nic podobnego, bo był koloru makaronu bez jajek, więc w słoiku po marmoladzie zaleliśmy go spirytusem; Cintet razem z Quimetem tak go ułożyli, że przede wszystkim widać było taką zakręconą szyjkę, cienką jak nitka do cerowania, i wzniesioną do góry głowę wielkości szpilki albo i mniejszą.

Postawiliśmy go na szafeczce i więcej jak tydzień tylkośmy o tym mówili. Quimet mówił, że jesteśmy identyczni, bo ja urodziłam dzieci, a on robaka, co miał piętnaście metrów długości.

Któregoś dnia sklepikarka przysłała na górę, żeby go obejrzyć, i powiedziała, że jej dziadek też miał takiego, a kiedy po nocach chrapał, to się dławił i kaszłał, bo on mu wysadzał głowę przez usta.

Potem poszliśmy na taras pokazać jej gołębie, bo bardzo lubiła, więc była bardzo zadowolona. A kiedy otworzyłam drzwi mieszkania, usłyszałam ryki małej i znalazłam ją w kołysce rozpaczliwie machając łapkami, całą uplątaną w tego robaka, więc jak zdjęłam z niej robaka, to pognałam przyłożyć Antoniemu, ale on pędem przeleciał mi przed samym nosem, pękając ze śmiechu i ciągnąc za sobą kawałek tego świństwa jakby to była serpentyna.

Nie opiszę wściekłości Quimeta. Chciał zbić małego, ale mu powiedziałam, żeby dał spokój, że to nasza wina, bo nie dość wysoko postawiliśmy słoik z tym robakiem; od tego dnia, kiedy wsadził Ricie bąka w buzię, powinniśmy byli wiedzieć, że z taboretu może wszędzie sięgnąć, a Cintet mu powiedział, żeby się nie przejmował, bo wkrótce będzie miał drugiego w słoiku, z pewnością już mu się kluje. Ale tak się nie stało.

ROZDZIAŁ XVII

Coś marnie było z robotą. Quimet mówił, że praca odwróciła się do niego tyłem, ale że sobie poradzi, że ludzie są stroskani i nie myślą o odnawianiu mebli ani o robieniu nowych, że bogaci krzywią się na republikę. A moje dzieci... Bo ja wiem, niby wiadomo, że każda matka przesadza, ale moje dzieci były rzeczywiście jak kwiatuszki. Nie takie, żeby miały brać jakieś tam nagrody, ale dosłownie jak kwiatuszki; oczki to miały takie, że jak się tymi oczkami spojrzyły, to aż coś się robiło... Nie wiem, jak Quimet zdobywał się na to, żeby często gniewać się na chłopca. Ja gniewałam się na niego tylko, jak już niemożliwie coś przeskrobał; jeżeli nie – to wszystko mu przepuszczałam. Dom nie był taki jak dawniej, jak po ślubie. Czasami, żeby nie powiedzieć zawsze, przypominał graciarnię.

A już nie mówmy o tym, jak wyglądał od czasu, kiedy założyliśmy gołębnik; szkoda słów: wszystko było w wiórach, w ścinkach i pokrzywionych gwoździach.

Praca rzeczywiście odwróciła się tyłem i nieraz bywaliśmy głodni, ale Quimet niemalże nie zdawał sobie z tego sprawy, bo wraz z Cintetem zaplątali się w jakieś, licho wie jakie, historie.

Nie mogłam patrzeć na to wszystko z założonymi rękami i pewnego dnia zdecydowałam, że na ranne godziny poszukam sobie jakiegoś zajęcia: dzieci zamknę w stołowym, pogadam z Antonim (bo kiedy mówiło się do niego jak do dorosłego, słuchał) i ranek szybko przeleci.

Poszłam się zwierzyć seniorze Enriquetcie, a potem sama, cała drżąc, poszłam tam, gdzie mnie posłała: poszukiwali tam jakiejś pomocy domowej na rano. Dzwonię. I czekam. I znowu dzwonię. I znowu czekam. I właśnie kiedy myślałam, że dzwonię do mieszkania, w którym nikogo nie ma, słyszę głos, ale akurat przejeżdżała ciężarówka, tak że wskutek hałasu nie usłyszałam, co mówił ten głos, więc znowu czekam.

Drzwi były żelazne, wysokie, z matową szybą całą w bąbelki, a na szybie paskami gumowanego papieru przyklejony był napis: „Dzwonić do drzwi od ogrodu”. Ale znów zadzwoniłam i znów usłyszałam głos, który szedł z okna koło bramy, które sięgało do samej ziemi, całe było okratowane, w dodatku ze sztabami żelaznymi, i założone metalową siatką, taką, z jakiej się robi kurniki, tylko lepszą. Głos powiedział:

– Proszę obejść dookoła!

Najpierw, zatrzymałam się, żeby pomyśleć, ale potem spojrzałam na tę kartkę, przez te bąbelki litery wydawały się całkiem krzywe, ale wreszcie zrozumiałam, więc wychyliłam głowę poza narożnik, bo to był narożny dom, i o jakieś pięćdziesiąt metrów dalej zobaczyłam odemkniętą furtkę od ogródka i jakiegoś pana w fartuchu, który kiwał na mnie ręką; wysoki, miał bardzo czarne oczy i wyglądał na porządnego człowieka. Zapytał, czy to ja chcę być na przychodnią rano. Powiedziałam, że tak. Żeby wejść do ogródka, musiałam zejść po czterech ceglanych schodkach o zbitych kantach, zarosłych bardzo gęstym jaśminem, tym o małych kwiatkach, które tak mocno pachną po zachodzie.

Na lewo, na tylnej ścianie ogródka była jedna fontanna, a w samym środku też coś takiego à la źródółko. Za panem w fartuchu poszłam przez cały ogródek aż do domu, który z tyłu miał parter i piętro, z przodu zaś tylko suterенę i parter. W tym drugim, wąskim ogródku rosły dwie mandarynki, morela i cytryny, z liśćmi od spodu pokrytymi jakąś zarazą, tworzącą na nich pęcherzyki z czegoś jak pajęczyna z robakiem w środku.

Przed cytryną rosła wiśnia, a obok fontanny wysoka, ale uboga w liście mimoza, chora na to samo, co i cytryna. Ale z tego wszystkiego zdałam sobie sprawę dopiero później. Żeby wejść na parter, trzeba było przejść przez wyłożone cementem patio, ze ściekiem na wodę deszczową na samym środku. Cement był popękany w wielu miejscach, w pęknięciach widać było wałeczki ziemi pomieszanej z piaskiem, skąd jak żołnierze wychodziły mrówki. To one tak spulchniały ziemię. Na tej ścianie patia, która wychodziła na sąsiedni dom, stały cztery donice z kameliami, także niezupełnie zdrowymi, a na drugiej były schody prowadzące na piętęko... Pod schodami zlew do prania i pompa. Minawszy patio, przechodziło się przez krytą galerię, rodzaj pasażu, którego sufit był podłogą galerii wyższego piętra. Na dolny pasaż wychodziły dwa balkony: przez jeden wchodziło się do stołowego, a przez drugi do kuchni.

Pan poprosił, żebym usiadła na stojącym pod ścianą krzeselku; nad głową miałam sięgające do samego sufitu okno stołowego pokoju, było ono dokładnie na poziomie ulicy, gdzie znajdowała się furtka, którą weszłam. Ledwo usiadłam, do stołowego weszła siwowłosa pani, jak się okazało, teściowa tego w fartuchu, i usiadła naprzeciwko mnie; między nami stał stół, a na nim wazon z kwiatami, który trochę mi zasłaniał tę siwowłosą damę.

Ten w fartuchu nie usiadł, a spoza trzcinowego fotelika z kretonowymi poduszkami wyszedł dzieciak chudy i żółty i stanął koło tej pani – swojej babki

– i patrzył na nas wszystkich po kolei. Umawiałam się z panem w fartuchu: powiedział mi, że jest ich czworo, teściowie i oni, on i jego żona, córka teściów, czyli że on z żoną mieszkają u teściów, no, u rodziców żony – powiedział. A jak mówił, to dotykał jabłka Adama i mówił, że w niektórych domach biorą przychodnią na dwa razy w tygodniu tylko, ale to nie są domy dla kogoś, kto chce mieć jakąś stałą pensję, bo osoba, co tak pracuje, to właściwie nie wie, czego się trzymać, i że zasadniczo płaci się trzy reale za godzinę, ale ponieważ u niego praca jest pewna, na cały rok, i oni solidnie płacą, nie trzeba dwa razy prosić o zarobione pieniądze, a jeżeli bym chciała, to mogliby mi płacić nawet i co dzień po skończonej pracy, to będą mi płacili dziesięć reali zamiast trzy pezety za cztery godziny; bo trzeba liczyć, że ktoś, zamiast detalicznie, sprzedaje im (a przecież ja im sprzedaję moją pracę) hurtem, a wiadomo, że hurt zawsze korzysta z rabatu. Dodał jeszcze, że jest znany jako człowiek wypłacalny, nie jak łobuzy, co pod koniec miesiąca już są winni za cały następny. Tak mi zakręcił w głowie, że zgodziłam się na te dziesięć reali.

Kuchnia była obok stołowego i też wychodziła na pasaż; nad paleniskiem był komin w kształcie dzwonu, tak jak w dawnych kuchniach, ale tego komina jak w dawnych kuchniach nie używano, bo gotowano na gazie, więc był pełen sadzy, a gdy się miało na deszcz, na palenisko leciały całe grudki sadzy. W głębi stołowego były oszklone drzwi wychodzące na korytarz, a w tym korytarzu stała starodawna szafa, wysoka i szeroka, i kiedy w domu była cisza, słychać było serenadę korników; ta szafa to był ich żłób; tak jadły, że czasem nawet rankami było je słychać, a pani kiedyś powiedziała:

– Im prędszej ją sobie zjedzą, tym lepiej.

Poszliśmy przez ten korytarz z szafą i weszliśmy do salonu z alkową, który przerobili na nowoczesną, wyjmując szyby, tak że została tylko framuga.

W tym salonie zrobionym z pokoju z alkową była inna szafa, z czarnego mahoni, z kompletnie popękany lustrem. Obok okna, które tak jak w stołowym sięgało do samego sufitu (i skąd doleciał do mnie głos pani, kiedy mi mówiła, żebym obeszła naokoło), stała toaleta z lustrem, też popękany, a obok nowa umywalka z niklowym kranem.

Na obu bokach alkowy na całą szerokość porobiono półki, na których książki piętrzyły się do sufitu; w głębi szafa biblioteczna u dołu drewniana, a u góry oszklona, z jedną szybą pękniętą.

Pani powiedziała, że stłukła ją jej córka (mama tego mizernego dzieciaka, który nie opuszczał nas ani na chwilę), bo strzelała z korkowca, którego synkowi

przynieśli Trzej Królowie, z takiego korkowca z gumowym wentylkiem. Najwyraźniej córka musiała być kopnięta, pewno mierzyła do żarówki, która zwisała na drucie elektrycznym ponad stołem, ale spudłowała i zamiast w żarówkę rąbnęła w oszkloną część szafy bibliotecznej.

– Sama pani widzi – powiedziała ta pani. W środku alkowy stał stół z obrusem nadpalonym przy prasowaniu, gdzie mąż siwowłosej (który był jedyną osobą pracującą w tym domu, tak że przez cały czas, co u nich sprzątałam, prawie go nie widywałam) czytywał po nocy. Ale ten stół był zasadniczo stołem do prasowania. Ścianą, na której stała umywalka, i ściana pod oknem były całe pokryte wilgocią, bo to była suterena i jak padało, woda przedostawała się i spływała po ścianie z umywalką. Obok tego pokoju, w głębi korytarzyka, gdzie stała szafa z kornikami, pani otworzyła małe drzwiczki do łazienki. Wannę nazywali wanną Nerona: była kwadratowa, zrobiona z walenckich kafli, bardzo starych, źle połączonych, przy czym wiele było popękanych. Pani powiedziała, że kąpią się, a właściwie biorą prysznic, tylko latem, bo żeby napełnić tę wannę, trzeba by wlać w nią całe morze. Nad wanną mdłe światelko przenikało przez mały, oszklony świetlik, który wychodził na górne wejście, to okratowane, do którego była przyklejona gumowanymi paskami karteczka.

Świetlik miał klapę, żeby wietrzyć łazienkę: kiedy się ją uniosło, należało podeprzeć ją bambusowym kijkiem.

Zapytałam, co by było, gdyby w czasie, gdy ktoś starszy się kąpie, dziecko uniosło klapę świetlika i zajrzało, ale pani powiedziała: „Proszę być cicho”. Zarówno sufit, jak i kawałek ściany ponad kaflami był, tak jak i pokój z alkową, pokryty wilgocią, która z bliska błyszczała jak szkło. Ale najgorsze – powiedziała – że ta wanna strasznie długo się opróżnia, bo rury na ulicy są na wyższym poziomie niż miejsce, w którym stoi wanna, tak że od czasu do czasu trzeba opróżniać wannę przy pomocy warząchwi, a potem wycierać flanelową ścierką.

Potem sosnowymi schodkami weszliśmy na parter (który był piętrem). W połowie schodów było okno wychodzące na ulicę, na której znajdowała się furтка, i przez to okno ci, co byli na górze, wołali do tych, co dzwonili do furтки, żeby popchnąć i wejść. Z połowy schodków było widać zakurzony szczyt jedzonej przez korniki szafy; weszliśmy do przedpokoju, a dziecko za nami, i znalazłyśmy się na wprost drewnianej skrzyni, całej pięknie rzeźbionej, i stojaka w kształcie parasola odwróconego drutami w górę, pełnego rzeczy i starych kapeluszy. Gdyby Quimet zobaczył tę skrzynkę, zakochałby się w niej od razu. Powiedziałam to tej pani, a ona powiodła palcem po rysunkach na wieku:

– Wie pani, co to przedstawia?

– Nie, proszę pani.

Pośrodku wieka był chłopiec i dziewczyna, same główki, mieli duże nosy, murzyńskie wargi i patrzyli na siebie: „To przedstawia sprawę odwieczną – powiedziała pani. Miłość”. A dzieciak się roześmiał.

Weszliśmy do pokoju, w którym był balkon wychodzący na ulicę, dokładnie nad tym oknem, z którego pani zawołała na mnie, żebym weszła przez furtkę. Tam też był salonik z unowocześnioną alkwą, w którym stał czarny fortepian, dwa aksamitne różowe foteliki i jakiś mebel, co miał strasznie dziwne, wysokie nogi, zakończone jak u konia kopytkiem. Pani powiedziała, że kazała zrobić te nogi swojemu stolarzowi, żeby podtrzymać ten mebel, bardzo stary sekretarzyk z Bargas, tak zwany „bargueno”, z perłowymi inkrustacjami na każdej z szufladeczek, i wytłumaczyła mi, że to są nóżki fauna. W alkwie stało stare łóżko ze złoceniami i kolumienkami zamiast nóg. W głowach, w małej kapliczce, stał Chrystus w czerwono-złotej tunice, drewniane ręce były związane, twarz pełna gorzkości. Pani powiedziała, że zasadniczo jest to pokój młodych, ale że tu śpią oni, starzy, bo jej córka nie może zasnąć przy tym całym ruchu samochodowym i woli spać od strony ogródka w pokoju, gdzie jest spokojniej. Obok łóżka z Chrystusem były drzwiczki do malutkiego pokoiku bez okien, gdzie stało łóżko z niebieską moskitierą. Nic więcej nie mogłoby się tam zmieścić: to był pokój dzieciaka, który wciąż za nami łaził.

Weszliśmy do salonu. Od razu zobaczyłam skrzynię, całą złoconą i szafirową z kolorowymi herbami naokoło dolnej części, a na otwartej pokrywie była wyrysowana święta Eulalia z lilią świętego Antoniego w jednej ręce, a obok smok z ogonem zawiniętym dokoła niczym nieporośniętej góry i z szeroko otwartą paszczą, w której miał trzy krwawe języki niby trzy płomienie.

– To skrzynia na posąg – powiedziała pani. – Gotycka.

Naprzeciw skrzyni był balkon, położony ponad oknem stołowego pokoju, które sięgało sufitu. A wychodząc z dziecinnego na prawo, był drugi balkon, który wychodził na odkrytą, górną galeryjkę. Pani nie mogła mi pokazać sypialni młodych (która faktycznie była sypialnią starych), bo jej córka właśnie odpoczywała.

Zarówno ona jak i dziadek chodzili tam na palcach, no więc i ja zaczęłam. Wyszliśmy na odkryty pasaż (tego parteru, co był piętrem) i schodkami nad pralnią i pompą zeszliśmy na cementowe patio pełne kręgli; tam właśnie zwykle bawił się dzieciak.

Pani objaśniła mi, że córka musi dużo wypoczywać, bo choruje, i opowiedziała mi o chorobie swojej córki, która zaczęła się z tego, że córka postanowiła nagle przesunąć donicę z kameliami.

Następnego dnia po tym, jak ją przesunęła, dostała krwotoku. Doktor powiedział, że nie może powiedzieć, co to za choroba, aż weźmie do ręki chociaż jedną nerkę jej córki. Doktor (nie ten stały, bo tamten wyjechał właśnie na wakacje) powiedział jej to wszystko, kiedy stali na marmurowych schodkach głównego wejścia, obok tego świetlika, który wychodził na łazienkę z kaflową wanną. Przed wyjściem pokazała mi jeszcze, jak się otwiera furtkę: drzwiczki były u dołu przesłonięte żelazną blachą, ale w górze miały druciane pręty; ponieważ dzieci wrzucały im przez te pręty wszystkie świństwa, raz im nawet wrzuciły zdechłego króla i takie różności, to ten w fartuchu wziął i od wewnątrz zasłonił pręty deską: pręty i zamek zostały po zewnętrznej stronie furtki, a od strony ogródka było widać tylko deskę i dziurkę od klucza. Z ulicy można było otworzyć te drzwiczki, kiedy nie były zamknięte na klucz, a na klucz zamykali ją wyłącznie na noc, po prostu odciągając zamek, a potem, włożywszy rękę przez szparę, odzepić ogniwko łańcucha zahaczonego o przybity do muru gwóźdź. Było to bardzo łatwe, tylko trzeba było wiedzieć. Tyle rozpisuję się na temat tego domu, ale do dziś widzę go jak jakąś łamigłówkę, łącznie z głosami, co do których nigdy nie było możliwe domyślić się, skąd dochodzą.

ROZDZIAŁ XVIII

Quimet powiedział, że jeżeli mam ochotę pracować, to moja sprawa, natomiast postara się puścić w ruch hodowlę gołębi, bowiem handlując gołębiami, można dojść do forsy.

Poszłam do seniory Enriquety opowiedzieć jej o tym państwu, co będę u nich pracować, a jak do niej szłam, to te ulice, po których od tak dawna chodzę, nagle wydały mi się wąziutkie.

Antoni z punktu zabrał się do oglądania langust. Seniora Enriqueta ofiarowała się, że będzie mi pilnowała dzieci, że weźmie je ze sobą na róg ulicy Smart i posadzi na krzeselku koło siebie. Antoni zszedł z krzesła, na które przed chwilą się wdrapał, a że wszystko rozumiał, oświadczył, że on woli siedzieć w domu. Powiedziałam seniorze Enriquecie, że jego może jeszcze można by utrzymać na krzeselku, bo jak chce, umie być dość posłuszny, ale że Rita jest biedaczka za malutka, żeby całe rano przesiedzieć na ulicy. Odgłos naszej rozmowy uspił ją zresztą – zasnęła mi na kolanach. Mały znowu wlaźł na krzesło i przypiął się do tych homarów. Mżyło. Dziwnym zbiegiem okoliczności, jak szłam odwiedzić seniory Enriquetę, zawsze mżyło. Krople ciekły po drutach od wieszania bielizny, a większe, bardziej wydęte wyciągały się opadały jak lzy.

Tego dnia, co zaczęłam pracować w tym domu, był strajk, tak że w połowie zmywania statków zostałam bez wody. Pan w fartuchu zawiadomiony przez panią przyszedł do kuchni i eleganckimi ruchami zabrał się do odkręcania kranów, kiedy jednak zobaczył, że nie ma ani kropli wody, powiedział, że pójdzie na taras zobaczyć, co się stało, bo ponieważ zbiornik mają zawsze odkryty, żeby widzieć, czy jest wystarczające minimum, czasem wpadnie jakiś listek i zatka wylot. Pani powiedziała, że skoro mam chwilę czasu, mogłabym wytrzeć kurze w jadalni. Pomyślałam, że właśnie u siebie w jadalni zamknęłam dzieci, bo Quimet był mojego zdania, że seniora Enriqueta nie upilnuje ich, że się na chwilę odwróci, a mały ucieknie jej na środek ulicy i jeszcze go co przejedzie.

I kiedy wycierałam kurze (ściereczką – bo pani uważała, że od odkurzania piórkową zmiotką tylko podnosi się kurz, a co odwrócisz się do niego tyłem, opada tam, skąd się podniósł), zeszła córka i przywitała się ze mną; pomyślałam, że wygląda na zdrową jak koń. Powiedziała mi, żebym przyniosła kubel wody z pompy i umyła to wielkie aż do sufitu okno; wychodziło na ulicę, po której bez

przerwy jeździły auta i ciężarówki, więc zawsze było dziko zakurzone, a w deszcz nawet i zabłocone, tu chlapnęło, tam chlapnęło i gotowe, tak że zawsze miałam z tym dość roboty.

Pan zszedł z tarasu i z połowy sosnowych schodków wychodzących na przedpokój krzyknął, że minimum jest, że zbiornik nie jest zatkany i że widocznie coś się stało w rurze na ulicy. Więc pani do mnie, że muszę przynieść ze studni jeszcze kilka kubłów i skończyć zmywanie, chociaż ona bardzo się brzydziła wodą ze studni, bo sobie wyobrażała, że w dawnych czasach na pewno tam kogoś utopili, ale zanim przyślą kogoś z wodociągów, może minąć i ze trzy dni, więc nie można czekać na zmywanie.

Przyniosłam tych parę kubelków i wreszcie skończyłam zmywać; pani pomagała mi wycierać. Córka znikła. Poszłam potem słać łóżka. Weszłam schodkami z ogrodu, tymi nad pralką. Dzieciak bawił się w przedpokoju, myślał, że nikt nie patrzy, i cisnął garść piasku na podłogę – dopiero wtedy zobaczył mnie. Zmartwiały, biały, z oczami nieruchomymi jak z kamienia. Kiedy słałam łóżko w sypialni, w tej frontowej, której balkon wychodził na to okno, z którego ona pierwszy raz zawołała mi, żebym obeszła naokoło, teraz zawołała na mnie z łazienki, a głos wyszedł przez świetlik, i powiedziała, żebym otworzyła szafkę z gazomierzem, że w środku znajdę złożoną kartkę i że mam nią zasłonić ten napis, żeby wchodzić od ogrodu, bo jeżeli przyjdzie człowiek z wodociągów, zezłości się, że mu każą obchodzić naokoło. Ta kartka do zasłaniania była naszykowana specjalnie po to, żeby nie zdejmować i nie przyklepiać za każdym razem tamtej.

Wsunęłam tę kartkę między szkło i napis – pasowała. Pani weszła na górę sprawdzić, czy zrozumiałam, i pokazała mi, że szyby obu skrzydeł okratowanych drzwi można było oddzielić od żelaza, unosząc zasuwecki i że w ten sposób bardzo łatwo je umyć, tyle że te zasuwecki czasem tak się zacinają od kurzu, co w nie wchodzi, że trzeba je odbijać młotkiem. To było bardzo praktyczne, ten system odsuwania szyb, bo inaczej mycie ich, gdyby wsuwać palce między szybę a żelazo, byłoby prawdziwą katastrofą. Pani odpowiedziała mi, że te kraty zrobił nie jej ślusarz (z San Gervasio), a inny – z Sans, bo tamtego ślusarza, z Sans, udało się jej zięciowi nabrać: mianowicie powiedział mu, że jest budowniczym i że potrzebuje pięćdziesiąt okratowań do kilkunastu domów, które właśnie wykańcza, i okratowanie ma służyć na wzór, czego nie mógł opowiedzieć ślusarzowi z San Gervasio, który go znał i wiedział, że jest rentierem. Te „wzorcowe” kraty wyszły mu prawie darmo, a ślusarz z Sans do dzisiaj czeka na swoje zamówienie.

Nie słyshałam, że pan wrócił, widocznie wszedł przez ogród, ale o pierwszej zapłacili mi i poszłam do domu. Kiedy przebiegałam przez Calle Mayor, o mały włos nie wpadłam pod tramwaj, nie wiem, co za anioł uratował mnie od nieszczęścia. Dzieci nic nie zbroiły, Rita spała na podłodze, a Antoni, jak mnie zobaczył, zaczął chlipać.

ROZDZIAŁ XIX

Nazajutrz o dziesiątej przyszli z wodociągów i poszłam otworzyć. Pan natychmiast zszedł, ze smutną miną i powiedział:

– Od wczoraj jestem bez wody, nie mogliśmy wykąpać małego przed położeniem go, w ogóle nie chciał nam przez to zasnąć...

Pan z wodociągów, gruby i z wąsami, podniósł głowę, gdy odkręcał na ulicy główny kran, i roześmiał się. Obaj poszli na taras zmierzyć, czy jest minimum, a kiedy zeszli, pan dał tamtemu od wody napiwek, a tamten zamknął żelazną klapę zasłaniającą kran uliczny i poszedł sobie. Zeszłam na dół sosnowymi schodkami, a pan, który zszedł schodami ogrodowymi, poprosił, żeby mu przynieść pustą litrówkę i iść z nim na taras zmierzyć minimum, bo ma wrażenie, że tamten porządny człowiek zostawił mu ze dwa razy więcej niż minimum. Poszliśmy, ja trzymałam butelkę, a on patrzył na zegarek, wtedy ma sąsiedni taras wyszła jakaś pani i ukłoniła mu się, więc zaczął z nią gadać (to była ich lokatorka, bo sąsiedni dom, chociaż nie tak pięknie wykończony, jak ich, też do nich należał). Jak butelka napełniła się, zawołałam na niego, przybiegł pędem w rozwiewającym się fartuchu i spojrzawszy na zegarek, powiedział, że jeszcze nigdy nie mieli tyle wody: przedtem butelka napełniała się w sześć minut, a teraz w trzy i pół. Wieczorem przed zaśnięciem opowiedziałam Quimetowi historyjkę tej kraty w oknie, a on powiedział, że im człowiek bogatszy, tym większe dziwadło.

Po dwóch dniach już nie dzwoniłam, sama popchnęłam drzwi i odczepiłam łańcuch. Zastałam panią z zięciem na trzciniowych fotelach, na balkonie. Od razu spostrzegłam, że on ma podbite oko. Poszłam do kuchni umyć talerze, które czekały na mnie z poprzedniego dnia, a pani przyszła mi towarzyszyć.

Opowiedziała, że mają przykrość, i zapytała, czy zauważyłam oko zięcia, więc powiedziałam, że tak, od razu. Powiedziała, że wynajmują taką szopę jednemu, co ma w niej fabrykę kartonowych koni. Jak zięć się dowiedział, że ten ich lokator bardzo dobrze zarabia, to chciał mu podnieść komorne, zaszedł tam w porze obiadu, lokator siedział przy stole, bo mieszkali i jedli w tej szopie, w której pracowali, w rogu mieli łóżko i stół. Zięć podał mu pokwitowanie za komorne już podwyższone, a lokator powiedział, że nie mają prawa mu podnosić, zięć – że mają, tak w kółko, aż lokatora zalała krew, złapał kość z baraniej nogi, co miał

na talerzu, i w zięcia, tak nieszczęśliwie, że dał mu w samo oko.

– Jak pani wchodziła, właśnie mówiliśmy o tym, że musimy oddać sprawę do adwokata.

W tym momencie zadzwonił dzwonek i ona poprosiła mnie, żebym poszła otworzyć, bo ona jeszcze się nie myła. Zapytałam, który to dzwonek, bo jeszcze nie umiałam rozróżnić, skąd dochodzi dźwięk, więc powiedziała, że to dzwonek z ogrodu, który dzwoni w pasażu, bo ten od drzwi wejściowych dzwoni w górnej części schodów, prowadzących do przedpokoju. Powiedziała, że jeżeli to ktoś z ogłoszenia, to żebym powiedziała, że przyjmują tylko bezdzietnych. I że wieża ma taras z trzech stron:

– Jeżeli im się spodoba, proszę mnie zawołać, wtedy poproszę ich do domu, a zięć wyjaśni im wszystkie warunki. Tylko proszę delikatnie otwierać drzwi: już pani wie, że otwiera się, pchając na ulicę, ale nie gwałtownie, bo mogłyby się uszkodzić.

Otworzyłam jakiemuś panu i pani elegancko ubranym, starszym już i bardzo czyściutkim. Powiedzieli, że zostawili auto przed głównym wejściem, że bez końca dzwonili, ale widać dzwonek jest zepsuty, aż przypadkiem zobaczyli napis, więc obeszli od ogrodu.

– My w sprawie ogłoszenia o wieży. Pani wie, o co chodzi?

Podał mi starannie wycięte ogłoszenie, mówiąc, żebym przeczytała. Chciałam przeczytać, ale nie zrozumiałam, bo była tam jedna litera i kropka, druga litera i kropka, dwie litery i kropka, i adres. Potem jeszcze jakieś litery i kropki, ale ani jedno słowo nie było w całości. Nic nie zrozumiałam, oddałam mu papier i powiedziałam to, co miałam, że gospodarze nie chcą dzieci, na co pan, że wieża interesowała jego syna, który ma troje dzieci, i że jest rzeczą jasną, że jeżeli chciał ją wynająć, to właśnie dlatego, że ma dzieci, po czym pól ze złością, a półzartem dodał:

– Co ma zrobić ze swoimi dziećmi? Zawołać króla Heroda?

I poszli, nawet nie mówiąc do widzenia. Pani czekała na mnie koło wejścia do przedpokoju, na środku którego stał kamienny posązek dziecka, siedziało ubrane w słomiany kapelusz zielono-niebieski i trzymało bukiet, z którego spływała woda. Pan patrzył z pasażu na nas, myjąc zęby, z ręcznikiem naokoło szyi, bo w kranie od umywalki wytarła się uszczelka i musieli obwiązać go sznurkiem, żeby jakoś zamknąć stale lecącą wodę, więc mył się w kuchni. Powiedziałam pani, że to było eleganckie małżeństwo, ale że to na temat dzieci wcale a wcale im się nie spodobało; powiedziałam też, że się zirytowali

dzwonieniem od frontu bez końca i że ten dzwonek chyba nie dzwoni, a pani powiedziała, że czasami ludzie nie czytają kartki i dzwonią, więc żeby dzwonek nie przeszkadzał im w rozmowie, to go wyłączają. Czekaając, aż pan skończy myć zęby, oglądałyśmy czerwoną rybkę, co była w przedpokoju i miała na imię Baltazar; kupili ją chłopcu na Trzech Króli, dlatego tak ją nazwali. Spytałam, dlaczego chcą wynająć ludziom bez dzieci, więc ona powiedziała, że dzieci wszystko niszczą i dlatego zięć ich nie lubi.

Weszłyśmy do mieszkania; kiedy przechodziłyśmy przez patio, zadzwonił dzwonek od ogrodu. Z ogłoszenia. Poleciałam otworzyć panu, który zaczął od tego, że ten dom jest jak stonoga, że dają w ogłoszeniu adres, a potem trzeba trzy razy obchodzić go naokoło.

Moi państwo stale coś odnajmowali i stale musiałam biegać otwierać i tłumaczyć wszystko od początku, ale ponieważ mieli wielkie wymagania, czasem i trzy miesiące mieszkanie stało puste.

Zdecydowałam, że będę posyłać dzieci do seniory Enriquety, bo tak jak było dotąd, było niemożliwie. Od razu się zgodziła i przywiązała małą do krzesła szalikiem.

Powiedziała, że powinnam była tak zrobić od tego dnia, kiedy zaczęłam pracować. Prosiłam, żeby im nie dawała fistaszków, a im kazałam obiecać, że nie będą ją prosić, bo po fistaszkach nie chciały nic jeść. Ale niedługo to wszystko trwało. Mały był jakiś senny i bez przestanku powtarzał, że chce być w domu, a nie ma ulicy, żebym ich zostawiła w domu, że chcą być w domu. Więc zaczęłam ich znowu zostawiać, bo po prawdzie jak ich zostawiałam przedtem, to nic złego się nie stało.

Któregoś dnia, kiedy wróciłam, usłyszałam szum skrzydeł. Mały stał na balkonie, tyłem do światła, z ręką na ramieniu Rity. Byli bardzo grzeczni. Ale ponieważ jak wracałam, miałam moc roboty, obiad i wszystko inne, nic im nie powiedziałam. Potem zaczęli bawić się grochem. Każde miało pudełko pełne grochu i układali z niego na podłodze drogi, kwiaty i gwiazdy.

Mieliśmy w owym czasie dziesięć par gołębi. Pewnego dnia Quimet poznał się z jakimś panem, który mieszkał niedaleko tego miejsca, gdzie pracowałam, więc wstąpił po mnie, przedstawiłam go pani i wyszliśmy razem, a po drodze wstąpiłam zanieść do sklepu zamówienie od mojej pani.

Kiedy wychodziłam, Quimet, który czekał na mnie na ulicy, powiedział, że chyba nie mam oczu, jeżeli nie zauważyłam, że groch w tym sklepie jest tak piękny, jak nie widział w życiu, i kazał mi zaraz wrócić i kupić pięć kilo. Sam

sklepikarz mi go odważył; był trochę podobny do Perego, wysoki, z ładnie układającymi się włosami i śladami ospy na twarzy. Pani mówiła zresztą, że nie zdzierają i że to porządny sklepikarz, który nie oszukuje na wadze. I niewiele gada.

ROZDZIAŁ XX

Z każdym dniem byłam bardziej zmęczona. Dawniej, jak wracałam do domu, często zastawałam dzieci śpiące, więc zaczęłam kłaść im pledzik w stołowym na podłodze, żeby się mogły położyć, i zastawałam ich przytulonych i śpiących, a kiedy wchodziłam, Rita, chociaż taka mała, chichotała i patrzyli na siebie z Antonim, który kładł palec na ustach, przykazując jej milczenie. A ona znowu zaczynała się śmiać hiii-hiii – jakoś tak dziwnie. Więc chciałam zobaczyć, co się dzieje. Któregoś dnia nigdzie się nie zatrzymywałam, biegłam szybko i przyszłam trochę wcześniej. Cicho jak złodziej otworzyłam wejściowe drzwi, wstrzymując oddech, kiedy odsuwałam zamek. Balkon i korytarzyk pełne były gołębi, za to nigdzie nie było widać dzieci. Trzy gołębie, jak mnie zobaczyły, skierowały się ku balkonowi wychodzącemu na ulicę, który był otwarty na całą szerokość, i wyfrunęły, zostawiając parę piórek. Cztery inne szybko skierowały się ku galerii, podskakując i trzepiąc skrzydłami, ale kiedy tam doszły, znów odwróciły się do mnie, więc zaczęłam je straszyć, aż uciekły. Zabrałam się do szukania dzieci wszędzie, nawet pod łózkami, w końcu znalazłam je w ciemnym pokoiku, do którego zamykaliśmy Antoniego, kiedy był mały, żeby nam nie przeszkadzał spać. Rita siedziała na ziemi, w spódniczce miała gołąbka, a koło Antoniego stały trzy i karmił je grochem, który wydziobywały mu z ręki. Jak krzyknęłam: „Co robicie?“, gołębie się przestraszyły, zerwały i zaczęły fruwać, objając się o ściany, a mały złapał głowę w rączki i w bek. Co było roboty, żeby w końcu wygonić te gołębie z pokoiku... Cała komedia! Najwyraźniej już od dawna rządziły domem, gdy tylko zamknęłam za sobą drzwi. Wchodziły przez galerię, przechodziły korytarzykiem, wychodziły przez balkon na ulicę i okrążywszy dom, wracały do gołębnika. W ten sposób moje dzieci nauczyły się spokojnie siedzieć, żeby nie straszyć gołębi i spędzać czas w ich towarzystwie.

Quimet bardzo się z tego uśmieł, powiedział, że gołębnik to tak jak serce, z którego wypływa krew, opływa całe ciało i znowu wraca do serca, że gołębie opuszczają gołębnik, który był jak serce, rozłaziły się po całym mieszkaniu jak po ciele i wracały do gołębnika, czyli do serca.

I powiedział, że powinniśmy mieć więcej gołębi, które żyją bożą manną i nie wymagają żadnej roboty.

Kiedy gołębie zrywały się z tarasu do lotu wśród falowania skrzydeł-błyskawic,

dziobały przedtem balustradę, wyjadając wapno. W wielu miejscach widać było, że balustrada jest wydziobana do łysej cegły. Antoni z idącą krok w krok za nim Ritą maszerowali pomiędzy nimi, a one ani drgnęły. Niektóre ustępowały im miejsca, inne ruszały za nimi. Jak tylko dzieci siadały na tarasie na ziemi, natychmiast zostawały otoczone przez gołębie, które pozwalały brać się w ręce.

Quimet zdecydował, że skoro już przyzwyczyły się do przebywania w mieszkaniu, pozakłada w ciemnym pokoju karmniki, opowiedział to Mateu i dodał, że gniazdka także im przeniesie do pokoiku, który leżał dokładnie pod schowankiem na tarasie. Tylko przebić dziurę w dachu, z klapką – powiedział – postawić drabinę od podłogi do sufitu i gołębie będą miały bliższą drogę do wchodzenia i wychodzenia z mieszkania.

Mateu miał wątpliwości, co na to gospodarz, ale Quimet uciał, że gospodarz o niczym nie musi wiedzieć i że jeżeli gołębie nie paskudzą, to nie ma się czego skarżyć, a jemu chodzi o to, żeby rozszerzyć ten gołębnik i w końcu założyć poza miastem hodowlę, którą zajęłyby się dzieciaki wraz ze mną. Powiedziałam mu, że to szaleństwo, ale on na to, że kobiety zawsze chcą rządzić i że on sam wie, co robić i dlaczego.

Mateu, cierpliwy jak święty, przewiercił dziurę i zrobił klapę, a Quimet miał zrobić drabinkę, lecz Mateu powiedział, że z budowy przyniesie mu starą drabinę i że trzeba będzie tylko odpiłować ze dwa stopnie, bo chyba za wysoka, i będzie dobrze.

Założył na dole gniazda i chwilowo zamknął tam pary, żeby się przyzwyczyły schodzić po drabinie, zamiast łązić po całym mieszkaniu. Zostały tam po ciemku, bo zamknął klapę, która była z desek i łatwa do podnoszenia od góry, przy pomocy żelaznego kółka (od środka otwierało się ją, stając na drabince, głową, a potem ramionami). Kiedy wchodziłam do małego pokoiku, żeby sprzątnąć, i zapalałam światło, gołębie, oślepione, siedziały bez ruchu. Cintet, krzywiąc się bardziej niż zwykle, był na to bardzo obrażony.

– To są gołębie pełne uprzedzeń...

Pozamykane w ciemnościach gołębie poskładały jajka, wysiedziały je, a kiedy urodziły się puszyste pisklęta, Quimet podniósł klapę i przez siateczkę, którą zrobił w drzwiach od pokoju, mogliśmy oglądać, jak szły po drabinie: za każdym podfrunięciem przeskakiwały jeden lub dwa stopnie. Quimet był szczęśliwy jak nie wiedzieć co. Mówił, że możemy mieć i osiemdziesiąt gołębi i że jakby te osiemdziesiąt posadzić na jajkach, to już można by myśleć o zamknięciu warsztatu i o kupieniu terenu, na którym Mateu postawiłby mu dom,

wykorzystując resztki z innych budów. Kiedy wracał z pracy, jadł byle co, od razu kazał mi sprzątać ze stołu i pod lampą z malinową frędzlą, na pierwszej lepszej torbie, żeby nie marnować papieru, zaczynał robić rachunki: tyle par, tyle gatunków, tyle grochu, tyle mat... cudowny interes!...

Gołębie ze cztery dni uczyły się nowego sposobu wychodzenia na taras, przy czym te z góry dziobały te z dołu, bo już ich nie poznawały. Najgorszy był biały, ten pierwszy, ten, co miał pokrwawione skrzydło. Kiedy się już przyzwyczały i te z góry, i te z dołu, te z góry wybrały się na dół, przewąchać, jak i co.

Dom, który zamierzaliśmy sobie postawić, miał być usytuowany w górnej części Barcelony, a gołębie miały mieć specjalną wieżę, z rampą w kształcie ślimaka, aż na samą górę, a w ścianie rampy miały być miejsca na gniazda, obok każdego gniazda okienko, a na górze taras zamknięty spiczastym daszkiem, pod którym to daszkiem gołębie miały się zbierać do lotów ku Tibidabo i gdzie indziej. Quimet twierdził, że stanie się sławny przez te gołębie, bo gdy będzie miał własny dom i nie będzie musiał pracować w warsztacie, będzie tak krzyżował rasy, że w końcu kiedyś weźmie pierwszą nagrodę jako hodowca. Ale ponieważ lubi swój fach meblarza, wykombinuje, żeby Mateu postawił mu jakąś szopę, i tam będzie miał warsztacik, gdzie będzie robił meble dla znajomych. Bo owszem, samą pracę lubi, czego nie lubi, to tego, że przy okazji pracy nieraz ma się do czynienia z ludźmi złej woli, bo jakkolwiek istnieje dużo porządnych ludzi, ale jest dużo i złych, przez których traci się wszelką chęć do pracy.

Kiedy przychodzili Cintet i Mateu, projekty sypały się jak z rękawa, aż któregoś dnia seniora Enriqueta powiedziała mi, że z każdego trzech par gołębi Quimet co najmniej dwie rozdarowuje, ot tak, dla przyjemności dawania, a ty orzesz jak głupia...

ROZDZIAŁ XXI

Słychać było tylko gruchanie gołębi. Zabijałam się sprzątaniami tego, co nabrudziły. Cała już śmierdziałam gołębiami, gołębie na tarasie, gołębie w mieszkaniu, nic tylko gołębie, nawet we śnie. „Dziewczynka z gołębiami”. „Zrobimy fontannę – mawiał Cintet – udekorowaną na górze posążkiem Colometry z gołębiami w ręku”.

Kiedy rano szłam do moich państwa, gruchanie gołębi prześladowało mnie, brzęczało mi w głowie, jak gdybym tam miała komara. Nieraz pani do mnie mówiła, a ja z roztargnienia nie odpowiadałam jej nic. Więc ona: „Nie słyszy mnie pani?”.

Nie mogłam przecież odpowiedzieć jej, że jedyne, co słyszę – to gołębie, że ręce śmierdzą mi siarką z ich wody i gnijącym w karmnikach grochem. Nie mogłam powiedzieć, że kiedy czasem zalęgnięte jajko wypada i tłucze się, muszę uciekać, mimo że ściskam sobie nos z całej siły. Nie mogłam przyznać się, że bez przerwy słyszę wrzaski gołębi upominających się o żarcie, z całą wściekłością tych małych ciał, których ciemne mięso znaczone jest żółtymi nasadami piór. Nie mogłam przyznać się, że słyszę tylko gruchanie, bo dom mam pełen gołębi i jak zostawiam otwarte drzwi od gołębiego pokoju, to rozlażą się po całym mieszkaniu, bez zatrzymania wychodzą na balkon od ulicy, że prowadzimy dom wariatów! A wszystko dlatego, że zaczęłam pracować u niej, że byłam tak zmordowana, że nie miałam siły, żeby powiedzieć „nie” tam, gdzie należało, że nie mam komu się poskarżyć, że moje kłopoty muszę zawsze znosić sama i że jeżeli czasem zdarzyło mi się w domu na coś uzalić, Quimet natychmiast odpowiadał, że go boli noga. Nie mogłam powiedzieć, że moje dzieci są jak niepodlewane kwiaty i że mój dom, dawniej jak mały raj, teraz jest jednym bałaganem, i że gdy wieczorami kładę dzieci spać i podnosząc im koszulki, żartobliwie łachoczę po pępuszkach, żeby je rozśmieszyć, bez przerwy słyszę gruchanie gołębi i mam ich pełen nos, i zdaje mi się, że cała skóra, włosy, ubranie, wszystko pachnie mi gołębiami. Kiedy nikt mnie nie widział, wahałam sobie ręce, kiedy się czesałam, czułam, jak mi śmierdzą włosy, i nie mogłam pojąć, że do takiego stopnia przykleił się do mnie ten zapach gołębi i ich piskląt, od którego dosłownie się dusiłam.

Seniora Enriqueta zabrała głos w tej sprawie: powiedziała, że nie mam

charakteru, że ona sto razy już by z tym skończyła, że nigdy by nie pozwoliła ubrać się w coś podobnego. Pewnego dnia matka Quimeta – którą widywałam bardzo niewiele, bo zestarzała się raptownie i nie miała siły nas odwiedzać, było dla niej za daleko, ja znów nigdy w niedzielę nie miałam czasu do niej pojechać – zjawiała się, żeby, jak powiedziała, obejrzyć gołębie, o których Quimet i dzieci, kiedy rzadko (jak wspomniała tonem skargi) przyjeżdżają ją odwiedzić, nie przestają mówić, twierdząc, że prędko się na tym dorobimy. Podobno Antoni mówił jej o tych gołębiach w taki sposób, jakby były jego i Rity rodzeństwem. Kiedy usłyszała gruchanie dochodzące z małego pokoiku, przeraziła się i powiedziała, że do czegoś podobnego tylko jej syn jest zdolny, że nie przyszło jej nawet do głowy, że gołębie mieszkają razem z nami. Zaprowadziłam ją na taras i z komórki na tarasie kazałam jej spojrzeć w dół. Dosłownie zrobiło się jej słabo.

– Może w końcu Quimet jakoś się jednak na tym dorobi...

Jak zobaczyła w miseczkach do picia siarkę, powiedziała, że siarkę wolno dawać wyłącznie kurom, że gołębiom rozmiękcza to wątrobę. Ona mówiła, a przez ten czas gołębie opanowywały taras. Chodziły, wracały, fruwały, schodziły, siadały na poręczy, waliły w nią dziobami, można było pomyśleć, że to ludzie. Zrywały się do lotu, ze słońca robiąc cień, krążyły nad naszymi głowami, a cień ich skrzydeł padał na nasze twarze. Żeby je odstraszyć, matka Quimeta machała rękami niby skrzydłami wiatraka, ale nie robiło to na nich żadnego wrażenia. Samce krążyły wkoło, a samice gimnastykowały się z dziobem w górę, z dziobem w dół, z dziobem naprzód, z ogonem wyprężonym i skrzydłami zamiatającymi podłogę. Wchodziły do gniazd i wychodziły z nich, żarły groch, popijały wodą z siarką – a wątroby jak złoto. Kiedy matka Quimeta doszła do siebie po tym półomdleniu, zapragnęła obejrzyć gniazda. Zgorączkowane gołębie wbijały w nas swe szklane oczy, mięsiste dzioby szeregowały się jedne za drugimi, każdy z dwiema dziurkami tworzącymi nas. Jedne wyglądały jak królowie, inne jak zakonnicy, te o pawich ogonach z lekka się obrażały, wstały z gniazd i wyszły na zewnątrz.

– Chce mama obejrzyć jajka? – spytałam.

– Nie – odparła. – Pewnie nie lubią tego. Gołębice są bardzo zazdrosne i nie znoszą obcych.

ROZDZIAŁ XXII

Równow w tydzień po tej wizycie matka Quimeta umarła. Wczesnym rankiem zawiadomiła nas o tym jedna z jej sąsiadek. Zostawiłam dzieci u seniorów Enriquetę, niech robi z nimi co chce, i pojechałam z Quimetem do zmarłej. Przy wejściu ktoś zawiesił wielką czarną kokardę, która falowała w powietrzu nadchodzącej jesieni.

W sypialni zmarłej siedziały trzy sąsiadki; zdjęły już cztery kokardy zawieszane na łóżku i tę, która zdobiła krucyfiks, i ubrały ją w czarną suknię z tiulowym kołnierzem, który podtrzymywały cienkie druciki, zaś cały dół przykryty był pluszem. W nogach łóżka stał wielki wieniec z samych liści, bez kwiatów.

– Niech się państwo nie dziwią – powiedziała jedna z sąsiadek, była wysoka i poruszała rękami o długich i cienkich palcach – że wieniec jest bez kwiatów, ale takie było jej życzenie. Mój syn jest ogrodnikiem i dawno już umówiliśmy się, że jeżeli ona umrze przede mną, to on jej zrobi wieniec bez kwiatów... to była jej mania... Byle bez kwiatów... byle bez kwiatów – stała powtarzała. Kwiaty, mawiała, są dla młodych. A jeżeli ja umarłabym przed nią, to ona miała mi obstalować wieniec z jakichś sezonowych kwiatów, żadnych tam wariactw z wyszukanyimi, drogimi kwiatami, których akurat mogłoby braknąć, ani z kwiatami ze szklarni. Ale ja chciałam mieć kwiaty, bo dla mnie wieniec z samych liści to jakby wspaniały obiad bez deseru. No i jak państwo widzą... zawięła się pierwsza...

Na to Quimet:

– To co ja mam teraz robić, kiedy wieniec już jest...

– Jeżeli pan chce, niech mi pan zwróci połowę. W ten sposób będzie od nas obojga...

Ale tu wdała się druga; schrypniętym głosem powiedziała:

– Gdyby moja przyjaciółka była interesowna, powiedziałyby, żeby pan zamówił u jej syna drugi wieniec, bo na karawan można ich położyć, ile się chce, a na eleganckich pogrzebach przed karawanem jedzie specjalna platforma i wiezie te wieńce, które się nie zmieściły do środka...

– Ponieważ mój syn specjalizuje się w robocie wieńców, moja przyjaciółka zna się na tym; nieraz jej tłumaczył... Robi i sztuczne wieńce.

I powiedziała, że robi się nawet i szklane wieńce, które trwają całe życie. On

robi szklane kwiaty: kamelie, róże, fiołkowe irysy, margerytki... Kwiaty i liście ze szkła, a łodyżki giętkie, też w bardzo delikatnych kolorach... Druty, na których umocowuje te szklane kwiaty, nie rdzewieją i nie gniją ani od deszczu, ani od tego wilgotnego cmentarnego wiatru. A trzecia z sąsiadek dodała smutno:

– Pana matka chciała wieniec z liści goły i nagi. – I jeszcze dodała, że miała śmierć jak rzadko kto: świętą śmierć!

– O proszę, jak wygląda, jak dziecko! – I spojrzała na nią z rękami skrzyżowanymi na fartuchu.

Matka Quimeta leżała na kanapie w czerwone róże, podobna woskowej figurce. Nie miała bucików, a pończochy miała spięte agrafką. Powiedziały, że zdjęły jej z szyi złoty łańcuszek i obrączkę, i oddały to Quimetowi. A sąsiadka z synem ogrodnikiem powiedziała, że jakieś trzy, cztery dni temu matka Quimeta miała silny zawrót głowy i mówiła, że to było coś w rodzaju tego, którego dostała tego dnia, co oglądała gołębie, tak że trochę się złąkla i nie chciała wychodzić na ulicę, bo się bała przewrócić – a podczas gdy mówiła, głaskała zmarłą po głowie i dodała:

– Dobrze uczesana, prawda?

Powiedziała jeszcze, że jak się w nocy tak źle poczuła, to zadzwoniła do nich, a potem we dwoje z synem tu ją odnieśli, bo gdy chciała od nich wyjść, to już nie mogła. Więc oni z synem położyli ją...

– Chciałabym być już w jej skórze...

Ta ze schrypniętym głosem przybliżyła się do łóżka, przejechała zmarłej ręką po czole i powiedziała, że kiedy zdały sobie sprawę z tego, że dusza ucieka, umyły jej ręce i twarz, i ojciec Eladi zdążył jeszcze przeżegnać ją Krzyżem Świętym. Powiedziała, że nie miały kłopotu z ubieraniem jej, bo już dawno sobie wszystko przygotowała i wciąż im pokazywała suknię, którą powiesiła w szafie na wypchanym wieszaku, żeby nie zdefasonowała się w ramionach. I że zawsze mówiła, że gdyby po śmierci one ją ubierały, to prosi, żeby jej nie kłaść butów, bo jeżeli jest prawdą, że umarli wracają na ten świat, ona chciałaby wrócić cicho, tak żeby nikomu nie przeszkadzać.

Quimet nie wiedział, jak im dziękować, a ta, co miała syna ogrodnika, powiedziała:

– Pana matka była nadzwyczaj lubiana, żywa jak wiewióreczka, zawsze chętna do usług... Kochane biedactwo... Zanimieśmy ją ubrały, zmieniłyśmy jej tasiemkę w szkaplerzu, tak że będzie mogła stawić się w niebie, jeżeli jeszcze tam się nie stawiła, schludna i zadowolona.

A ta, co dotąd najmniej mówiła, siadła, ułożyła sobie ładnie fałdy spódnicy, biorąc każdy kant w palce, i patrzyła na nas. Po jakiejś chwili, kiedy nikt nic nie mówił, zwróciła się i do Quimeta:

– Mama bardzo pana kochała. I pańskie dzieci... Ale czasami zwierzała mi się, że właściwie to całe życie pragnęła córki...

A ta, co miała syna ogrodnika, powiedziała, że są rzeczy, których lepiej nie mówić, a specjalnie w pewnych chwilach... Że powiedzenie synowi w chwili gdy traci matkę, że jego matka wołała mieć córkę, dowodzi braku delikatności. Quimet powiedział, że to dla niego nie nowość, bo kiedy był mały, mama, żeby dać sobie to złudzenie, ubierała go jak dziewczynkę, więc sypiał w dziewczęcych nocnych koszulkach.

Dokładnie w tym momencie, i to bez pukania, weszła ta sąsiadka, co wtedy jadła z nami niesolony obiad: przyniosła bukietik bratków i powiedziała, że już chyba czas, żeby zawiadomić zakład pogrzebowy.

ROZDZIAŁ XXIII

Cintet i Quimet nie przestawali mówić o „eskamotach” i że będą mus wrócić do wojska, i o wszystkim, czego brakowało. Ja im powiedziałam, że dobrze, doskonale, że bawić się w „eskamotów” to bardzo piękne, ale że oni już byli w wojsku, i powiedziałam do Cinteta, żeby mi nie buntował Quimeta i dał święty spokój z tymi „eskamotami”, bo i tak mam dość kłopotów. Cintet przez tydzień nie patrzył na mnie, aż któregoś dnia przyszedł: „Co jest złego w eskamotach?”

Powiedziałam mu, że niech to robią inni, nieżonaci, jak na przykład on właśnie, że przeciwko temu, żeby on się bawił w „eskamota”, nie mam nic, ale że Quimet ma dość roboty w domu i że już jest na to troszkę za duży.

Na co on, że Quimetowi byłoby to nawet na rękę, bo pojechaliby na kurs do Planas... A ja mu na to, że nie chcę, żeby Quimet był „eskamotem”.

Byłam zmęczona. Zabijałam się pracą, wszystko szło jak po grudzie. Quimet nie widział, że raz wreszcie trzeba mi pomóc, zamiast żebym tylko całe życie ja pomagała, nikt o mnie nie myślał, każdy tylko ciągle o coś prosił, tak jak bym ja nie była po prostu człowiekiem. Quimet miał jedno w głowie: ściągał, a potem rozdarowywał gołębie. A w niedzielę wychodził z Cintetem. A przecież nam obiecał, że zrobi przyczepkę do motoru, żebyśmy wszyscy razem mogli jeździć na wieś! On z małym, a ja z Ritą w przyczepce. Ale jak mówię, w niedzielę wychodził z Cintetem i pewno szli do tych „eskamotów”, tak jak to sobie wbili w głowę.

Czasami jeszcze skarżył się na nogę, ale od razu przestawał, bo wtedy mały zawijał sobie nogę ścierką i laził po stołowym, udając kulawego, a Rita biegła za nim z podniesionymi rączkami. Więc Quimet się złościł i mówił, że wychowuję dzieci tak, jakby to były Cyganięta.

Któregoś popołudnia, kiedy dzieci spały po obiedzie, ktoś zadzwonił do drzwi od ulicy. Dwa razy, czyli do nas, jeden raz to był do tych z pierwszego piętra. Poszłam pociągnąć sznurek. Był to Mateu, który z dołu krzyknął mi, że idzie na górę. Jak go tylko zobaczyłam, zrozumiałam, że coś nie jest w porządku. Usiadł w stołowym i zaczęliśmy mówić o gołębiach. Powiedział, że jemu najlepiej podobają się te z tym niby-kapturkiem z piór na tyle głowy, a cały kołnierz fiołkowo-zielony, mieniący. Że gołąb niemieniący się to nie gołąb. Zapytałam, czy

zwrócił uwagę, że te, co mają czerwone łapy, przeważnie mają czarne pazury. A on, że łapki i pazurki są bez znaczenia, że ważne, żeby były mieniące. A jakie to ma znaczenie, skoro zależnie od tego, z której strony jest światło, pióra wyglądają albo liliowe, albo zielone?

– Nie mówiłem tego Quimetowi, ale przed paru dniami poznałem jednego pana, który hoduje gołębie z krawatami...

Powiedziałam, że dobrze zrobił, że nie powiedział, bo tylko mi brakowało, żeby Quimet przyniósł gołębia jeszcze innego gatunku.

Mateu wyjaśnił, że „krawatem” nazywają się piórka sterczące i splątane na piersiach, jak loczki, całe z atlasu. Nazywa się je gołębiami o atlasowych krawatach. Powiedział, że gdyby Quimet nie miał głowy tak nabitej tym, co się dzieje, wiedziałby, że istnieją gołębie, które zamiast mieć piórka ku dołowi, mają piórka ku górze, i że takie nazywają się gołębie w chińskich krawatach. Dodał, że wyobraża sobie, co to jest opiekować się taką ilością gołębi, i to jeszcze w mieszkaniu, że z Quimeta dobry chłopak, tylko że ma takie swoje... choć gdy go o coś prosi, nie jest w stanie mu odmówić, bo Quimet ma taki sposób patrzenia, że... Ale teraz rozumie, że lepiej było wtedy odmówić mu zrobienia tej kłapy. Zapytał mnie o dzieci, a kiedy mu powiedziałam, że śpią, zrobił tak smutną minę, że się przeraziłam. Powiedziałam mu, że dzieci i gołębie tworzą jedną wielką rodzinę, że gołębie i dzieci to jedno i to samo. I to wszystko od dnia, gdy zaczęłam zostawiać dzieci same. Mówiłam, ale widziałam, że nie słyszy mnie, że jest daleko, gdzieś odpłynął. Więc w końcu przestałam mówić, a gdy zamilkłam, jakby odnalazł swój głos i powiedział, że od tygodnia nie widział swojej córki, bo Griselda wzięła posadę maszynistki, a córeczkę oddała do swoich rodziców, a on nie może żyć, jak dziecka nie ma w domu i ze świadomością, że Griselda ma do czynienia z byle kim. – A dziecko poza domem... – powtarzał skłopotany. W końcu przeprosił mnie, że wybrał się do mnie z tymi wszystkimi historiami, że mężczyzna powinien, umieć radzić sobie sam, ale że mnie zna od tak dawna, że uważa mnie za siostrę, a kiedy mu powiedziałam, żeby mnie traktował jak siostrę, rozplakał się, nawet się bardzo przestraszyłam. Po raz pierwszy w życiu widziałam płaczącego mężczyznę, niebieskookiego i wysokiego jak sam święty Paweł. Jak się uspokoił, wyszedł na palcach, żeby nie pobudzić dzieciaków, a gdy zostałam sama, poczułam coś bardzo dziwnego: smutek połączony z jakąś błogością, coś, czego jeszcze nigdy w życiu nie czułam.

Poszłam na górę, niebo o zachodzie było jak poziomka, gołębie z tymi gładkimi piórami zbiegły mi się do nóg, z tymi piórami, na których po deszczu

człowiek ślizga się tak, że nie może się na nogach utrzymać. Od czasu do czasu wiatr stroszył im pióra na szyjach... Kilka zerwało się do lotu, na tle czerwonego zachodu wszystkie odcinały się zupełnie czarno.

Wieczorem, zamiast myśleć o gołębiach i o moim zmęczeniu, które często nie pozwalało mi usnąć, myślałam o oczach Mateu, o tych oczach, koloru morza, morza w słońcu, takiego, jakie widywałam, gdy jeździłam z Quimetem na motorze; nie zdając sobie z tego sprawy, myślałam o rzeczach, które wydawało mi się, że rozumiem, a których właściwie nie mogłam zrozumieć. A może uczyłam się jakichś nowych rzeczy, może dopiero je poznawałam...

ROZDZIAŁ XXIV

Następnego dnia zbiłam u państwa, wazon i kazali mi zwrócić za niego, jakby był nowy, mimo że był pęknięty. Kiedy wracałam do domu, taszcząc groch, zmordowana do ostatnich granic, zatrzymałam się na wprost tych wyrysowanych na ścianie wag, bo gdy byłam zmęczona, w tym właśnie miejscu po prostu nie mogłam już złapać tchu.

Antoni zarobił parę klapsów bez powodu i rozplakał się, a mała, jak zobaczyła, że on płacze, sama uderzyła w bek, i w końcu płakaliśmy już wszyscy troje, bo ja także się rozplakałam, a gołębie gruchały, dość, że kiedy Quimet wrócił do domu, znalazł nas wszystkich zalanych łzami i powiedział, że tylko mu tego brakowało.

– Całe rano politurowałem i latałem dziury po kornikach, a kiedy wracam, zamiast znaleźć trochę wesołości i spokoju, znajduję szloch i dramaty. Jeszcze tylko tego mi potrzeba.

Porwał dzieciaki, podniósł je za ręce do góry i ponosił je po jadalni, huśtając w górę i w dół, każde uwieszone u jednej ręki, więc zapytałam, czy chce im powyrywać ręce, na co on, że jak nie przestaną ryczeć, to je powywała oknem na ulicę. Żeby już więcej nie rozrabiać, połknęłam i tę odpowiedź, umyłam dzieciom twarze, sobie także, i nie powiedziałam, że stłukłam wazon i że mi za niego strącili, bo byłby gotów iść do moich państwa i zrobić im awanturę.

Tego właśnie dnia powiedziałam sobie, że koniec z tym, że koniec z gołębiami. Z gołębiami, z grochem, z gniazdami, piciem, żarciem, drabiną, wszystko won! Tylko nie wiedziałam, jak... Ta myśl utkwiała mi w głowie jak płonąca szczapa i podczas gdy Quimet, który jadł obiad z nogami założonymi na poprzeczkę krzesła, zdejmował jedną i ruszając nią, oznajmiał, że czuje w kolanie coś takiego jak ogień i że mu to pali kości, ja myślałam o tym, że koniec z gołębiami, i wszystko, co mi mówił, wchodziło mi jednym uchem, a wychodziło drugim, tak jakbym miała te uszy prześwidrowane.

W środku mózgu siedziała mi ta płonąca żagiew czerwona i rozżarzona. Groch, żarcie, picie, gołębnik i kosze gołębiego nawozu – won! Drabina, ostnica, kulki siarki, czerwone oczki i czerwone nóżki – won! Pawie ogony, kaptury, zakonnicy, gołębie, gołębice i gołąbeczki – won! Komórka na tarasie dla mnie, kłapa zamknięta, krzesła w komóreczce, droga gołębia zamknięta, koszyk z bielizną na tarasie, suszenie bielizny na tarasie. Okrągłe oczki i szpiczaste

dzióbki, słoneczniki takie i słoneczniki siakie – wszystko won; matka Qiumeta niechcący sama dała mi na to sposób. Zaczęłam przeszkadzać gołębicom, kiedy wysiadywały. Korzystając z tego, że dzieci śpią, a spały po jedzeniu, wchodziłam na taras i zaczynałam straszyć gołębie. Komórka na strychu była rozpalona jak piec, całe ranne słońce waliło prosto w dach i rozgrzewało go. Wraz z gołębiami, ich rojeniem się i zapachem było to istne piekło.

Wysiadująca gołębicą, gdy widziała, że się zbliżam, podnosiła głowę, wyciągała dziób, rozpościerała skrzydła i osłaniała gniazdo. Kiedy wsadzałam jej rękę pod pierś, chciała mnie dziobać. Niektóre rozpościerały skrzydła i nie ruszały się. Inne odfruwaly i czekały w niepokoju, żebym sobie poszła, by znowu usiąść na gnieździe. Jajko gołębie jest śliczne, ładniejsze od kurzego, mniejsze, jakby zrobione po to, by zmieścić się w dłoni. Wybierałam jajka tych gołębic, które nie uciekały, i przesuwałam je im przed dziobem, a gołębicą, która nie miała pojęcia, co to jest ręka ani co to jest jajko, ani w ogóle nic, wyciągała głowę, otwierała dziób i chciała mnie dziobnąć. Małe i gładziutkie jajka były ciepłe, pachniały piórkami. Po paru dniach wiele gołębic porzuciło gniazda. A jajka, opuszczone w gniazdach z ostnicy, gniły. Gniły z załączkiem pisklęcia wewnątrz, z załączkiem niegotowym jeszcze, będącym białkiem, krwią i już uformowanym sercem.

Potem szłam do mieszkania, do małego pokoiku. Raz jakaś gołębicą wyfrunęła przez klapę, a po chwili wysadziła zza klapy głowę, pilnując mnie. Niektóre unosiły się znad gniazda tępym lotem i siadały na ziemi zastraszone. Pawiki broniły się najdzielniej. Jakiś czas odpoczywałam, ale trzeba było dokończyć dzieła. Zamiast straszyć gołębicę i doprowadzać je do tego, by znienawidziły wysiadywanie, zaczęłam zabierać im jajka i potrząsać nimi z wściekłością. Miałam nadzieję, że siedzące w środku pisklęta otumanieją, jak dobrze parę razy walną łebkiem w skorupę. Gołębie wysiadują osiemnaście dni. W połowie tego czasu potrząsałam jajkami. Im bardziej gołębicę bliskie były końca wysiadywania, tym bardziej się złościły, więcej gorączki, większa chęć dziobania. Kiedy im kładłam rękę między gorące pióra, głowę, dziobem szukały mojej ręki, a kiedy wycofywałam się z jajkami, dziobały.

Sypiałam wtedy fatalnie. Miałam jakieś skoki serca, jak za dziecinnych czasów, gdy rodzice kłócili się, a potem matka, smutna i przerażona, przysiadła gdzieś po kątach. Budziłam się o północy, jakby ktoś we środku ciągnął mnie za sznurek, jakby mnie ciągnął za pępownię i całą mnie przez ten pępek wyciągał, całą, oczy, ręce, paznokcie, nogi i serce z jakimś kanalikiem w środku, ze skrzepem czarnej krwi, i palce u nóg, które niby żywe były, niby martwe.

Wszystko z powrotem wsysało w siebie nicość, przez tę pępowinę, którą zawiązuje się na supeł. A wokoło tego ruchu, który porywał mnie wraz z sobą, wirowała chmura gołębich piór, gęsta, gąbczasta, zasłaniająca wszystko. Trwało to miesiące. Miesiące niesypiania i potrząsania gołębimi jajami. Wiele gołębic, nie zdając sobie z tego sprawy, wysiadywało o parę dni dłużej, niż należało.

Aż wreszcie po tych niekończących się miesiącach Quimet zaczął sarkać, że te gołębie są do niczego, że umieją tylko dziobać ostnicę i robić sobie z niej gniazda. A wszystko dlatego...

Wszystko dlatego, że nie mogłam dłużej, że dzieciaki nigdy nie wychodziły, że myłam statki w tamtym domu, gdzie nikt do niczego nie był zdatny, tylko do pchania sobie pełnych łyżek do gęby, a to ich dziecko też było do niczego niepodobne, chude i marne, mimo starań, jakimi je otoczyli...

Na tarasie ciągle jeszcze słyhać było gruchanie gołębi.

ROZDZIAŁ XXV

Podczas gdy ja robiłam tę moją gołębią rewolucję, stało się to, co się miało stać, ale co miało trwać bardzo krótko. Chwilowo zostaliśmy bez gazu. U nas nie dochodził do mieszkania, a tam, gdzie pracowałam, nie dochodził już do sutereny. Pierwszego dnia gotowaliśmy na balkonie, na glinianym piecyku, przymocowanym czarnym drutem, i na węglu drzewnym, który nieszczęsna sama musiałam przytargać.

– To ostatni – powiedziała węglarka – bo mąż wyszedł na ulicę.

Quimet też latał po ulicach i każdego dnia myślałam, że więcej go nie zobaczę. Zawiązał sobie niebieską kokardę i po paru dniach dymu i płonących kościołów pojawił się z rewolwerem u pasa i dwururką przewieszoną przez ramię. Był upał, straszny upał, bielizna lepiała się do pleców, prześcieradła do ciała, a ludzie żyli zastraszeni. Sklep na dole opustoszał w parę dni zaledwie, wszyscy mówili o tym samym, jakaś pani powiedziała, że zanosilo się na to od dawna i że zawsze zbroi się ludzi w lecie, kiedy krew szybciej się grzeje. I że Afryka powinna by zapaść się pod ziemię.

Któregoś dnia nie przyniesiono o zwykłej porze mleka. Państwo usiedli w stołowym i czekali. O dwunastej zadzwonił ktoś od frontu, powiedzieli mi, żebym poszła otworzyć, a pan w fartuchu poszedł za mną. Był to rozwoziciel mleka. Otworzyłam kratę, a on podał mi dwa mleka, więc odebrałam od niego, a pan w fartuchu powiedział:

– A pani co myśli? Nie rozumie pani, że biedni zgubieni są bez bogatych?

Mleczarz opuścił klapę i powiedział do pana, żeby był łaskaw mu zapłacić (płacili mu co tydzień), bo nie wie, czy nazajutrz jeszcze będzie mógł przywieźć mleko. Pani weszła na górę, usłyszała go i zapytała, co się stało z krowami, bo – mówi – krowy chyba rewolucji nie robią, a mleczarz powiedział, że nie, proszę pani, mam wrażenie, że nie... ale całe miasto wyszło na ulicę, więc zamykamy.

– A co my zrobimy bez mleka? – zapytała pani, a pan też się wtrącił i powiedział, że robotnicy chcą być właścicielami, tylko że nie wiedzą, jak się do tego zabrać.

– Pan chce rewolucji? – zapytał.

– Nie, proszę pana – powiedział mleczarz. I już popychał swój wózek, zapominając, że mieli mu zapłacić, ale pan zatrzymał go, zapłacił, bo, powiedział,

widać z niego porządny człowiek, chociaż robotnik, na co mleczarz, że już jest stary... I popchnął wózek i pojechał, by dzwonić do innych domów i rozwieźć ostatnie butelki. Zamknęłam kratę, u stóp schodków czekała na nas córka i wtedy matka powiedziała jej, że pewnie jutro nie będzie mleka. Na to córka:

– No to co my zrobimy?

Kiedy przyszedliśmy do jadalni, usiedliśmy wszyscy i pan powiedział, że co noc słucha kryształkowego radia i że niedługo wszystko będzie w porządku, bo już ruszyli.

Nazajutrz, kiedy odczepiłam łańcuch i postawiłam nogę na pierwszym stopniu, pokrytym zeschniętymi kwiatkami jaśminu, zobaczyłam panią, która czekała na mnie obok mimozy. Twarz miała zlaną potem i zaraz mi się zwierzyła:

– Wczoraj po południu chcieli mi zabić męża.

– Kto? – zapytałam, a ona:

– Chodźmy do stołowego, tam nam będzie chłodniej.

A kiedy usiadłyśmy w trzcinowych fotelach, powiedziała:

– Wczoraj o ósmej wieczór, to jest wtedy, kiedy mój mąż wraca ze sklepu, usłyszeliśmy, jak krzyczy z hallu: „Chodź tu! Chodź tu!”. Poszłam. Za nim stał milicjant i dotykał mu karabinem pleców.

– Dlaczego? – zapytałam.

– Niech pani czeka – roześmiała się pani. – Wzięli go za księdza... Bo jest łysy... Milicjant myślał, że ogolił głowę, żeby to ukryć, zmylić, i prowadził go tak od Travesery na sztyku... A powiedział, że go aresztuje; ledwie udało się mężowi namówić go, żeby przyszedł do domu, zobaczył rodzinę...

Zaczerwieniłam się, bo przez chwilę pomyślałam, że może tym milicjantem był Quimet, który tak się zapalił, ale zaraz sobie przypomniałam, że pani go zna. Ale co się nastraszyłam, to moje. Pani dodała, że powiedziała milicjantowi, „dwadzieścia dwa lata po ślubie”. A on prosił, żeby; mu wybaczyli, i poszedł, i jeszcze powiedziała, że nocą wszyscy słuchają kryształkowego radia, a jej zięć, ten od fartucha, który nigdy nikomu nie daje słuchać, jak wczoraj słuchał, miał niewesołą twarz i powiedział, że tej nocy nic nie było słychać.

W dwa dni po kłopotcie z milicjantem o trzeciej po południu rozległ się dzwonek. Pani sama poszła otworzyć, mówiła potem, że jak schodziła po marmurowych schodach frontowych, już się bała i czuła ucisk na sercu, bo przez matowe szkło w banieczki zobaczyła sporą grupę ludzi i cienie, jakby kije, a to były lufy karabinów.

Otworzyła, weszło pięciu milicjantów z jakimś panem i panią, których znała,

byli to właściciele domu na ulicy Provenza. Pan od fartucha już od wielu lat miał hipotekę na tym domu, a ponieważ tamci nie płacili mu procentów, więc w końcu tak się umówili, że dom przeszedł na niego. Tamci chcieli teraz, żeby przeszedł z powrotem na nich, weszli do salonu, gdzie stała skrzynia ze świętą Eulalią, pan wszedł i natychmiast jeden z milicjantów, szczupły, ale mocny, kazał mu usiąść przy stole i wycelował mu lufę parabellum za ucho, i powiedział, żeby podpisał dokument, że im zwraca dom, bo oni są prawymi właścicielami. A on im go ukradł. I że jeżeli nie mogli mu płacić procentu hipotecznego, to dlatego, że żądał dwanaście procent, co nie było dozwolone.

– Proszę ten papier, mówiący, że dom do tych państwa należy, podpisać natychmiast – mówił milicjant – bo to jest wszystko, co oni mają.

A pan – mówi pani – był cichy jak mysz, z tą lufą za uchem, nawet nie mógł ruszyć głową, milczał, tak że milicjanta już zaczynało złościć to milczenie, a po chwili zaczął mówić, ale bardzo powoli i cichuteńko, że tamci państwo nie mają racji, że to, co zrobił, był w prawie zrobić, a tamci znów do milicjanta, żeby mu nie pozwolił mówić, bo jak zacznie gadać, to was przekona. On przekonałby i Ducha Świętego.

I – mówi – milicjant stuknął go tą lufą za ucho i powiedział „pisz!”, a tamten znów się zmienił w posąg. I nikt nic nie mówił. A kiedy już pan ich znudził do niemożliwości, przekonał ich, ale zabrali go do komitetu. Wrócił dopiero o dziesiątej wieczór. Powiedział, że wszyscy rewolucjoniści byli po jego stronie i mówili, że on ma rację, ale że zanim mu to powiedzieli, dłuższy czas wozili go samochodem, w którym z tyłu mieli butelki z alkoholem, i chcieli go spalić na jakimś pustkowiu. I powiedział, że tak świetnie udawał, że dwóch z komitetu zrobiło awanturę tamtym państwu, że przez nich tracą czas, a nie stać ich na tracenie czasu. Podczas gdy pani to wszystko mi opowiadała, czułam, że mi pot ciurkiem leci po plecach, jak żywa żmija.

A nazajutrz wszystko od początku. Pani czeka na mnie u dołu schodów, pod spalonym z upału jaśminem, i mówi:

– Wczoraj o dwunastej już myśleliśmy, że się nie obronimy.

Zrobili u nich rewizję, bo lokatorzy, którzy pistoletem malowali jedwabne chustki w garażu (wynajmował go im zięć, bo lokatorzy z wieży nie mieli auta), zrobili donos. Ale ponieważ w szafach znaleźli tylko graty i puste pudła, to po rewizji zabrali się i poszli. Pani powiedziała:

– Tym lokatorom szło o to, żeby milicjanci nas zabrali i nam kazali mieszkać w garażu, a im w naszym mieszkaniu. Dokąd ten świat idzie, niech pani sama

powie?

Coraz trudniej było o groch i gołębice zaczęły odlatywać.

ROZDZIAŁ XXVI

Seniora Enriqueta twierdziła, że za dużo tego dobrego, że jest całkiem zrujnowana, że nie może handlować. Wszystko na marne. Ciekawość, co się stało z tym, co miała w banku. Zabrała się do sprzedawania guzików i męskich podwiązek, na ulicy Pelayo.

Quimeta prawie nie widywałam, byłam zadowolona, jeżeli zjawiał się na noc. Któregoś dnia mi powiedział, że sprawy stoją źle, że trzeba będzie jechać na aragoński front. I powiedział, że udało im się uratować ojca Joana, że przebrali go w ubranie Mateu i w ciężarówce zdobytej przez Cinteta przekroczył granicę.

– Masz – powiedział i dał mi dwie złote monety. – Ojciec Joan dał je dla ciebie i dzieci, bo, mówi, będziecie ich potrzebować więcej niż on, bo jemu gdzie by się nie zatrzymał, Bóg pomoże i nie pozwoli umrzeć, póki nie nadejdzie jego pora.

Schowałam obie monetki, Quimet dodał, żebym nie rzuciła pracy, żebym u tych państwa została, bo na te czasy tacy ludzie mogą mi się przydać, i że nawet gdyby wszystko poszło jak najgorzej, to szybko się to skończy i że nie ma rady, trzeba tańczyć, tak jak grają. Dodał, że podobno Griselda chodzi z jakimś waśniakiem i nie chce słyszeć o Mateu... Cóż – życie.

Quimet pojechał na aragoński front, a ja żyłam jak dawniej. Jeżeli zaczynałam myśleć, widziałam niekończące się trudności i przeszkody, i pułapki, które mi zagrażały. Aż tu któregoś dnia przed pierwszą, właśnie kiedy się wybierałam do domu, pan od fartucha wziął mnie na rozmowę.

– Bardzo jesteśmy z pani zadowoleni i będzie nam zawsze przyjemnie, jeżeli kiedykolwiek pani do nas wpadnie. Ale zostaliśmy bez środków i bez lokatorów, w dodatku dowiedzieliśmy się, że pani mąż jest po stronie spiskowców. Nie mamy ochoty na stosunki z ludźmi tego typu. Jasne? Ja każdej nocy słucham radia i powinniście to robić wszyscy, wtedy zobaczylibyście, że nieuki z was i że żyjecie na księżycu. Zamiast tych wszystkich sztandarów lepiej przygotowalibyście sobie bandaże, bo tak wam pokażą, że się nie pozbieracie, ani ręka, ani noga nie zostanie cała.

Podczas tego przemówienia przechadzał się po jadalni, dotykając od czasu do czasu grdyki. Dodał jeszcze:

– Niech pani nie myśli, że mam cokolwiek przeciw pani, po prostu nie mamy czym płacić. Od pierwszego dnia powtarzam, że biedni bez bogatych muszą

zginąć i że za te wszystkie limuzyny, którymi rozbijają się ślusarze, murarze, kucharze i posłańcy, jeszcze zapłacą krwią.

Tak zakończył i poszedł przymocować mimozę koło fontanny, bo szła w górę jak jakiś owad i cała się przekrzywiła. Zanim poszłam, pani powiedziała mi, że biuro, gdzie od trzydziestu lat pracował jej mąż, przeszło w ręce urzędników, a on był tam przecież udziałowcem. Powiedziała jeszcze:

– Zawsze jeżeli pani znajdzie chwilę czasu... Zresztą pani sama wie.

W porze obiadu, tak jakby mieszkali w tym samym domu, zjawili się Quimet z Cintetem; Cintet mi powiedział, że ma do dyspozycji działo, które przerzuca z miejsca na miejsce. Przyszli zobaczyć mnie i przynieść trochę jedzenia, i zaraz poszli. Zanim poszedł, Quimet pocałował śpiące dzieciaki; na palcach, aby ich nie obudzić. Tego samego dnia przyszedł Mateu, także z kokardą i bronią. Bardzo nastraszony. Powiedziałam mu, że tamci byli w domu parę godzin temu, więc żałował, że się z nimi nie widział. W jadalni słońce świeciło i kryło się w cień, raz żółte, a raz białe. Mateu położył karabin na stole i powiedział smutno:

– Widzi pani, jak wyglądamy my, ludzie lubiący spokój...

Był bardzo zdenerwowany, bardziej niż Quimet i niż Cintet, i nawet niż ja. Powiedział, że żyje tylko dla dwóch rzeczy; dla pracy i dla rodziny, dla Griseldy i dla córeczki. I że przyszedł mnie pożegnać, bo jedzie na front i że może Bóg wysła go na front, żeby prędko zginął, bo bez Griseldy i bez małej nie jest w stanie żyć.

Posiedział chwilę, trochę milcząc, trochę coś mówiąc. Dzieci obudziły się, wstały, przywitały się z nim, a potem poszły bawić się na balkonie, na słonecznej plamie, która to zapalała się, to gasła. Wtedy między chwilą słońca a chwilą cienia zapytał mnie, czy mogłabym dać mu coś na pamiątkę, bo jestem jedyną osobą, która mu została na świecie. Zaczęłam myśleć, ale jakoś nic mi nie przychodziło do głowy, co mogłabym dać mu na pamiątkę, aż moje oczy padły na gałązkę bukszpanu, już zeschniętą, przewiazaną czerwoną wstążeczką. Odwiązałam wstążeczkę i dałam mu ją, a on ją włożył do portfela. I wtedy nie mam pojęcia, skąd przyszło mi do głowy, żeby go zapytać o jedną rzecz, o którą dotąd nigdy nie miałam okazji zapytać: czy nie wie, kim jest Maria. Że Quimet wymieniał czasem jej imię. Odpowiedział, że Quimet z pewnością nigdy nie znał żadnej dziewczyny o imieniu Maria. Nigdy.

Powiedział, że już idzie, zawołał dzieci, pocałował każde w czoło, a kiedy już staliśmy przy drzwiach i właśnie miałam je otworzyć, położył rękę na mojej, którą otwierałam drzwi, i powiedział, że przed odejściem chciałby mi coś powiedzieć:

że Quimet nie wie, jakie to szczęście mieć taką żonę jak ja, i że on mi to mówi w momencie rozstania, kiedy może już nigdy się nie zobaczymy, po to, żebym o tym zawsze pamiętała... o jego szacunku i sympatii, którą poczuł do mnie od pierwszego dnia, od wtedy, co przyszedł robić nam kuchnię. Żeby jakoś nie dać po sobie nic poznać, powiedziałam, że dlaczego idzie, żeby nie szedł, że Griselda nie jest złą dziewczyną i że na pewno zorientuje się, jakie głupstwo strzeliła, ale powiedział, że nie ma innego wyjścia, nie tylko przez Griseldę, ale i dlatego, że tamto jest ważniejsze, że to sprawa wszystkich, że jeżeli przegramy, znikniemy z mapy świata. Poszedł jeszcze smutniejszy, niż przyszedł.

Potem przez długi czas nie widziałam Quimeta, a seniora Enriqueta znalazła mi pracę w Radzie Miejskiej.

ROZDZIAŁ XXVII

Tworzyłyśmy zespół. Zespół sprzątaczek. Kiedy kładłam się do łóżka, dotykałam kolumnienki, którą połamałam w czasie, gdy rodziłam Antoniego, a którą Quimet, zręcząc, naprawił, dotykałam szydełkowych kwiatów kapy, i dotykając tych kwiatów i kolumnienki w ciemności, wmawiałam sobie, że wszystko jest jak dawniej, że nazajutrz wstanę i będę szykowała dla Quimeta śniadanie, że w niedzielę pojedziemy do jego matki, że Antoni płacze zamknięty w ciemnym pokoiku, w którym trzymaliśmy gołębie, a mała Rita jeszcze się nie urodziła... Jeżeli cofałam się jeszcze dalej, myślałam o czasie, kiedy sprzedawałam słodycze w sklepie pełnym kryształów i luster, takim pachnącym, i że mam piękną białą sukienkę, że pójdę przejść się w niej po ulicach...

A kiedy już myślałam, że nigdy więcej nie zobaczę Quimeta, bo poszedł na wojnę, nagle zjawił się któregoś niedzieli, zakurzony i obładowany żarciem. Położył na stole jedzenie, rewolwer i karabin. Powiedział, że potrzebują materaców, i zabrał dwa, Antoniego, bo powiedziałam, że może spać ze mną w łóżku, i ten z mojego panińskiego mosiężnego łóżeczka. Powiedział, że są doskonale okopani i że nieraz gadają ze sobą od okopu do okopu, ale jeżeli który się zagapi i wysadzi głowę, strzelają do niego, i już. Powiedział, że jedzenia im nie brak, że wszyscy im pomagają, że wszyscy są z nimi i że dołącza do nich moc ludzi ze wsi, którzy muszą odchodzić, żeby nakarmić bydło albo podlać ogród, i że oni im pozwalają odejść, a potem wszyscy wracają. Że czasem całe dni nudzą się bez strzelania, bez gadania z tymi z przeciwka, tylko ciągle drzemią, i że z tego stałego drzemania zupełnie stracił sen i spędza noce, patrząc na chmury i na gwiazdy, że nigdy nie myślał, że są ich takie masy i tyle różnych wielkości, bo i skąd miał myśleć, przecie całe życie tylko siedział zamknięty w tym swoim warsztacie, robiąc meble. Antoni chciał wiedzieć więcej, wlaźł mu na kolana i kazał sobie pokazywać, jak się strzela z rewolweru, a Quimet mu tłumaczył, że ta wojna to jest inna wojna, i oby ostatnia.

Oboje, i Antoni, i Rita, byli zakochani w ojcu; powiedział im, że w następną niedzielę przyniesie im zabawek i lalki, chłopów i chłopki z Aragonii. Obiad był pyszny, a potem zaczęliśmy szukać liny, żeby związać materace, i poszliśmy do sklepiku; sklepikarz był kiedyś na bakier z Quimetem, bo mi kazał gdzie indziej kupować groch dla gołębi. Najpierw krzyknęliśmy do sklepikarza

z balkonu, bo miał spuszczoną żaluzję, a on zaraz dał spory kawałek sznura, więcej, niż było potrzeba, dał jeszcze i worki, a Quimet powiedział, że worki przydadzą się do robienia ochrony; ima pomysł z tymi workami: naładuje się je ziemią i będzie byczo.

– Popatrz pan – powiedział do niego sklepikarz – żebym zamiast moich lat był młody, poszedłbym z wami na wojnę. Teraz tak i tak w sklepie nici, nawet by mnie to zabawiło. Za moich czasów były inne wojny, gazy i takie tam.

Quimet mu powiedział, że wie, jaka była Wielka Wojna, bo zebrał kolekcję generałów z opakowań czekoladowych.

– Teraz jak młodzi walczą, to aż miło... Przecież jak ludziom przejdzie pierwsza wściekłość, skończą z tą całą wojną, która nie jest właściwie wojną. Powtarzam panu, że ta wojna to mi się właściwie podoba. Za miesiąc będzie spokój. Już ja mam doświadczenie. Natomiast nigdy się nie zgadzałem z paleniem kościołów, bo to nikomu nie idzie na zdrowie. Ale tak jak wy walczyacie, owszem, podoba mi się, a jak pan znów przyjdzie, dostanie pan więcej worków, tylko pan krzyknie z balkonu. – Na co Quimet, że przyjdzie w przyszłym tygodniu.

Opowiedziałam Quimetowi, jak się skończyło z państwem, u których pracowałam, i że teraz sprzątam w Zarządzie Miejskim; uważał, że tak jest lepiej, bo pracować dla tych, co rządzą miastem, to jednak może się przydać. Popatrzył na opuszczony pokój po gołębiach, powiedziała mu, że na tarasie jeszcze ich trochę zostało – tych najstarszych. Że z głodu zdziczały, że nie dają się złapać. Powiedział, żebym się nie przejmowała, że to nie ma znaczenia, bo wszystko się w życiu zmieniło i zmieni się jeszcze więcej, ale na lepsze, i że wszyscy poczujemy to na sobie.

Wieczorem poszedł, ku tej stronie, gdzie słońce wschodzi całe jakby we krwi. Klakson samochodu, który po niego przyjechał, pobudziłby umarłych. Dwóch milicjantów weszło, żeby załadować materace, jeden z nich powiedział Quimetowi, że znikł Cintet. Szukali go, ale nie znaleźli, na co Quimet, żeby się nie przejmowali, że to jego wina, zapomniał im powiedzieć, że Cintet musiał polecieć do Kartageny po pieniądze i że wróci dopiero za parę dni.

ROZDZIAŁ XXVIII

Równo w trzy dni po odjeździe Quimeta zjawił się Cintet z nową kokardą, sztywny, bo na piersiach i plecach miał pełno rzemieni, a w ręku koszyk pomarańcz. „Dla dzieci” – oznajmił. Opowiedział mi, że poleciał do Kartageny po pieniądze tak starą awionetką, że tam, gdzie nie było obciążenia, wiatr unosił deskę w podłodze; zanim dolecieli, lotnik powiedział im, że może w ogóle nie dolecą na tym starym pudle, i dokładnie w tym momencie, kiedy mówił, że może w ogóle nie dolecą, nagle przez tę szparę w podłodze wpadł ptak, albo wepchnięty przez wiatr, albo wessany przez próżnię, dość że wpadł i wszyscy tak się nim zajęli, że wylądowali w Kartagenie, nawet nie wiedząc kiedy.

Z torby, którą po przyjeździe położył na stole, wyjął sześć butelek mleka i paczkę kawy i zapytał, czy nie zrobiłabym mu trochę kawy, bo z tej całej wojennej mordęgi najbardziej mu dokucza, że nie jada na fajansie ani nie pije w porcelanie, i dodał, że marzyłby o tym, żeby napić się kawy z tych porcelanowych filiżaneczek do czekolady, o które tyle nazłościł się Quimet. Roześmieliśmy się obydwój. Oznajmił, że wszystkie upominki są na pamiątkę naszych wspólnych cierpień w czasie skrobania tapet. Gdy gotowałam mu wodę na kawę, powiedział, że to smutne, że my, ludzie tak lubiący pokój i wesołość, zostaliśmy wmieszani w tego typu historyczne wydarzenia! Między jednym a drugim łykiem kawy dodał jeszcze, że lepsza jest historia czytana z książek niż ta, którą wypisują armaty. Słuchałam go spokojnie, myśląc, że widzę jakiegoś nowego Cinteta, i zastanawiając się, jak bardzo wojna zmienia ludzi.

Po kawie wrócił do swojej podróży do Kartageny. Twierdził, że należy ona do wrażeń, które powinno się przekazywać wnukom. Na przykład, jak szybko zmieniał się to, co mieli pod sobą: raz pola chmur, raz błękitne przestrzenie morza, a morze widziane z góry jest wielokolorowe, widać na wodzie rozmaite prądy, a jak wleciał im do środka ten ptak, to musiał schować się w sam kącik, bo był taki straszny wiatr, że nie tylko podnosił deski w podłodze, ale i jego, i wszystko. Ptak ledwo żywy leżał brzuchem do góry, napinając i rozluźniając pazurki, z dziobka ciekła mu ślina, a półzamknięte oczy były zupełnie szklane.

A potem mówiliśmy jeszcze o Mateu. Mówił, że ani on, ani Quimet nie ośmielali się mu nic radzić, bo był od nich starszy, ale że jak tylko poznali Griseldę, od razu zauważyli, że to lala i że Mateu jest zbyt męski na taką lalę, i że

będzie miał przez nią same zmartwienia. Tylko że tych rzeczy uczą ciosy, a nie rady. Zapytał jeszcze o gołębie. Powiedziałam, że już niewiele ich zostało, że bardzo zdziwały, że śmieciarzowi dawałam co dzień po jednym gnieździe, bo wszystkich od razu nie chciał zabrać, i pokazałam mu pokój po gołębiach, dawno już wyprzątnięty. Chciał smród jeszcze w nim zostać. Dziurę od tarasu zatkałam starymi puszkami, drabina leżała na podłodze. Powiedział, że „jak wygramy, wymaluję ci ten pokój na różowo”. Spytałam, kiedy znów przyjedzie, powiedział, że może wtedy, co i Quimet. Zbiegł pędem ze schodów, wołając po drodze: „Do widzenia, do widzenia”, i trzasnął z całej siły frontowymi drzwiami.

Wróciłam do jadalni, siadłam koło stołu i wygrzebując paznokciami okruszyny, które powłaziły w szparę, chwilę sobie siedziałam, ale wkrótce zadzwonił dzwonek; była to seniora Enriqueta z dziećmi, które się ucieszyły z pomarańcz.

ROZDZIAŁ XXIX

Pewnego dnia, kiedy rano szłam do pracy, usłyszałam, że ktoś mnie w z przejeżdżającego samochodu. Obejrzałam się, samochód stanął, wyskoczyła z niego Julieta w stroju milicjantki, szczupła, blada, ze zgorączkowanymi, zmęczonymi oczami.

Zapytała, jak się mam, powiedziałam, że znakomicie, zwłaszcza że Quimet walczy na aragońskim froncie, a ona zaznaczyła, że ma mi wiele do powiedzenia, i spytała, czy jeszcze mieszkam w tym samym mieszkaniu, bo jeżeli tak, to miałyby ochotę spędzić ze mną niedzielne popołudnie.

Zanim wsiadła z powrotem do auta, powiedziała mi jeszcze, że mój cukiernik został zabity w pierwszych dniach rewolucji z powodu komplikacji rodzinnych: miał mianowicie jednego siostrzeńca, którym się zajmował, i drugiego, którym nie chciał się zajmować, bo był leń; i na skutek donosu tamtego zabito go jako zdrajcę. Julieta powiedziała jeszcze, że jest zakochana w jakimś chłopcu, który także jest na froncie, i poszła do auta, a ja do roboty.

Nadeszła nadzieja. Czekałam na nią od trzeciej. Seniora Enriqueta zabrała dzieci, bo znajomi dali jej parę puszek brzoskwiniowej marmolady i chciała je poczęstować. Powiedziałam, żeby na mnie nie liczyła, bo ma przyjść Julieta, która zajmuje się dziećmi uchodźców z całej Hiszpanii, więc seniora Enriqueta wzięła dzieci i poszła, a potem przyszła Julieta, która zaczęła od tego, że strasznie się boi o swego narzeczonego, że jeżeliby on miał zginąć, to ona rzuciłaby się do morza, tak okropnie go kocha, i że spędzili ze sobą jedną jedyną noc, w czasie której do niczego nie doszło, ale ona dlatego go tak kocha, że jest dobry i tak w niej zakochany, jak mało kto potrafi. Tę wspólną noc spędzili w zarekwirowanym dworze na wsi, on miał wartę z ramienia jakiejś partii, ale już zapomniałam jakiej, a ona tam do niego poszła. Kiedy przyszła, już było ciemno, to był październik, a kiedy otworzyła kratę, którą w dodatku musiała z całej siły pchać, bo po ostatnim deszczu zebrała się tam kupa piachu, znalazła się w ogrodzie pełnym bluszczu, bukszpanu, cyprysów i różnych wielkich drzew, wiatr przeganiał liście z jednej strony ogrodu na drugą, aż nagle jakiś liść uniósł się i dał jej w twarz, zupełnie jakby umarły wstał z grobu. Dom stał w ogrodzie, widać było cienie poruszających się gałęzi, wszystkie okiennice były pozamykane... i ten wiatr, i te szeleszczące liście – serce miała zupełnie ściśnięte. On jej powiedział,

że będzie na nią czekał u kraty, że gdyby jednak go nie było, żeby od razu weszła, bo nie chce, żeby ją widzieli sąsiedzi, ale się spóźnił, więc czekała, było z chwili na chwilę ciemniej, cyprysy drżały, kołysały się niby cienie zmarłych, te czarne cmentarne cyprysy, dość że gdy nadszedł, jeszcze bardziej się przeraziła, bo nie było widać twarzy i nie wiedziała, czy to on. Weszli do domu, przeszli przez cały dom, świecąc sobie latarką, pachniało pustką, a kroki to tak dzwoniły, jakby ktoś chodził po innych pokojach, i ona myślała, że to może duchy gospodarzy domu (bo wiedziała, że ich wszystkich zabito), i to także ją przerażało.

Dom był wielki, firanki, salony, obszerne balkony, wysokie sufity, a jedna sala cała z luster i oni widzieli się w tych lustrach na wprost i z profilu, i tyłem, te cienie wyglądały, jakby tańczyły, światło lampki odbijało się ze wszystkich stron, nawet w okno waliła gałąź jakiegoś drzewa, albo waliła, albo ocierała się, zależnie od tego, czy wiatr chciał walić nią, czy ocierać. W szafie znaleźli balowe suknie i futra, a ona – nie mogła wytrzymać i włożyła jedną taką suknię, czarną z tiulem, który owiewał ją niby chmura, i z żółtymi różami na piersiach i przy spódnicy, ramiona miała odsłonięte, a on, ten jej chłopiec, patrzył na nią bez przestanku, nie śmiał się odezwać, i wtedy poszli do krytej galerii, gdzie stały kanapy, leżały poduszki, i rzucili się na kanapę i zaczęli się całować i słuchali, jak wiatr przegania te liście i porusza gałęziami, i tak spędzili noc pół we śnie, pół na jawie, sami na świecie, a o krok niebezpieczeństwo i wojna, aż spomiędzy prętów żaluzji wyjrzał księżyc i pobielił wszystko. Miała uczucie, że to pierwsza i ostatnia noc w życiu, zanim się zrobiło widno, wyszli do tego ogrodu, w którym drzewa walczyły z wichurą, zwieszające się bluszcze wyglądały jak żywe, frunęły ku nim, ku ich twarzom, a ona wzięła sobie tę suknię, bo uważała, że skoro właściciele nie żyją, to nie jest żadne złodziejstwo, i schowała ją do pudła; potem jak czasem była smutna, to ją przymierzała, zamykała oczy i znów wydawało jej się, że słyszy wiatr z tamtego ogrodu, inny od wszystkich wiatrów, jakie kiedykolwiek słyszała. Powiedziała, że jej narzeczony jest wysoki, szczupły, że ma oczy czarne i błyszczące jak węgle, a usta stworzone do szeptania i kojenia, a dla niej od szeptu spływającego z jego warg zmienia się świat. „Jeżeli mi go zabiją... – powiedziała – jeżeli mi go zabiją...”

Powiedziałam, że to musi być cudownie spędzić taką miłosną noc jak ta, która jej się zdarzyła, ale że te wszystkie piękne rzeczy to nie dla mnie. Dla mnie jest sprzątanie, czyszczenie, pilnowanie dzieci, a bluszcz i cyprysy, i liście przefruwające z jednego końca ogrodu na drugi to nie dla mnie. Że dla mnie wszystko się skończyło i że oczekuję już teraz tylko smutków i zmartwień.

Dodawala mi ducha, mowila, zebym nie tchorzyla, bo swiat idzie ku lepszemu i wszyscy beda mogli byc szczesliwi, bo przeciez przyszli na ten swiat po to, zeby byc szczesliwi, a nie po to, zeby tylko cierpiec. I ze bez rewolucji, ona, biedna robotnica, nigdy nie mialaby takiej milosnej nocy jak ta, ktora przezyla. „Niech sie dzieje co chce, ta noc zostanie mi na zawsze razem z tym strachem, z tymi wszystkimi liściami i bluszczem, i księżycem przenikającym przez żaluzje, i z moim narzeczonym...”

Jak to opowiedziałam seniorze Enriquecie, aż się zatrzęsła i powiedziała, że te rewolucjonistki co do jednej są bezwstydną, że kto to widział spędzać noc samej, tylko z chłopakiem, w domu, w którym zamordowano gospodarzy, i jeszcze wkładać suknie tej pani, żeby go olśnić, a na dodatek jedną ukraść. Powiedziała, że takich rzeczy nie wolno robić nawet żartem. Powiedziała jeszcze, że dzieciaki zjadły masę marmolady, a podczas gdy mi to mówiła, one stały na krześle i patrzyły na langusty o ludzkich głowach, wychodzące z dymiącej pieczary. Zanim udało mi się ściągnąć je stamtąd...

A kiedy już szliśmy we troje ulicą, ja w środku, a one po bokach, nie wiem dlaczego nagle zalał mnie jakiś żal, taki gorący, że aż podszedł mi do gardła. Więc zamiast myśleć o ogrodzie, o bluszczu i o promieniach księżyca, postanowiłam myśleć o Radzie Miejskiej. I spokój.

ROZDZIAŁ XXX

Wszystkie światła były błękitne. Wyglądało to jak w bajce i było ładnie. Kiedy kończył się dzień, wszystko błękitniało. Pomalowano na niebiesko klosze wszystkich lamp, i wysokich, i niskich, a kiedy z okien mieszkań przenikało choć trochę światła, zaraz rozległy się gwizdki.

Kiedy zaczęto bombardować od strony morza, umarł mój ojciec. Nie z powodu bombardowania, ze strachu; stanęło mu serce i już. Trudno mi było uwierzyć w to, że umarł, już od dawna był dla mnie na pół umarły, jakby był dla mnie nikim, kimś, kogo nie mogłam kochać, jakby wtedy, kiedy umarła moja matka, on także umarł. Macocha przyszła powiedzieć mi, że umarł, i zapytać, czy nie mogłabym jakoś przyłożyć się do pogrzebu. Dałam, co mogłam, niewiele, a kiedy poszła, przez chwilę, ale dosłownie przez chwilkę, stojąc na środku jadalni, zobaczyłam siebie jako małą dziewczynkę z białą kokardą we włosach, obok ojca, który trzymał mnie za rękę; chodziliśmy po ulicach wzdłuż ogrodów i przechodziliśmy ulicę pełną will, w jednym ogrodzie był pies, a kiedy przechodziliśmy, rzucał się na ogrodzenie i szczekał. Przez sekundę pomyślałam, że znowu go kocham albo że mogłabym go pokochać, albo że mogłabym sobie wyobrazić, że go długo kochałam. Poszłam czuwać nad ciałem, ale mogłam zostać tylko dwie godziny, bo nazajutrz musiałam bardzo wcześnie wstać do sprzątania. Żonie ojca powiedziałam, że nigdy więcej tu nie przyjdę, zabrałam zdjęcie ojca, to, które mama całe życie nosiła w medalionie, i pokazałam dzieciom; ledwie go poznały.

Od dawna już nie miałam żadnych wiadomości ani od Quimeta, ani od Cinteta, ani od Mateu, aż tu pewnej niedzieli zjawia się Quimet z siedmioma milicjantami, wynędziały, ale z masą jedzenia. Brudny i oberwany jak i inni. Tamtych siedmiu poszło, mówiąc, że przyjdą po niego nazajutrz rano. Quimet powiedział mi, że na froncie nie dojadają, bo nie zawsze jest to dobrze zorganizowane, i że ma gruźlicę. Zapytałam, czy to wie od lekarza; odparł, że niepotrzebny mu lekarz do tego, żeby wiedzieć, że ma same dziury w płucach, i dodał, że nie będzie całował się z dziećmi, żeby ich nie zarazić. Zapytałam, czy się wyleczy, ale powiedział, że jak się w jego wieku łapie takie coś, to już na zawsze, kawerny tylko się pogłębiają, płuca robią się jak sito, a jak krew zgubi kierunek i zacznie wychodzić przez usta, bo nie wie, gdzie się podziać, to tylko

szukować pudła. I powiedział, że nie doceniał swojego szczęścia, póki był zdrowy... Opowiedziałam mu o gołębiach, że pouciekały, że został tylko jeden w ciapki, chudy jak śmierć, który stale wracał... Powiedział, że gdyby nie wojna, miałyby teraz domek z wieżą pełną gniazd aż po samą górę, ale, dodał, i tak wszystko jakoś się załatwi; jak szli, to mijali wiele ferm, a ludzie dawali im jajka i jarzyny, żeby sobie pobrali do domu.

Został z nami całe trzy dni, bo nazajutrz rano milicjanci zawiadomili go, że dostali rozkaz pozostania. Przez całe trzy dni nie przestawał powtarzać, że nigdzie tak jak w domu i że jak tylko wojna się skończy, wkręci się w dom jak kornik w drzewo i nikt go stamtąd nie wyciągnie. A podczas gdy mówił, paznokciem wydlubywał okruszyny ze szpary w stole, co mnie bardzo zdziwiło, bo to był mój zwyczaj, a u niego nigdy dotąd tego nie zauważyłam.

Przez tych parę dni, co był z nami, kładł się po jedzeniu, a dzieci szły do niego do łóżka, żeby razem pospać, bo bardzo go kochały, a widywały niewiele. Nie miałam najmniejszej ochoty zostawiać ich, żeby rano iść sprzątać biura.

Quimet był w złym humorze i mówił, że to te niebieskie światła, że jeżeli kiedykolwiek on będzie rządził, to każe wszystkie światła zrobić czerwone, żeby wyglądało, że cały kraj ma odrę, bo on także – powiedział – lubi kawały, a te niebieskie światła do niczego nie służą, bo jak będą chcieli bombardować, to zbombardują, nawet żeby te światła były czarne.

Widziałam, że ma strasznie zapadnięte oczy, tak jakby ktoś na siłę wepchał mu je w głowę. Jak wychodził, mocno mnie uściskał, a dzieciaki mało go nie zjadły, odprowadziły go po schodach na sam dół, ja zresztą także, a kiedy wracaliśmy, na półpiętrze między pierwszym a naszym zatrzymałam się i palcem obwiodłam szalki wag na ścianie, a Rita powiedziała, że ją boli buzia, tak się pokłula brodą taty.

Przyszła seniora Enriqueta, która nie zjawiała się nigdy, kiedy Quimet był w domu, nie chcąc przeszkadzać, i powiedziała, że to kwestia paru tygodni, że przegraliśmy. Powiedziała, że fakt, że tamci się połączyli, to właściwie już jest nasza przegrana, a ich wygrana, że teraz tylko jeszcze trochę muszą się posunąć. Powiedziała, że bardzo cierpi nad naszym losem, bo – mówi – żeby Quimet spokojnie siedział, nic by nam się nie stało, ale wobec tego, że się tak angażował, to nie wiadomo, co się może zdarzyć. Opowiedziałam kupcowi z dołu to, co mówiła seniora Enriqueta, a on powiedział, żeby nikomu nie ufać. Więc powiedziałam seniorze Enriquecie, że kupiec z dołu mówi, żeby nikomu nie ufać, a ona na to, że on nowennę odprawia, żebyśmy przegrali, bo w czasie wojny mało

zarabia, wszystko jest racjonowane i czasem tylko może sprzedać coś na lewo, więc on chce pokoju, bo boi się takiego handlu, i wszystko mu jedno, jak się skończy, byle już. A kupiec z dołu powiedział, że seniora Enriqueta to myśli tylko o powrocie królów.

Julieta też przyszła któregoś dnia, mówiła, że starzy są najgorsi, że wszystko mają w głowach pokręcone, że tylko młodzież chciałaby zdrowo żyć, ale – mówi – zdrowe życie jest dla niektórych solą w oku i jak zaczniesz zdrowo żyć, to rzucają się na ciebie niby szczury i gryzą, aż nie zagryzą i aż cię nie zamkną do ciupy. Powiedziałam jej, że mam coraz mniej jedzenia dla dzieci i już nie wiem, co robić, bo jak jeszcze Quimeta przeniosą na inny front (a mówił, że to możliwe), to jeszcze rzadziej będę go widywała i nie będzie mi mógł przywozić nawet tej garści zapasów, co było moim ratunkiem. Julieta powiedziała, że chłopca mogłaby umieścić na koloniach, dziewczynkę nie, bo dziewczynka, ale że dla niego towarzystwo innych chłopców mogłoby być dobre, że byłoby jakimś przygotowaniem do życia. Mały słuchał nas wczepiony w moją spódnicę i oznajmił, że nie ruszy się z domu, nawet żeby nie miał co jeść. Ponieważ jednak zdobycie jedzenia było takim problemem, powiedziałam mu, że nie ma rady, że to na krótko i że dopiero zobaczy, jak to przyjemnie bawić się z innymi dziećmi.

Miałam w domu dwie otwarte gęby i nie było co do nich włożyć.

Trudno opisać, jak smutne czasy przeżywaliśmy: kładliśmy się bardzo wcześnie, żeby nie myśleć o tym, że nie ma kolacji, w niedziele w ogóle nie wstawaliśmy, żeby nie czuć głodu. Dość, że w końcu przekonałam małego i pojechał na kolonię ciężarówką, którą przysłała Julieta. Ale wiedział, że go oszukujemy. Wiedział o tym lepiej ode mnie. A kiedy przedtem była mowa o tym, że go oddam na kolonię, opuszczał głowę i nie otwierał buzi, tak jakby dorośli nie istnieli.

Seniora Enriqueta obiecała mu, że go będzie odwiedzała. Ja powiedziałam, że będę jeździła co niedzielę. Ciężarówka opuściła Barcelonę, z nami i kartonowym pudłem przywiązany sznurem, i wjechała na białą drogę, wiodącą ku oszukaństwu.

ROZDZIAŁ XXXI

Po kamiennych wąziutkich schodach o wysokich stopniach wyszliśmy na taras pełen dzieci. Miały ogolone, pełne guzów igłowy i jedno jedyne, co było widać – to oczy. Latały i wrzeszczały, a na nasz widok umilkły i tak na nas patrzyły, jakby nigdy przedtem nie widziały ludzi. Podeszła do nas młoda nauczycielka i poprosiła, abyśmy weszli do pokoju; musieliśmy przejść przez cały taras, pomiędzy dziećmi.

Nauczycielka poprosiła nas o wyjaśnienia, a Julieta pokazała jej papier i powiedziała, że nie mam czym karmić dzieci, więc chciałam tu umieścić chłopca, bo w ten sposób przynajmniej miałyby co jeść. Nauczycielka spojrzała na Antoniego i spytała go, czy chce zostać, ale nie odpowiedział ani słowa; wtedy spojrzała na mnie, ja na nią, i powiedziałam, że nie po to odbyliśmy całą tę podróż, żeby go zabierać z powrotem, że skoro przywieźliśmy go, to po to, żeby go zostawić. Wtedy ona, spojrzawszy na mnie bardzo miło, powiedziała, że wszystkie te dzieci dopiero co przyjechały, ale że ona się obawia, że mojemu synkowi nie będzie się tutaj podobało, że on nie pasuje do tego domu. I znów na niego spojrzała, a ja zrozumiałam, że ona widzi, że on jest jak kwiat. Tyle się przez niego nacierpiałam w pierwszych miesiącach! Nie do wiary, że wyrósł na tak rozkoszne dziecko, z tą spadającą na czoło falą włosów błyszczących jak czarna woda i z długimi rzęsami artysty. A ta skóra jak jedwab! Oboje mieli taką skórę, i Antoni, i Rita. Pewnie, że teraz nie byli tacy jak przed wojną, ale jeszcze byli bardzo piękni. Powiedziałam, że go zostawiam, i odeszłam z Julieta w kierunku drzwi, a wtedy on runął za mną jak oszalała bestia, płacząc i krzycząc, żebym go nie zostawiała, że on chce do domu, że kolonie mu się nie podobają, żebym go nie zostawiała. Pękało mi serce, ale odsunęłam go od siebie, powiedziałam, żeby nie przesadzał, że ma tu zostać i koniec. Że będzie mu tu bardzo dobrze, znajdzie sobie przyjaciół i będzie się bawił z innymi dziećmi, a on na to, że już je widział, że wszystkie są paskudne, że będą go biły i że nie chce zostać. Julieta już, już zaczynała mięknać, ale ja nie ustępowałam. Nauczycielce pot wystąpił na czoło, a Rita, konwulsyjnie uczipiona ręki Juliety, powtarzała, że kocha Antoniego.

Wtedy przykucnęłam przed nim i zaczęłam mu tłumaczyć, że to niemożliwe, że nie mamy co jeść i że jeżeli zostałby w domu, umarlibyśmy z głodu wszyscy troje. Że zostanie tu tylko, dopóki sytuacja się nie poprawi, a że na pewno

poprawi się już bardzo szybko... A on stał ze spuszczoneymi oczami, z zaciśniętymi ustami, zwiesiwszy obie rączki wzdłuż ciała. A kiedy już mi się wydało, że przekonałam go, i zaczęłyśmy się zbierać do wyjścia, wszystko od początku. Rzucił się ku mnie i złapawszy mnie za spódnicę, zaczął swoje „nie zostawiaj mnie” i „nie zostawiaj mnie”, „ja tu umrę, wszyscy mnie tu będą bili”, ja na to, że nie umrze i że go nie będą bili, i wreszcie wyrwałyśmy się i uciekły, Julieta pierwsza, ja za nią, ciągnąc Ritę, przemknęłyśmy przez tę chmurę ogolonych dzieciaków, ale zanim zesłam, odwróciłam się i zobaczyłam go po tamtej stronie tarasu, jak stał, nauczycielka trzymała go za rękę, a on miał twarz starego człowieka.

Julieta powiedziała, że nie byłaby w stanie tego zrobić, a kierowca, który był jej przyjacielem, zapytał, jak nam poszło, więc mu opowiedziałam i potem wracaliśmy do Barcelony już bez słowa, tak jakbyśmy wspólnie zrobili jakieś wielkie świętowanie. W połowie drogi zaczęło padać, wycieraczki zaczęły chodzić tam i z powrotem, a strumień łez spływał w dół po szybach.

Seniora Enriqueta jeździła do Antoniego co niedziela, a po powrocie zawsze mówiła, że dobrze... Ja nie miałam czasu do niego pojechać, Rita wprawdzie dostawała trochę więcej do jedzenia, ale było widać, że bardzo tęskni za Antonim, w ogóle przestała mówić. Kiedy wracałam do domu, zastawałam ją w tym kącie, w którym ją zostawiłam, wieczorem – obok balkonu, jeżeli był alarm i wyły syreny – koło drzwi frontowych. Wargi jej drżały, ale milczała. Jakby mnie kto policzkował. Aż pewnego dnia zadzwonił do domu milicjant i powiedział mi, że Quimet i Cintet zginęli, tak jak przystało mężczyznom, i oddał mi to, co zostało po Quimecie: zegarek.

Weszłam na taras, żeby złapać oddech. Podeszłam do balustrady od tej strony, która wychodziła na ulicę, i chwilę stałam. Był wiatr, zapleśniałe od nieużywania druty do wieszania bielizny kiwały się, a drzwi od komórki trzaskały. Poszłam je zamknąć. A w głębi znalazłam leżącego na wznak gołębia, tego w ciapki. Piórka na szyi miał zroszone śmiertelnym potem, oczy zamglone. Kości i piórka. Dotknęłam mu łapek, przesunęłam po nich palcami, były skurczone, pazurki zakrzywione. Już był zimny. Zostawiłam go tam, w jego domu. Zamknęłam drzwi. Zesłam na dół.

ROZDZIAŁ XXXII

Kiedy czasem słyszałam, że ktoś jest „z korka”, nie wiedziałam, co to znaczy. Dla mnie korek to było coś do zatykania. Jeżeli nie wchodził do butelki po jej otwarciu, ostrzyłam go nożykiem tak jak ołówek, a korek skrzypiał. Niełatwo go było ostrzyć, bo był ni miękki, ni twardy. Wreszcie zrozumiałam, co znaczyło, kiedy o kimś mówi się, że jest z korka... bo sama byłam, teraz z korka. Nie żebym była stworzona z korka, tylko stałam się taka, a serce zrobiło mi się jak z lodu. Musiałam stać się jak z korka, żeby móc dalej żyć, bo gdybym zamiast z korka i lodu była, tak jak dotąd, z ciała, które boli, kiedy je uszczypnąć, nie byłabym w stanie przejść przez taki długi i wysoki most.

Schowałam zegarek do pudełka i pomyślałam, że będzie dla Antoniego, kiedy podrośnie. Nie chciałam myśleć o tym, że Quimet nie żyje. Chciałam myśleć, że nic się nie zmieniło: że jest na wojnie, a jak wojna się skończy, wróci, ze swą bolącą nogą, z płucami zamienionymi w jedną wielką dziurę, że Cintet z wybałuszonymi oczami przyjdzie nas odwiedzić, z tymi swoimi oczami niemal w słup od spokoju, który się w nich odbijał, i krzywą gębą.

Kiedy czasem budziłam się w nocy, czułam się jak dom, w którym ma się odbyć przeprowadzka, a ludzie wynoszą grat po gracie. Tak było mi w środku: szafy, krzesła, wszystko do góry nogami, filiżanki naszykowane do włożenia do skrzyni pełnej trocin i bibulek na podłodze, materac i łóżko rozłożone na części, oparte o ścianę, wszystko na opak.

Sprokurowałam sobie żalobę, na jaką mnie było stać, bo po Quimecie chciałam nosić żalobę, tak jak nie chciałam nosić jej po ojcu, tłumacząc sobie, że wszystko zbyt jest wywrócone do góry nogami, żeby myśleć o takich rzeczach jak żaloba. I łąziłam po ulicach brudnych i smutnych za dnia, a błękitnych nocą, cała w czerni z białą plamą twarzy, która zmniejszała się w oczach.

Przyszła mnie odwiedzić Griselda, „z wizytą kondolencyjną” – powiedziała. Miała na sobie pantofelki z węża, takąż torebkę i białą sukienkę w czerwone kwiaty. Mówiła, że ma wiadomości od Mateu, że u niego wszystko w porządku, że jakkolwiek rozstali się, pozostali przyjaciółmi ze względu na córeczkę. Że trudno sobie wyobrazić, że Quimet i Cintet, tacy młodzi, nie żyją. Była ładniejsza niż kiedykolwiek: delikatniejsza, bielsza, o oczach bardziej jeszcze wodnistych i zielonych, jeszcze spokojniejsza, jeszcze bardziej podobna do tych kwiatów,

które zamykają się na noc.

Powiedziałam jej, że mam synka na koloniach dla dzieci uchodźców, spojrzała na mnie tymi miętowymi oczami i powiedziała, że mi współczuje i że nie po to mi to mówi, żeby mnie straszyc, ale że te kolonie to coś bardzo smutnego.

Miała rację. Te kolonie to było coś bardzo smutnego. Kiedy nadszedł termin powrotu małego, pojechała po niego Julieta. I przywiozła mi go: odmieńca. Inne dziecko. Zamienili mi go. Przyjechał cały spuchnięty, z wystającym brzuchem, z okrągłymi policzkami i dwiema cienkimi kosteczkami zamiast nóg, głowę miał ogoloną, pełną strupów i wystający gruczoł na szyi. Nawet na mnie nie spojrzał. Od razu poszedł do kąta, gdzie leżały jego zabawki, i zaczął wodzić po nich palcem, jak ja po nóżkach zmarłego gołąbka, a Rita zapewniła go, że nic mu nie zepsuła. Podczas gdy oni zajmowali się zabawkami, my z Julieta spoglądałyśmy po sobie, słysząc, jak Rita opowiada Antoniemu, że ojciec zginął na wojnie, że wszyscy giną na wojnie, że wojna to jest taka rzecz, co wszystkich zabija. Pytała go, czy na koloniach też słycać było syreny...

Przed wyjściem Julieta obiecała, że dostarczy mi mleka i trochę konserw mięsnych. Tego dnia dla nas trojga mieliśmy na kolację jedną sardynkę i jeden pomidor. Gdybyśmy mieli kota, nie byłby znalazł ości.

Spaliśmy razem, ja w środku, dzieci po bokach. Gdyby przyszło nam umrzeć, tak właśnie umarlibyśmy. Jeżeli w nocy był alarm i budziły nas syreny, nie mówiliśmy nic. Siadaliśmy spokojnie, słuchając, a kiedy syreny ogłaszały koniec alarmu, zasypialiśmy, jeżeli się udało, ale nigdy nie wiedzieliśmy, kto z nas śpi, a kto nie, bo i tak nie rozmawialiśmy.

Ostatnia zima była najsmutniejsza. Brali szesnastoletnich chłopców. Ściany pooklejane były plakatami i ja, która nie zrozumiałam tego plakatu z tankami, cośmy się tak obie uśmieły z seniorą Enriquetą, teraz, widząc ślady plakatów na ścianach, już się nie śmiałam. Na ulicach widziało się całkiem starych mężczyzn ćwiczących się w wojaczce. Starzy, młodzi, wszyscy na wojnę, a ta wojna wysysała ich, niosła im śmierć. Wszędzie tylko łzy i smutek.

Czasami myślałam o Mateu. Wydawało mi się, że go widzę w przedpokoju, i to tak wyraźnie, że zaczynałam się bać; stał tam z tymi swoimi niebieskimi oczami, na śmierć zakochany w Griseldzie, która kochała innego. I ten jego głos, kiedy mi mówił, że wszyscy muszą iść. I wszyscy szli, i wszyscy zostawali, niby szczury, złapani w pułapkę. Nie było rady. Nie ma rady. Zanim sprzedałam dwa pieniądze ojca Joana, sprzedałam wszystko inne: haftowane podpinkie, wszystkie dobre obrusy, nakrycia... kupowały ode mnie koleżanki z Rady Miejskiej, a później

odprzedawały to z zyskiem. A mnie najwyżej starczało na kupienie czegoś do jedzenia... i dlatego że nie miałam pieniędzy, i dlatego że nie było jedzenia. Mleko nie było mlekiem, z mięsa była tylko konina.

Zaczęła się ewakuacja. Kupiec z dołu mówił:

– Popatrzcie no tylko, ile gazet, ile ptaków... Ostatniego dnia był wiatr i było zimno, wiatr unosił pozrywane papiery, które walały się po ulicach, znacząc je bielą. A w środku też czuło się zimno, takie okropne wewnętrzne zimno, które wydawało się, że będzie trwało zawsze. Nie wiem, jak przeżyliśmy tamte dni. Zanim wyszli jedni, a weszli drudzy, zamknęłam się w mieszkaniu. Seniora Enriqueta zdobyła mi parę puszek z jakiegoś sklepu, na który sąsiedzi urządzili napad rabunkowy. Już nie wiem, kto powiedział mi, że gdzieś tam dają jeść – i poszłam. Już sama nie wiem kto. Jak wróciłam, sklepikarz stał na progu swojego sklepu, ale nie uklonił mi się. Po południu poszłam do seniory Enriquety; powiedziała mi, że zrobili krok naprzód i że teraz już jest pewne, że wróci król. I dała mi połówkę sałaty. Żyliśmy Jeszcze żyliśmy, ale ja nie wiedziałam, co się dzieje, aż do pewnego dnia, kiedy przyszła seniora Enriqueta i powiedziała mi, że wie z pewnego źródła, że Mateu został rozstrzelany na jakimś placu, a jak ją zapytałam, na jakim placu, bo nie wiedziałam, co powiedzieć, to powiedziała, że na środku placu, ale że nie wie jakiego, tak, tak, możesz mi wierzyć, wszystkich rozwalają zawsze na środku placu. Z tej rozpaczki zupełnie odjęło mi mowę i dopiero po pięciu minutach powiedziałam, ale tak jakby coś mi umarło w sercu: „Nie... To – nie...”. Bo to było niemożliwe, żeby Mateu rozwalili tak, na środku placu. Niemożliwe! Niemożliwe! Seniora Enriqueta powiedziała, że gdyby choć przez chwilę pomyślała, że tak się tym przejmę jak jakaś wariatka i zostanę bez kropli krwi w twarzy, nigdy by mi tego nie powiedziała.

Byłam bez pracy, nie miałam żadnego zajęcia; sprzedawałam już wszystko do końca; moje panieńskie łóżko, materac z łóżka z kolumienkami, zegarek Quimeta, który miałam dać Antoniemu, jak dorośnie. Całą bieliznę. Kieliszki, filiżaneczki do czekolady, kredens...

Kiedy nie zostało już nic prócz tych monet, które były dla mnie jak święte, schowałam wstyd do kieszeni i poszłam do domu moich dawnych państwa.

ROZDZIAŁ XXXIII

Już drugi raz tramwaj musiał zahamować na miejscu, kiedy przechodziłam przez Calle Mayor. Konduktor nakrzyczał na mnie i widziałam, że ludzie się śmieją. Zatrzymałam się przed sklepem z ceratami, udając, że oglądam, ale jeżeli mam być szczerą, nie widziałam nic prócz kolorowych plam i jakichś cieni. Zza drzwi dochodził ten sam dawny zapach ceraty, który wlaził w mózg i mącił w głowie. Sklep kupca od grochu był otwarty. Przed narożnym pensjonatem służąca zamiatała ulicę, w barze zmieniono markizę i z powrotem postawiono donice z kwiatami. Podeszłam do furtki i zaczęłam manewrować zamkiem. Zawsze ciężko się otwierała, ale teraz chyba jeszcze ciężiej. W końcu udało mi się ją trochę uchylić i przez szparę wsunęłam rękę, żeby odzepić łańcuch. Ale nagle pomyślałam, cofnęłam rękę, zamknęłam bramkę, która opierała się o ziemię, i zadzwoniłam. Z galerii wychylił się natychmiast pan w fartuchu, spojrzął i zszedł otworzyć.

– Słucham.

Jego „słucham” zadźwięczało jak uderzenie szpicrutą. Usłyszałam kroki po piasku, to pani szła zobaczyć, kto przyszedł. Kiedy się zbliżyła, pan zostawił nas same i poszedł do domu, a my przeszłyśmy ogrodem i zatrzymałyśmy się na kamiennym patio... Dzieciak siedział w pralce, która była pusta, i zeskrobywał zielone resztki mydła. Nie poznał mnie. Powiedziałam pani, że szukam pracy i że pomyślałam, że a nuż oni... Pan, który widocznie dosłyszał mnie, wyszedł i powiedział, że nie mają dla nikogo pracy, że kto szuka pracy, niech wejdzie tu, na górę, że stracili moc pieniędzy, że teraz muszą odrobić jakoś to, co stracili, i że rewolucjoniści mogą się wypchać. Że oni nie mają zamiaru iść na żadne ugody, że nie chcą u siebie w domu żadnej nędzy, że wolą, żeby w domu było brudno, niż mieć do czynienia z nędzą. Pani zwróciła mu uwagę, żeby się uspokoił, i – patrząc na mnie – powiedziała, że ta wojna rzuciła mu się na nerwy i o byle głupstwo szaleje. Ale że to prawda, że nie mają pieniędzy, wystarczy spojrzeć na małego, jak to, biedaczek, musi myć pralkę, nie mogą sobie pozwolić na żadną służbę. A kiedy im powiedziałam, że Quimet zginął na wojnie, pan powiedział, że bardzo mu przykro, ale że nie on go na tę wojnę posyłał. I powiedział, że ja jestem czerwona. „Rozumie pani? – powiedział. – Taka osoba jak pani po prostu kompromituje nas, my nie jesteśmy winni”, a pani

odprowadziła mnie, a kiedy stałyśmy koło wodotrysku, powiedziała, że teraz to wyłazi z niego, przedtem, jak to wszystko się działo, jakoś to znosił, ale jak się skończyło, nie może przestać tego przeżywać, tak jakby go to swędziało i swędziało – powiedziała, i powiedziała jeszcze, że ich także bardzo podkopało to wszystko. Wyszłam na ulicę i z zewnątrz, popychając kolaniem, pomogłam jej zamknąć furtkę; mówiła, że drewno się wypaczyło od deszczu i dlatego tak się opiera.

Zatrzymałam się przed sklepem z grochem, żeby złapać oddech. Sklep był na pół pusty, na ulicy nie było żadnych worków. Poszłam dalej i zatrzymałam się przed „Domem Cerat”, żeby popatrzeć na lalki i małego misia z białego pluszu, z uszami w środku wyłożonymi czarnym aksamitem i z aksamitną kokardą. W pasie miał niebieską wstążkę. Czarne dziureczki od nosa. I patrzył na mnie, siedząc u stóp jakiejś pięknej lalki, która miała pomarańczowe oczy z tęczęwką błyszczącą, głęboką jak studnia. Z rozłożonymi rękami i białymi stopami wyglądała jak posąg zdumienia. Tak się zachwyciłam, że straciłam poczucie czasu i ocknęłam się dopiero, gdy poczułam zmęczenie, kiedy miałam przejść na drugą stronę Calle Mayor i już jedną nogę miałam na jezdni, a drugą jeszcze na trotuarze; nagle, w biały dzień zobaczyłam zapalone latarnie i zwałam się na ziemię jak worek piachu.

A kiedy już wchodziłam do siebie na górę i zatrzymałam się koło wag dla złapania tchu, nie pamiętałam nic z tego, co zaszło, jakbym nigdy nie przeżyła czasu pomiędzy postawieniem nogi na jezdni a dojściem do wag.

Seniora Enriqueta znalazła mi zajęcie w jakiejś portierni: co sobotę miałam myć klatkę schodową, a dwa razy na tydzień sprzątać salę, w której puszczano aktualności. Wszystko to było ziarenkiem piasku w porównaniu do naszych potrzeb. Pewnej nocy, mając Ritę z jednej strony, a Antoniego z drugiej, gdy tak leżałam, dziurawiąc ich skórę moimi sterczącymi żebrami, pokryta siecią niebieskich żył, pomyślałam, że muszę ich zabić. Tylko jak? Przecież nie nożem... Może zakryć im oczy i wyrzucić z balkonu na ulicę? To także niemożliwe, bo mogą sobie połamać tylko nogi. Mają więcej sił niż ja, jak kot mogą spaść na cztery łapy.

Usnęłam z dzikim bólem głowy i nogami jak kawałki lodu. Ukazywały mi się jakieś ręce, sufit zmiękł, jakby nie był sufitem, a chmurą, te ręce też były miękkie, bez kości i podczas gdy zniżały się, całe wydawały się przezroczyście jak moje ręce, gdy jako dziecko patrzyłam na nie pod słońce. I te ręce spływały z sufitu, potem rozdzielały się, a dzieci, które jeszcze były dziećmi, kiedy ręce zaczynały się

spuszczają, przestawały być dziećmi, stawały się jajkami. I ręce chwytają dzieci, skorupki napełnione białkiem, podnosiły je, zaczynały nimi potrząsać najpierw powoli, potem z wściekłością, jakby cała wściekłość gołębi i wściekłość na tę wojnę, i wściekłość, żeśmy przegrali, wstąpiła w ręce, które potrząsały moimi dziećmi. Chciałam krzyczeć, ale nie mogłam wydać głosu, chciałam krzyczeć, wołać sąsiadów, wołać policję, żeby ktoś przyszedł i zabrał te ręce, a kiedy już już wydawało mi się, że będę w stanie krzyknąć, przychodziło mi do głowy, że nie, że nie powinnam, bo zaaresztują mnie za to, że Quimet zginął na wojnie.

Trzeba było z tym skończyć. Znaleźć lejek. Już od dwóch dni nie mieliśmy nic w ustach. Dawno sprzedalam dwie monетки ojca Joana, sprzedalam je z uczuciem, że żywcem wyrywają mi wszystkie zęby. Wszystko się skończyło. Gdzie jest lejek? Gdzie go podziałam? Byłam pewna, że nie sprzedalam go razem z innymi rzeczami. Ale gdzie jest? Gdzie się zawieruszył? Po długim szukaniu i przewracaniu, gdzie się dało, znalazłam go na szafie kuchennej. Wdrapałam się na krzesło i tam go znalazłam, odwrócony i pełen kurzu. Wzięłam go, wymyłam i schowałam do szafy. Pozostawało kupić kwas. Gdy zasną, najpierw jednemu, a potem drugiemu wsadzę lejek w usta i wleję kwasu azotowego, potem wleję go sobie i koniec, koniec z nami ku radości wszystkich, bo choć nie zrobiliśmy nikomu nic złego, nikt nas nie kochał.

ROZDZIAŁ XXXIV

Nie miałam ani grosza na kwas. Kupiec z dołu udawał, że mnie nie widzi, chyba zresztą nie dlatego, że był zły, po prostu bał się kompromitować przy takiej ilości wałęsających się milicjantów.

Jakby zstąpiło na mnie olśnienie, nagle przypomniałam sobie o kupcu od grochu. Pójdę z butelką, poproszę o kwas azotowy, a jak wezmę portmonetkę, żeby płacić, powiem: ojej, widocznie zapomniałam w domu pieniędzy, zapłacę panu jutro. Wyszłam z domu bez portmonetki i bez butelki. Zabrakło mi odwagi. Wyszłam po nic. Po prostu, żeby wyjść. Tramwaje bez szyb przejeżdżały ulicami, w oknach miały siatki na muchy; ludzie byli nędznie ubrani. Wszystko wyglądało jak po ciężkiej chorobie.

Chodziłam po ulicach przypatrując się ludziom, którzy na mnie nie patrzyli, i myślałam, że nie wiedzą, że zabiję moje dzieci, że spalę im wewnątrz kwasem azotowym. Bezmyślnie zaczęłam iść za jakąś grubą kobietą w welonie, która niosła dwie świece do połowy opakowane gazetą. Było pochmurno, ale spokojnie. Kiedy wychodziło słońce, czarny welon tej pani błyszczał niby musze skrzydło, podobnie jak sutanna ojca Joana. Jakiś z przeciwnej strony idący pan ukłonił się tej pani i zatrzymali się, a ja, niby patrząc na wystawę, widziałam twarz tej pani z policzkami opadającymi jak u psa; pani zaczęła płakać, podniosła ręce, wskazała na świece, potem podali sobie ręce i każde poszło w swoją stronę, a ja znów zaczęłam iść za panią, bo czułam się, jakbym była w towarzystwie, bawiło mnie patrzenie na nią i na jej welon, który w czasie marszu z obu stron się wzdymał. Słońce jakoś długo nie wychodziło, ściemniło się i zaczęło mżyć. Zanim zaczęło padać, jeden z chodników był wilgotny, a drugi suchy, teraz deszcz upodobił je do siebie. Pani ze świecą niosła parasol, teraz otworzyła go, po chwili cały błyszczał, a z końca drutów zaczęły spadać krople. Jedna kropla spadała jej bez przerwy na plecy, wyglądało, jakby to była ciągle ta sama kropla, potem powoli ześlizgiwała się coraz niżej.

Zmokła mi głowa, a pani szła i szła, zdecydowana a uparta jak skarabeusz (a ja za nią), aż doszła do jakiegoś kościoła, zamknęła parasol (to był męski parasol) i przewiesiła go przez rękę. W tym momencie podszedł do mnie jakiś chłopak bez nogi, zatrzymał się i zapytał, co u mnie słyhać; wiedziałam, że go znam, ale nie miałam pojęcia, kto to jest; zapytał, jak ma się mój mąż, i powiedział, że on teraz

ma swój własny sklep, że był na wojnie, po tej drugiej stronie, co mu teraz bardzo ułatwia życie. A ja ciągle nie wiedziałam, kto to, mimo że czułam, że go znam. Na pożegnanie podał mi rękę, mówiąc, że bardzo go zmartwiła wiadomość o śmierci mojego męża. A kiedy już był o jakieś pięćdziesiąt kroków, jakby ktoś nagle tchnął we mnie prawdę, zdałam sobie sprawę, że to był czeladnik Quimeta, ten, co pracował u niego dosłownie za grosze.

Pani ze świecami i z męskim parasolem stanęła w progu kościoła i szukała portmonetki, chcąc dać jałmużnę okrytej gałganami żebracze z prawie nagim dzieckiem, które czepiało się jej szyi; mocowała się z portmonetką, świece i parasol przeszkadzały jej, jeden z drutów zaczepił o kieszeń, a welon spadł na oczy. Wreszcie dała jałmużnę i weszła do kościoła przez takie malutkie drzwiczki, a ja, bez jednej myśli w głowie, weszłam za nią. W kościele było moc ludzi, ksiądz przesuwiał się u ołtarza z prawa na lewo i z lewa na prawo, za nim stało dwóch ministrantów w wykrochmalonych komeżkach, obrzeżonych też krochmaloną, bardzo szeroką koronką. Ksiądz miał na sobie biały ornat jedwabny, haftowany, cały obszyty złotym galonikiem, a na środku krzyż z jasnych kamieni. Spomiędzy ramion krzyża wychodziły czerwone promienie światła, które miały imitować światło, a wyglądały jak krew. Podeszłam do głównego ołtarza. Nie byłam w kościele od dnia mego ślubu. Z wysokich, wąskich, częściowo bez szyb okien, przez które przeblyskiwało zachmurzone niebo, padały kolorowe plamy, a ołtarz, ubrany liliami świętego Antoniego o złotych gałązkach i złotych listkach, cały był jakimś jednym złotym okrzykiem unoszonym wyżej i wyżej przez wysokie kolumny i przez strzeliste kopułki, które chwytaly ten okrzyk i wysyłały ku niebu.

Pani z męskim parasolem zapaliła świece, a kiedy chciała je ustawić, widziałam, jak drżą jej ręce. Wreszcie ustawiła je, przeżegnała się, ale nie uklękła; ja także nie. Ludzie poklękali, a mimo że to widziałam, jakoś nie przyszło mi do głowy klęknąć, jej widać także nie przyszło, a może przyszło – po prostu nie mogła; zaczęto kadzić kadzidłem, i w tym dymie na ołtarzu obok lilii zobaczyłam coś jakby kulki, całą górę kulek, które zasłaniały jedną stronę ołtarza, było ich coraz więcej, jedne kładły się na drugie, niby bańki mydlane ściśnięte, stłoczone, jedne na drugich, i góra tych kulek wciąż rosła, a ksiądz chyba je zauważył, bo w pewnej chwili rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć: „Matko Najświętsza”, a ja patrzyłam na ludzi, nawet się odwróciłam, żeby zobaczyć tych z tyłu, ale wszyscy mieli pospuszczane głowy, więc nie mogli widzieć tych kulek, tak napierających, tak się tłoczących, jakby miały rozsypać się po ołtarzu, a za chwilę spaść do stóp modlących się ministrantów. I te kulki, które najpierw były jasne jak winogrona,

teraz zaczynały czerwienieć i wydawać jakiś blask. Zamknęłam na chwilę oczy, żeby mi odpoczęły i żeby przekonać się, czy to nie jest złudzenie, ale kiedy je otworzyłam, kulki były jeszcze bardziej świetliste i cała jedna strona tej góry już była szkarłatna. Były podobne do ikry, do tych jajeczek, które ryby mają w środku w takim pęcherzyku, podobnym do łożyska, w jakim rodzą się dzieci, i te kulki też się rodziły, tyle że w kościele, jakby kościół był rybim brzuchem. Widziałam, że jeżeli to będzie dłużej trwało, cały kościół wypełni się nimi, że zasłonią ludzi, ławki, krzesła, ołtarze. Rozległy się głosy płynące jakby z daleka, jakby z jakiejś przepaści pełnej cierpień, jakby na pół zduszone, wrywały się z popodrzynanych gardeł, z warg niezdolnych już do wydania głosu, i cały kościół zastygł nagle niby nieżywy: nieruchomy ksiądz przy ołtarzu w jedwabnym ornacie z krwawym krzyżem z kamieni, ludzie cali w kolorowych plamach od witraży pozostałych w wysokich, wąskich oknach.

Wszystko zamarło, tylko te kulki rozprzestrzeniały się i panoszyły już wyraźnie z krwi, o zapachu krwi, który płoszył zapach kadzidła, o tym zapachu krwi, który jest zapachem śmierci, ale nikt nie widział tego, co ja widziałam, bo wszyscy mieli pochylone głowy. Ponad te z daleka przychodzące, niejasne głosy wzbil się anielski śpiew, ale był to śpiew aniołów pełnych wściekłości, wrogich ludziom i mówiących im, że oto mają przed sobą dusze wszystkich żołnierzy zabitych na wojnie, żeby spojrzeli na zło, które Pan Bóg rozlewa z ołtarza; bo Bóg pokazuje im całe zło, które się stało, po to, aby wszyscy się modlili o koniec tego zła. I zobaczyłam panią od świec, która ciągle stała (na pewno jednak nie mogła uklęknąć), oczy wychodziły jej na wierzch, i w pewnej chwili spojrzaliśmy na siebie i pozostałyśmy tak, wstrząśnięte, bo ona także najwyraźniej widziała martwych żołnierzy, ona także ich widziała, mówiły mi to jej oczy, oczy osoby, która straciła kogoś, kto padł od kuli na polu walki.

I przerażona spojrzeniem tej pani wyszłam, potykając się o klęczących, na dworze padał taki sam drobny deszczyk jak wtedy, gdy wchodziłam, nic się nie zmieniło.

I w górę, w górę, Colometo, fruważ, Colometo, fruważ... Z twarzą niby biała plama ponad czernią żałoby, w górę, Colometo, zostaw za sobą cierpienia całej ludzkości, uwolnij się od nich, Colometo. Biegnij, szybko, jeszcze szybciej, nie daj się zatrzymać krwawym kuleczkom, nie daj się złapać, fruń wyżej, ponad schodami, aż do twojego tarasu, do twego gołębnika... Fruważ, Colometo, fruważ, fruważ z okrągłymi oczkami, z dziobkiem i dziurkami noska wzniesionymi w górę... I biegłam do domu, a cały świat był jak martwy, umarli byli ci, co

umarli, i umarli byli ci, co żywi, bo także byli jak martwi, jakby ich zabito.

Wbiegłam po schodach, uderzenia pulsu rozsadzały mi skroń, nie mogłam znaleźć dziurki od klucza, wreszcie otworzyłam drzwi, a potem zamknęłam i oparłam się o nie plecami, stanęłam bez ruchu, oddychając, jakbym się dusiła, i wtedy zobaczyłam Mateu, który wyciągnął do mnie rękę i mówił, że nie ma innej rady...

ROZDZIAŁ XXXV

Wyszłam z domu, trzymając w ręku portmonetkę, małą portmonetkę na drobne, i koszyk, do którego włożyłam butelkę. Schodziłam ze schodów z uczuciem, że prowadzą gdzieś nieskończenie daleko, do piekła.

Od lat nie malowano ich i od dotknięcia ściany ciemne rzeczy natychmiast stawały się białe i dokąd tylko można było dostać ręką, wszystko było upstrzone bohomazami i napisami; niezatarte były jedynie wagi, bo ten, kto je rysował, wyźłobił je głęboko. Poręcz była wilgotna i lepiała.

Padło przez całą noc.

Tak jak małe schodki naprzeciw szafy w domu tych państwa, u których służyłam, i te schody były do pierwszego piętra z sosny, a od pierwszego aż do naszego mieszkania z czerwonych kafelków. Usiadłam na stopniach. Było wcześniej i zupełnie cicho. Patrzyłam na butelkę, która błyszczała w słabym świetle poranka, i myślałam o tym, że te wczorajsze przywidzenia chyba spowodowane były osłabieniem i że miałabym ochotę stoczyć się z tych schodów jak piłka, coraz niżej i niżej... aż do samego końca. Wstałam z trudem. Miałam zupełnie zardzewiałe zawiasy, a moja matka mawiała, że jak już komuś rdzewieją zawiasy, to cześć. Ale wstałam, choć z wysiłkiem, i zeszłam na dół, w strachu, że się pośliznę, mocno trzymając się poręczy. Na schodach pachniało piórami, których pełno było w jednym z kubłów od śmieci, stojących na dole. Jakiś człowiek grzebał w tych kubłach.

Kiedy poprzedniego dnia szłam do domu, przez chwilę pomyślałam, że może spróbuję zebrać; tak jak ta kobieta na progu kościoła zebrała wczoraj u tej pani z męskim parasolem. Iść z dziećmi i zebrać... dziś na jednej ulicy, jutro na drugiej, dziś pod jednym kościołem, jutro pod drugim... „Na litość Boga”... „Na litość Boga”... „Na litość Boga”...

Człowiek, który grzebał w kubłach, widocznie coś znalazł, bo otworzył worek i coś do niego wkładał. W jednym z kubłów były wilgotne trociny. Może pod nimi kryło się coś dobrego? Kawałek chleba? Tylko co to jest jeden kawałek chleba na taki głód... Do tego, żeby żywić się trawą, też trzeba mieć siły: iść, narwać tej trawy, a cóż to jest w rezultacie trawa...

Umiałam czytać i pisać, i matka przyzwyczała mnie do noszenia jasnych

sukien. Umiałam czytać i pisać, i sprzedawałam słodycze, ciastka i czekoladki z likierem w środku. I na ulicy nie różniłam się niczym od innych ludzi. Umiałam czytać i pisać, i pracowałam, i byłam pożyteczna...

Z balkonu spadła mi na nos kropla wody. Przeszłam na drugą stronę Calle Mayor. W niektórych sklepach już pojawiały się towary. A na ulicy byli ludzie, którzy wchodzili do tych sklepów i mieli za co kupować... Myślałam o tym wszystkim, żeby nie myśleć o zielonej błyszczącej butelce, którą niosłam w koszyku. Patrzyłam na wszystko, tak jakbym to widziała pierwszy raz w życiu; może jutro nie będę już mogła na to patrzeć? Może nazajutrz już nic ładnego ani nic brzydkiego nie będę miała przed oczami? Jeszcze coś mam przed nimi, jeszcze coś widzę, tak jakby wszystko chciało przed śmiercią wbić mi się w pamięć, na zawsze. A moje oczy chwytają wszystko.

W sklepie z ceratami nie było misia, a kiedy zobaczyłam, że go nie ma, zdałam sobie sprawę, że bardzo chciałam go zobaczyć siedzącego jak głupi, z tą niebieską kokardą. W nosie czułam ciągle zapach piór z tego kubła, który teraz mieszał się z zapachem cerat; z sąsiedniej perfumerii dołączyła się jeszcze fala zapachów mydła i porządnej wody kolońskiej. Powoli zbliżałam się do sklepu z grochem. Worków nie było na ulicy.

O tej porze w domu moich dawnych państwa pani szykowała obiad, a dzieciak grał w kręgle na patio. Mury domów do parteru były nasiąknięte wilgocią i wyglądały jak posypane błyszczącą solą.

W sklepie były dwie służące i jedna pani; kupiec stał za ladą. Jedną ze służących znałam z widzenia. Kupiec obsługiwał obie służące i panią, mnie już bolały nogi od stania, a kiedy przyszła moja kolej, weszła jeszcze jedna służąca. Postawiłam butelkę na ladzie i powiedziałam: „kwas azotowy”, a w chwili płacenia, kiedy jeszcze spomiędzy szkła szyjki i korka wydobywał się lekki dymek, otworzyłam portmonetkę i ze zdziwieniem powiedziałam, że widocznie zostawiłam pieniądze w domu. Kupiec – że wszystko jedno, że nie warto, żebym specjalnie wracała, że zapłacę mu przy okazji, jak będę tędy przechodziła. Zapytał, co słyhać u moich państwa, powiedziałam, że już od dawna u nich nie pracuję, od początku wojny. Powiedział, że i on był na wojnie, i że to cud, że nadal ma sklep; wyszedł zza lady i wstawił mi butelkę do koszyka. Odetchnęłam, jakby cały świat należał do mnie. I wyszłam. Teraz należało iść ostrożnie, żeby się nie potknąć, żeby nie dać się potrącić, uważać na tramwaje, specjalnie na wysiadających, nie kurczyć się, nie chować głowy w ramiona, iść prosto do domu: nie widzieć niebieskich świateł. Tak, to najważniejsze: nie widzieć

niebieskich świateł. Znowu stanęłam przed wystawą perfumerii, pełną butelek wody kolońskiej i nożyczek do obcinania paznokci, takich nowiutkich i lśniących, i pudełeczek z lusterkiem w pokrywce, z pastą i szczoteczką do malowania rzęs.

I znowu sklep z ceratą i z lalkami w lakierkach... Nie widzieć niebieskich świateł, szybko przejść na drugą stronę ulicy, nie widzieć niebieskich świateł... I wtedy rozległ się czyjś głos. Odwróciłam się: to był kupiec ze sklepu z grochem. Stanęłam jak przemieniona w słup soli: pomyślałam, że kupiec widocznie spostrzegł, że zamiast kwasu azotowego dał mi mydło w płynie, i jeszcze coś pomyślałam, ale już nie wiem co. A on zapytał, czy nie chciałabym zawrócić do sklepu. Weszliśmy, nie było nikogo i on zapytał, czy nie chciałabym u niego pracować, bo jego sprzątaczką właśnie się zwolniła z powodu wieku i braku sił. Ktoś wszedł, on powiedział: „Przepraszam, chwileczkę” – i stał przede mną, czekając na odpowiedź, a ponieważ milczałam, zapytał, czy może mam jakieś inne zajęcie albo może jestem już z kimś umówiona, więc zaprzeczyłam głową, że nie i że nie wiem, co robić. Na to on, że jeżeli nie mam pracy, to u niego będzie mi dobrze, że dom jest łatwy, a on niewymagający, i że on wie, że jestem osobą, która się wywiązuje. Skinęłam głową, a on na to: „No, to od jutra” – i cały przejęty włożył mi do koszyka jakieś dwie puszki i wszedł do środka, i przyniósł jeszcze papieru pakowego, i jeszcze coś, nie pamiętam co, i powiedział, że mogę zacząć od jutra o 9 rano. Półprzytomnie, nie wiedząc, co robię, wyjęłam z koszyka tę butelkę z kwasem azotowym i odstawiłam ją na ladę. I wyszłam bez słowa.

A kiedy doszłam do domu, ja, co nigdy nie płacę, rozplakałam się jak nieboskie stworzenie.

ROZDZIAŁ XXXVI

Cały był w goździki, w pączki i listki, z plamą atramentu na samym środku, zasłoniętą przez mosiężną wazę, na której trzymały się za ręce nagie dziewczęta w przejrzystych welonach, z rozpuszczonymi włosami; waza pełna była sztucznych, róż i margerytek wetkniętych w warstwę sztucznego mchu. Dywan w goździki, z atramentową plamą na środku, obsyty był frędzlą, powiazaną w potrójne supełki. Kredens był z czerwonego drewna: na różowawym marmurowym blacie stała szafeczka na szkło: kieliszki, dzbanek na wodę i butelka wina; była to taka ozdoba. Ciemne okno wychodziło na wewnętrzne patio, na które wychodziło również okno od kuchni. Prócz tego okna jadalnia miała jeszcze drugie, wychodzące na sklep i zawsze otwarte, żeby kupiec mógł widzieć, co się w nim dzieje. Krzesła były wiedeńskie, wyplatane, poręcz i siedzenie w maleńkie dziureczki. „Nie jest pani zmęczona?” – pytał mnie stale kupiec; miał na imię Antoni, tak jak mój syn. Odpowiadałam, że jestem przyzwyczajona do roboty, a któregoś dnia powiedziałam mu, że jako panna pracowałam w sklepie ze słodyczami. Od czasu do czasu miewał ochotę na pogaduszki. W stołowym było tak ciemno, że prawie nie było widać, że ma blizny po ospie. Drzwi do sklepu właściwie nie było, wchodziło się i wychodziło przez framugę zasłoniętą koralikową firanką, przedstawiającą Japonkę z wielką ilością szpilek powpinanych we włosy i z latarką w ręku...

Mieszkanie było skromne i dość ciemne, prócz dwóch pokoi wychodzących na rynek. Rozkład był mniej więcej taki: od firanki z Japonką w głąb, czyli do salonu, gdzie stała szafa i fotele w pokrowcach oraz konsola, biegł korytarzyk. Na lewo z korytarzyka dwoje tuż koło siebie położonych drzwi prowadziło do dwóch pokoi z oknami na ulicę, biegnącą do rynku. Na prawo z korytarzyka była kuchnia i pokój bez okien, służący za skład towarów, pełen worków zboża, kartofli, butelek.

W korytarzyku nie było nic więcej. Na jego końcu – salon, a na prawo od salonu sypialnia kupca, równie duża jak salon, z balkonem wychodzącym na krytą galerię (bo nad nią była galeria pierwszego piętra), podtrzymywaną przez trzy żelazne słupki. Z galerii wychodziło się na pełne kurzu patio, oddzielone od ogrodu należącego do pierwszego piętra kratą, zakończoną szpikulcami. To patio zawsze było pełne papierów i brudu spadającego z góry. W ogródku

pierwszego piętra rośło tylko jedno drzewo – mizerna morelka, której owoce opadały, zaledwie doszły do wielkości laskowych orzechów. Obok najeżonej szpikulcami kraty mała furtka, wychodząca na rynek.

Wracając do salonu, to na konsoli stało lustro w ozdobnej drewnianej ramie i dwa kryształowe wazony w kształcie dzwonek, pełne polnych kwiatów: maków, polnych różyczek, kłosów. Między dzwonekami stała muszla, morska z tych, co jak przyłożyć do nich ucho, to słyszeć morze. Takie muszle, które zebrały w sobie cały płacz morza, znaczą dla mnie więcej niż ludzie; jaki człowiek byłby w stanie żyć z tym stałym szumem fal w środku? Kiedy ją odkurzałam, zawsze na chwilę przykładałam ją do ucha. Kafle były w tym domu ceglaste, z tych, co zanim skończysz je myć, już są z powrotem brudne. Jedną z pierwszych rzeczy, które powiedział mi kupiec, to żeby zwracać uwagę i nie zostawiać zbyt długo otwartych drzwi od salonu i sypialni, bo tamtędy dostają się myszy. Małe myszki o długich, cienkich nóżkach, które wylazą ze ścieku na patio obok furteczki i pędzą do sklepu. Tam chowają się cichutko, przegryzają worki i wyjadają ziarno.

To zresztą byłoby głupstwem, jakkolwiek trudno jest o ziarno, gdyby nie to, że kiedy kupiec lub subiekt ciągnęli worki do sklepu, to przez dziurę wszystko im się wysypywało.

Subiekt jadał i sypiał na pierwszym piętrze w pensjonacie, bo kupiec po zamknięciu sklepu nie chciał mieć w domu obcych ludzi.

Łóżko, którego używał kupiec, było, jak sam mówił, „dwuspalne”, później mi zresztą powiedział, że to było łóżko po rodzicach i stało się dla niego symbolem rodziny, zapachem matczynej rąk, kiedy z nadejściem zimy piekła jabłka w rozżarzonych węglach. Było ono czarne, z kolumnkami cienkimi u dołu, potem grubiejącymi i znowu cienkimi u góry, zakończonymi kulą, z której wyrastała druga część kolumnki, tak samo cienka, gruba i znowu cienka. Kołdra kupca była bliźniaczką tej, którą miałam, a potem sprzedałam: cała szydełkowa, w wypukłe róże, z frędzlą w robione szydełkiem grajcarce, które po praniu same się z powrotem skręcały, jakby miały rozum. W kącie stał parawanik, żeby było gdzie się rozbierać.

ROZDZIAŁ XXXVII

Nielatwo przyszło mi podnieść głowę, ale po trochu jakoś wróciłam do życia po tym długim okresie, który spędziłam w zasięgu śmierci. Dzieci przestały wyglądać jak szkielety, znikły im nabrzmiące pod skórą żyły; powoli spłacałam zaległe komorne, nie tyle z tego, co zarabiałam, ile z tego, co zaoszczędziłam, bo kiedy wychodziłam po pracy, kupiec prawie zawsze zwracał się do mnie i mówiąc „proszę”, ofiarowywał mi jakiś woreczek ryżu, fasoli lub czegoś w tym rodzaju, tłumacząc, że zawsze dostaje trochę więcej, niż mu się należy. Pewnie, że sklep nie był tak zaopatrzony jak przed wojną, ale ciągle był to przyzwoity sklep, były w nim różne kasze, mąki, groch, a przy okazji szynka i słonina, żeby się tamtym towarom nie nudziło. W sumie – moc rozmaitych towarów; moc. Trudno powiedzieć, czym to było dla nas. Wychodziłam obciążona torbami jedzenia i biegłam jak najszybciej, po drodze zawsze jednak zatrzymując się, by dotknąć wag, a na górze już moje dzieciaki czekały z otwartymi gębami: „Co dzisiaj przyniosłaś?”. Odkładałam torby, a one zabierały się do nich natychmiast. Jeżeli to była soczewica, oboje wywalali ją na ziemię, przebierali, wyrzucali kamyki, a potem dopiero ją chowali.

Gdy była pogoda, wieczorami wychodziliśmy na taras i tam siadaliśmy na ziemi, ja pośrodku, oni po bokach, tak jak sypialiśmy. W upał nieraz zostawaliśmy tam do chwili, gdy budziła nas czerwieniejąca jutrzienka; dopiero wtedy, prawie nie otwierając oczu, żeby się nie rozbudzić, zbiegaliśmy na dół i układali na kocach (nie mieliśmy przecież ani jednego materaca) i tak spaliśmy już do rana.

Dzieci słowem nie wspominały ojca, jakby nigdy nie istniał, a ja – gdy mi czasem przychodził na myśl, robiłam wielki wysiłek, żeby natychmiast go zapomnieć, bo byłam tak bardzo, tak śmiertelnie wyniszczona, że opisać tego nie można, a przecież trzeba było żyć: gdy zbyt dużo myślałam, tak jakoś zaczynał boleć mnie mózg, że miałam uczucie, że mi gnije.

Kiedy już jakiś czas pracowałam u kupca, może trzynaście, może piętnaście miesięcy, a cały dom był jak lustro, wszystkie meble natarte octem pół na pół z oliwą, kapy śnieżnobiałe, a pokrowce z foteli i z sofy poprane i poprasowane, zapytał mnie pewnego dnia, czy dzieci chodzą do szkoły, więc odpowiedziałam, że tymczasem nie. Innym razem powiedział mi, że jak pierwszy raz przyszedłam

po groch, to od razu mnie zauważył, i że pamięta również Quimeta, chłopca, który – jak powiedział – zawsze czekał na mnie na ulicy, z rękami w kieszeniach, rozglądając się na wszystkie strony. Zapytałam, jak mógł go widzieć, skoro był w sklepie, a on na to:

– Nie pamięta pani, że miałem worki z grochem wystawione na ulicę? Nawet gdybym ich nie miał i nie wychodził co chwila na ulicę po groch, i tak byłbym go widział, bo pod ladą miałem lusterko, które poruszało się w prawo i w lewo, i w nim widziałem worki na ulicy i tych, co usiłowali dobierać się do nich...

Dodał jeszcze, że dziś może mi się przyznać, że tego dnia, co pobiegł za mną, żeby mnie spytać, czy nie chciałabym u niego pracować, miałam twarz, która go zupełnie wstrząsnęła, i pomyślał, że musiało mnie spotkać coś strasznego. Powiedziałam, że tylko to mnie spotkało, że Quimet zginął na wojnie i życie stało się zbyt trudne, a on przytaknął i powiedział, że też cały rok spędził w szpitalu, że zabrali go z pola walki dosłownie w proszku i połatali jak mogli... Dodał, że bym przyszła do niego w niedzielę o trzeciej po południu, i ma nadzieję, że w moim wieku nie będę się chyba bała tego sam na sam z nim, skoro od tak dawna się znamy.

ROZDZIAŁ XXXVIII

S chodząc po schodach, dotknęłam ręką wag. Było lekko zachmurzone niedzielne popołudnie, ale nie padało, nie było słońca ani też wiatru. Oddychałam z trudem jak ryba po wyjęciu z wody, kupiec powiedział mi, żebym weszła przez drzwiczki od patio, bo tylko one są otwarte w niedzielę; nie warto przecież podnosić i opuszczać żaluzji sklepowych, żeby kogoś przyjąć.

Mimo że byłam z góry zdecydowana, że pójdę (najlepszy dowód, że już byłam w drodze), robiłam to jakoś bez chęci i marudziłam, przeglądając się w wystawach, w których widziałam się ciemna jakaś i błyszcząca. Nie mogłam sobie poradzić z włosami, sama je obciąłam, a potem umyłam i teraz rozłaziły mi się na wszystkie strony.

Kupiec czekał na mnie, stojąc między dwiema z czterech kolumn, które podtrzymywały galerie wszystkich sześciu pięter. Z góry ktoś rzucił zrobiony z gazety samolocik, który spadał, kręcąc się w kółko, a on złapał go w locie i powiedział, że nie ma sensu robić o to kwestii, że jakby poszedł na górę poskarżyć się, zaczęliby tylko rzucać jeszcze inne przedmioty. Widać było, że jest świeżo ogolony (zaciął się zresztą w okolicy ucha), a w pochmurnym świetle dziurki po ospie na jego twarzy wydawały się bardzo głębokie; były okrągłe i pokryte nową skóreczką, trochę jaśniejszą niż reszta skóry.

Zapytał, czy byłabym łaskawa wejść, i przepuścił mnie przed sobą, co mnie bardzo zdziwiło; wszystko wydawało mi się jakieś inne, bo bez światła płynącego jak co dzień z otwartego sklepu poprzez koralikową zasłonę miałam wrażenie, że to jakieś inne mieszkanie. W stołowym paliło się światło, biała półkula zwieszająca się, otworem do dołu, na sześciu metalowych łańcuszkach, z frędzelką ze szklanych, również białych rurczek.

Kiedy ktoś chodził po mieszkaniu nad nami, rurczki brzękały o siebie jakąś cichutką muzyczką. Przeszliśmy do stołowego i tam usiedliśmy.

– Pozwoli pani herbatników?

Postawił przede mną kwadratowe pudło, w którym była niekończąca się ilość warstw waniliowych ciasteczek, ale podziękowałam, mówiąc, że nie jestem głodna. Więc schował ciasteczka do kredensu i zapytał o dzieci, a ja wyczułam, że zarówno to, co mówi, jak to, co robi, strasznie dużo go kosztuje; wydało mi się, że jest jak mąż, któremu rozłupano muszlę, a cóż jest smutniejszego niż taki

nieszczęsny, opuszczony małż. Prosił, bym mu przebaczyła, że facygował mnie w niedzielę, że pewnie niedziela ma dla mnie specjalne znaczenie, bo wtedy mogę coś porobić w domu, poreperować i pobyć trochę z dziećmi. W tym momencie ktoś przebiegł po górze i rurczki u lampy zaczęły swój koncert...

Oboje patrzyliśmy na chwiejącą się lampę. Gdy uspokoiła się, powiedziałam, że może teraz mi powie, o co mu chodzi, jaką ma do mnie sprawę. „To niełatwo” – powiedział. Położył ręce na stole i splótł palce tak mocno, że aż pobieły mu knykcie, i powiedział, że ciężko mu o tym mówić, że jest prostym człowiekiem, zawsze tylko zamkniętym w tych czterech ścianach, że stale tylko myśli o sklepie, urzęduje go, pracuje w nim, pilnuje przed ludźmi i myszami, co też nie jest łatwe, na przykład jak kiedyś mysz uwiła sobie gniazdko w wiórkach do czyszczenia garnków i zabrudziła je, to on wcale się nie zorientował i sprzedał wiórki wraz z myszą i całym jej miotem. A wtedy służąca (zresztą wdzięczyła się do niego, choć jemu wcale się nie podobała), która kupiła te wiórki, wróciła po chwili wraz ze swoją panią i obie potwornie mu nawymyślały, mówiły, że to szczyt, żeby wiórki, co mają służyć do szorowania garnków, sprzedawać z myszami w środku; dodał, że zresztą historia tych wiórków to tylko szczegół, że mi mówi o tym, żeby mi dać pojęcie, jak dalece trzeba uważać, żeby myszy wychodzące ze ścieków nie dostawały się na patio. Jego życie jest bezbarwne i monotonne – powiedział – nic, co by z dumą można ofiarować, ot, orka i orka; myśli, żeby trochę grosza zaoszczędzić na stare lata, bo on wiele myśli o starości, chciałby, żeby na starość ludzie go szanowali, a starych szanuje się tylko wtedy, kiedy mają z czego żyć. Dodał, że nie należy do ludzi, którzy żałują sobie na wszystko, ale że oszczędza z myślą o starości, bo nie chce, żeby wtedy, gdy już nie będzie miał włosów, zębów ani nawet chęci, żeby założyć buty, musiał prosić o pomoc i szukać schronienia w przytułku. Nie po to przeżył życie tak pracowite i pełne wysiłków. Rozplótł ręce, dwoma palcami z wazonu, który zasłaniał płamę atramentu, spomiędzy róż i rumianków, wyciągnął kawałek sztucznego mchu, i nie patrząc na mnie, powiedział, że wiele myślał o mnie i o moich dzieciach, że wierzy w przeznaczenie i że jeżeli mi powiedział, żebym przyszła w niedzielę spokojnie z nim porozmawiać, to po to, że chce mnie o coś poprosić, tylko nie wie, jak zacząć, bo nie wie, jak ja to przyjmę.

Ktoś znowu przebiegł po górze, wywołując koralikową muzyczkę, a on powiedział: „no, póki nie zawałą nam sufitu...” – ale tak to powiedział, jakbym ja też należała do tego domu, i dodał, że jest człowiekiem samotnym, człowiekiem kompletnie samotnym: bez rodziców i żadnej rodziny. Samotnym jak palec

i pełnym dobrej woli, więc żeby broń Boże nie wzięła mu za złe tego, co mi chce powiedzieć... bo należy do tych samotnych, co sami nie umieją żyć... Długą chwilę milczał, a potem podniósł głowę i spojrzawszy mi głęboko w oczy, powiedział:

– Chciałbym się ożenić, ale nie mogę założyć rodziny...

I walnął z całej siły pięścią w stół. Tak powiedział: że nie może założyć rodziny, a chciałby się ożenić. A przez ten czas skręcał w kulkę ten mech, co go wyjął z wazonu. Potem wstał, przeszedł się, stanął na wprost Japonki, wrócił i znowu usiadł, ale zanim usiadł, właściwie dokładnie wtedy, kiedy siadał, rzucił:

– Chciałaby pani wyjść za mnie za męża?

Już od chwili bałam się tego, bojąc się i równocześnie to przeczuwając, i cała zmartwiałam, tak że to, co powiedział, jakoś niezupełnie do mnie doszło.

– Jestem wolny i pani jest wolna, mnie potrzebny jest ktoś do towarzystwa, a pani dzieciom potrzebna jest jakaś opieka...

Jeszcze bardziej zdenerwowany niż ja znowu wstał i kilka razy przeszedł się od stołowego do Japonki i z powrotem, po czym usiadł, mówiąc, że nawet nie podejrzewam, jaki jest dobry, naprawdę bardzo dobry, i że od początku miał do mnie sympatię, jeszcze od tamtych czasów, kiedy przychodziłam po groch i wychodziłam tak obładowana, że żal było patrzeć.

– I myślę, że jest pani bardzo samotna i że to wielka niewygodna, gdy przez cały czas, co pani tu pracuje, dzieci same siedzą w domu. Jakoś bym mógł to wszystko urządzić... Ale jeżeli nie, to przyjmijmy, że nic nie mówiłem... Tylko jeszcze raz chciałbym podkreślić, że nie mogę założyć rodziny, bo przez wojnę stałem się człowiekiem... nieużytecznym, a gdybyśmy się połączyli i miałbym pani rodzinę, to przyszedłbym, że tak powiem, do gotowego...

– Bo ja nie chcę nikogo nabierać, Natalio – zakończył.

ROZDZIAŁ XXXIX

Przyszłam do domu zupełnie oszołomiona i chociaż ani nie miałam zamiaru wychodzić, ani nic nikomu na ten temat mówić, o dziesiątej nie mogłam już dłużej wytrzymać, wzięłam dzieci i poleciałam do seniory Enriquety, która właśnie zaplatała włosy, żeby iść do łóżka. Postawiłam dzieci przed obrazem z langustami, powiedziałam im, żeby sobie popatrzyły, i zamknęłam się z seniorą Enriquetą w kuchni. Tam opowiedziałam jej, co mi się przydarzyło, i zaznaczyłam, że niby go zrozumiałam, ale chyba nie całkiem do końca. Powiedziała, że widocznie raniono go w czasie wojny „tam, gdzie sobie wyobrażasz”, i dlatego chce się z tobą ożenić, że ty masz już dzieci, a ludzie samotni czują się nieraz jak te puste butelki, które rzeka unosi ku morzu.

– Jakżeż ja to powiem dzieciom?

– Po prostu; że on ci zaproponował, a ty się zgodziłaś, przedstawisz to jako coś zupełnie naturalnego. Co tam one rozumieją...

Przez kilka dni zastanawiałam się nad tym wszystkim, a tego dnia, którego podjęłam decyzję po długim wazeniu wszystkich „za” i wszystkich „przeciw”, powiedziałam kupcowi, że dobrze, że się pobierzemy. Powiedziałam, że tak długo się zastanawiałam, bo mnie zaskoczył, a im dłużej myślałam, tym zaskoczenie było większe, a poza tym bałam się dzieci, które są, bardzo sprytne na swoje lata, bo przez wojnę i przez głód wcześniej dojrzały.

Wziął mnie za rękę, a cały drżał, i powiedział, że nie może mi powiedzieć, jaki ogród zasiały w nim moje słowa. I poszłam do roboty, ale zamiast pracować, przystanęłam pod balkonem, kafle były całe w słonecznych plamach, morela dawała trochę cienia i siedział na niej ptak. Na patio spadła chmura kurzu z tych wszystkich galerii, a w salonie, tam gdzie stały szklane dzwonki, między jednym a drugim dzwonkiem znalazłam pajęczynę zaczepioną o drewnianą nóżkę jednego z dzwonków, przechodzącą górą niby ślimak i schodzącą do nóżki drugiego dzwonka. Patrzyłam na to wszystko, myśląc, że to będzie mój dom, i poczułam, jak mi się ściska gardło, bo dosłownie od tej chwili, kiedy powiedziałam, że tak, miałam ochotę powiedzieć, że nie. Nic mi się nie podobało: ani sklep, ani ten korytarz ciemny jak jakaś kicha, ani to, że ze ścieków przychodzą myszy.

W południe powiedziałam o tym dzieciom. Nie, że wychodzę za mąż, tylko że się przeprowadzimy do innego mieszkania i że jeden bardzo dobry człowiek

zajmie się tym, żeby mogły chodzić do szkoły. Żadne nie powiedziało ani słowa, chociaż z pewnością mnie zrozumiały. Przyzwyczyły się do niemówienia, ale oczy im posmutniały.

W trzy miesiące po tej niedzieli, wczesnym rankiem wyszłam za Antoniego, który od tego dnia został Antonim-ojcem, a mój Antoni – Antonim-synem; dopiero później zaczęliśmy nazywać go Toni.

Przed ślubem Antoni kazał wyporządzić dom. Powiedziałam, że chcę, żeby dzieci miały metalowe łóżeczka, i dostały metalowe łóżeczka, podobne do mojego panińskiego, tego które musiałam sprzedać. Powiedziałam, że chcę wiszącą kuchenkę, i dostałam wiszącą kuchenkę. Powiedziałam, że nie chcę plam na tapecie, i dostałam nowe tapety. Pewnego dnia powiedziałam jeszcze, że chociaż jestem biedna, jestem bardzo wrażliwa i wolałabym nie zabierać nic ze starego mieszkania do nowego, nic, nawet bielizny. Więc wszystko dostaliśmy nowe, a kiedy mu powiedziałam, że chociaż biedna, jestem wrażliwa i delikatna, powiedział, że on jest taki sam. I nie skłamał.

ROZDZIAŁ XL

Dzieci uczyły się, każde w swoim pokoju z oknem, ze złożonym łóżeczkiem nakrytym białą kapką (na zimę każde miało żółtą pierzynkę) i z fotelikiem. Nazajutrz po ślubie Antoni powiedział mi, że nie pozwoli, żebym nawet i pięć minut dłużej miała sprzątać, mam poszukać sobie kogoś na rano na przychodnię, a jeżelibym chciała na popołudnia pokojówkę, to mogę sobie wziąć pokojówkę, że nie po to się ze mną żenił, żebym mu prała, tylko po to, że chce mieć rodzinę i chce, żeby ta rodzina była zadowolona. Wszystkiego mieliśmy w bród, bielizny, porcelany, sztucców, pachnącego mydła. A ponieważ sypialnie były lodowate w zimie, a zimne w lecie, przez cały rok prócz lata wszyscy spaliśmy we włóczkowych pantoflach.

Seniora Enriqueta często mnie odwiedzała i jak przyszła pierwszy raz, to znowu dawaj mordować mnie na temat poślubnej nocy i jak to się odbyło, skoro on nie może. I w śmiech. Z początku siadywałyśmy obok siebie na sofie, ale potem przyzwyczaiłyśmy się siadać na fotelach, bo seniora Enriqueta mówiła, że sofa jest dla niej za miękka, że się zapada, a wtedy gdzieś pod pachą uwiera ją fiszbin od gorsetu. Zawsze bardzo dziwacznie siadała: stopy razem, a kolana oddzielnie, cała sztywna, z tymi ustami drapieżnego ptaka i nosem jak rożek od lodów. Pokazałam jej wszystko, co miałam, rzeczy od święta i rzeczy na co dzień, ale twierdziła, że to niemożliwe, żeby sklep aż tyle dawał, widocznie Antoni musi mieć forszę; powiedziałam jej, że nie wiem i nie interesuje mnie to.

Zastanawiał ją też bardzo parawan:

– Ale ci zdarzenie – mówiła.

A kiedy jej powiedziałam, że mam na rano kobietę na przychodnię, powiedziała, że tak powinno być, że to mi się należy. Powiedziałam że ma na imię Rosa, a seniora Enriqueta zaczęła wpadać rankami, żeby zobaczyć Rosę, specjalnie wtedy kiedy prasowała (w tym pokoju gdzie stoi sofa w pokrowcu) – była ciekawa, jak prasuje. Wychodziła zazwyczaj przez sklep, a Antoni zawsze dawał jej paczkę albertów i tym tak ją sobie zdobył, że gdy przychodziła, sama zaczynała o nim mówić, a patrzyła na niego z takim zachwytem, jakby do niej należał.

Któregoś dnia złapaliśmy malutką myszkę. Znaleźliśmy ją w pułapce wczesnym popołudniem. Ja ją zauważyłam, więc zawołałam ich i wszyscy wyszli

na patio. Złapała się w jedną z tych pułapek, co strzelają, trafiło ją w sam brzusek, który pękł i wypłynęły z niego kiszeczki i krew. Była bardzo mała i delikatna: i kolor, i paluszki u łapek, i białość brzuszka (niezupełnie biały, ale tak jasnoszary, że wyglądał jak biały); przylepiły się do niej trzy wielkie muchy; kiedy podeszliśmy, jedna zerwała się niby przestraszona, ale zaraz wróciła. Były bardzo czarne z przeblaskami czerwonymi i granatowymi, jak ten diabeł, o którym opowiadał Quimet, i pożerały to umarłe stworzenie; Quimet mówił, że tak właśnie robią diabły przebrane za muchy. Ale miały czarne pyszczki, a Quimet mówił, że diabeł, nawet jeżeli jest muchą, bucha z pyska i z łapek płomieniem – żeby nie pomylić go ze zwyczajną muchą. Jak Antoni zobaczył, że tak się gapimy, jednym ruchem porwał pułapkę razem z myszą, wyszedł na ulicę i wszystko razem wrzucił do ścieku. Dzieci go bardzo kochały, ja głupia wyobrażałam sobie, że nie spodoba im się! Specjalnie chłopak, z dziewczynką było co innego: była obojętniejsza. Ale mały, jeżeli nie musiał się uczyć, zawsze łąził za Antonim i był szczęśliwy, jeżeli ten dał mu cokolwiek do zrobienia. A jak Antoni po obiedzie przeglądał gazetę, mały podchodził i udając, że także chce czytać, przysuwał się do niego.

ROZDZIAŁ XLI

Pozostałam wychodzić z domu, na ulicach czułam jakiś lęk. Gdy tylko wychyliłam głowę, odurzała mnie ilość ludzi, aut, motocykli... Tak widać skurczyło mi się serce, że dobrze czułam się tylko u siebie. Powoli i z wysiłkiem zadomawiałam się w tym domu, wśród tych rzeczy, tych światel i cieni. Już je znałam i wiedziałam, gdzie słońce robi plamy, wchodząc przez balkon sypialni albo salonu, kiedy wydłużają się one, kiedy skracają.

Dzieci przystąpiły do Pierwszej Komunii. Na ten dzień wszyscyśmy się obsprawili. Seniora Enriqueta przysłała pomoc mi ubrać Ritę. Nacierając ją od stóp do głów wodą kolońską, powiedziałam: „Niech pani patrzy, jak prosto się trzyma”, na co seniora Enriqueta, że można by ostrzyć szablę o jej plecy. Włożyłyśmy jej sukienkę i welon, seniora Enriqueta z ustami pełnymi szpilek umocowywała jej welon i wianek do włosów. Wyglądała rzeczywiście jak laleczka. Zrobiliśmy jej w domu przyjęcie, a kiedy się skończyło i weszłam do jej pokoju, żeby pomóc jej się rozebrać, patrząc, jak składam na łóżku jej sztywne halki, powiedziała, że jedna z jej przyjaciółek, która także przystępowała dzisiaj do Pierwszej Komunii, opowiadała, że jej ojciec, który zaginął na wojnie, niespodziewanie dwa dni temu wrócił, bardzo chory, ale żywy. Od lat nie było o nim żadnych wiadomości, bo był uwięziony gdzieś bardzo daleko i nie wolno mu było pisać listów.

Odwróciłam się powoli i zobaczyłam, że Rita patrzy na mnie, a kiedy i ja spojrzałam na nią, zobaczyłam, jak bardzo się zmieniła w ciągu tego czasu, podczas którego ja walczyłam o nagięcie się do nowego życia. To nie była Rita, to był Quimet. Te same małpie oczki i ten sam trudny do wytłumaczenia wyraz, to coś jakby chęć zadawania cierpień.

Od tego dnia zaczął się dla mnie niepokój, zły sen, brak snu, niechęć, do życia.

Jeżeli Quimet żyje – wróci. Kto mi zagwarantuje, że naprawdę zginął? Nikt. Tak, zegarek, który mi przyniesiono, rzeczywiście należał do niego, ale mógł w jakiś sposób przejść z rąk do rąk i jakkolwiek znaleziono go na ręce umarłego, może nie była to ręka Quimeta. A jeżeli żyje, jak ojciec przyjaciółki Rity, i wróci chory, i zastanie mnie po ślubie z kupcem od grochu? Nie mogłam o niczym innym myśleć. Kiedy dzieci nie było w domu, a Antoni urzędował w sklepie, chodziłam tam i z powrotem po korytarzu, który znakomicie się do tego nadawał,

jakby już wtedy został dla mnie zrobiony, kiedy sama nie wiedziałam jeszcze, że będę potrzebowała przechadzać się po nim bez przerwy; od i balkonu w salonie do Japonki w stołowym, od Japonki do balkonu. Dochodziłam do pokoju Antoniego – ściana. Dochodziłam do składziku za sklepem – ściana. Naokoło tylko ściany i ten korytarz z zasłoną z koralików z wymalowaną Japonką. Ściany i korytarze, korytarze i ściany, i ja tłukąca się tam i na powrót, tam i na powrót; czasem zaglądałam do któregoś z pokoi i znowu – tam i na powrót. Otwierałam i zamykałam szuflady. Kiedy Rosa wychodziła, skończywszy zmywanie i odchodząc z fałszywą słodyczą, żegnała się ze mną: „No to do jutra, proszę pani” – wchodziłam do kuchni. I znowu ściana. I kran. Odkręcałam kran, ale tylko trochę, i palcem przecinałam prąd wody z jednej strony na drugą, niby wycieraczka zmywająca szybę samochodową podczas deszczu, pół godziny, trzy kwadransy, godzinę... pod koniec już sama nie wiedziałam, co robię. Wreszcie zaczynała boleć mnie ręka, i to dopiero odganiało ode mnie myśl, że Quimet, objechawszy świat, a może wyszedłszy z jakiegoś więzienia, wraca teraz do domu, idzie prosto do naszego mieszkania, w mieszkaniu zastaje obcych, więc schodzi zapytać się w sklepiku na dole, co się stało, a sklepikarz na dole mówi mi, że wyszłam za mąż za kupca od grochu, bo wszyscy myśleliśmy, że on zginął na wojnie. A wtedy Quimet zjawia się i podpala wszystko. Pomyśleć, że po tej okrutnej wojnie, wyszedłszy z więzienia, znalazłby się bez mieszkania, bez żony, bez dzieci... Bardziej chory niż kiedykolwiek... A zawsze wierzyłam, kiedy zapewniał mnie, że jest chory...

Jeżeli stałam tyłem, a wiatr choć odrobinę poruszył koralikami Japonki, serce zatrzymywało mi się na myśl, że to on. Mogłabym mu mówić, że to wszystko nieważne, że zawsze jestem tylko jego żoną – nic by mnie nie uratowało od policzka.

W takim lęku żyłam ze trzy lata. Może zresztą więcej, może mniej i... w końcu wszystko tak się płacze... Seniora Enriqueta nabrała okropnego zwyczaju, by w chwili, w której zostawałyśmy same, natychmiast zaczynać rozmowę o Quimecie. „A pamiętasz, jakeście wozili motorem Antoniego?” – „A pamiętasz, co Quimet mówił, jak mały się urodził? A Rita?” – „A pamiętasz, jak na ciebie mówił: Colometa? Pamiętasz? Pamiętasz?...”

Zaczęłam na siłę wychodzić z domu, bo potrzebowałam spaceru, rozrywki, zupełnie przestałam sypiać i jeść. Wszyscy mówili, że powietrze dobrze mi zrobi, że żyję jak w więzieniu...

Kiedy po długim niewychodzeniu po raz pierwszy znalazłam się z Ritą

na ulicy, od powietrza zakręciło mi się w głowie. Poszliśmy obejrzeć wystawy na Calle Mayor. Szliśmy bardzo powoli; w pewnej chwili Rita spojrzała na mnie i spytała, dlaczego mam takie przerażone oczy. Powiedziałam, żeby nie gadała głupstw.

Wtedy ona postanowiła przejść na drugą stronę, ale kiedy doszliśmy do brzegu chodnika i kiedy postawiłam nogę na jezdni, zrobiło mi się ciemno w oczach, zobaczyłam wiele niebieskich świateł, które kołysały się przede mną niby błękitne morze, i upadłam.

Przy kolacji, kiedy już dobrze się czułam, Rita poruszyła ten temat: „Co będziemy z nią robić? Kiedy ma przejść przez ulicę, mdleje!”. Powiedziała jeszcze, że robią mi się takie niesamowite oczy... A wszyscy na to, że to przez tak długie niewychodzenie, ale że jeżeli wezmę się za siebie, po trochu przyzwyczaję się do wychodzenia. Więc zaczęłam wychodzić, ale sama, i chodziłam gdzie indziej, nie do miasta, a w okolice parków.

ROZDZIAŁ XLII

Lisście spadały, potem pędy wychodziły na drzewach. Któregoś dnia w czasie obiadu Rita powiedziała, że chce się uczyć języków, że nic innego jej nie interesuje, tylko języki, bo chce pracować w liniach lotniczych. Chce być taką, co to jeździ samolotem i zajmuje się pasażerami, pomaga im zapinać pasy, roznosi likiery, podkłada poduszki pod głowę. Ledwie zaczęła mówić, Antoni powiedział, że dobrze. Wieczorem zwróciłam mu uwagę, że zanim się zgodził, powinien był porozumieć się ze mną, zastanowić się, czy to dobrze pracować w liniach lotniczych, na co on – że może i powinniśmy byli porozmawiać, ale skoro ona sobie wbiła w głowę, że będzie fruwała, nic nie wskóramy, stawiając jej przeszkody, młodym trzeba dać spokój, lepiej wiedzą, czego chcą, niż starzy, którzy tylko cofają się, jak raki. I nagle dodał, że już dawno chciał mi coś powiedzieć, ale nie mówił, bo widać było, że nie jestem nastawiona ani by mówić, ani by słuchać, ale skoro już mówimy na temat Rity, to chciałby mi powiedzieć, że nigdy w życiu nie był taki szczęśliwy, jak od czasu, kiedy ma nas wszystkich troje w domu, i chciałby mi podziękować, bo od tego szczęścia, które czuje i które mu się maluje na twarzy, wszystko lepiej mu idzie, może nie tak jak kiedyś, ale i tak bardzo dobrze. I że wszystko, co zarabia, zarabia dla nas. I poszedł spać.

Sama nie wiem, czy to było we śnie, czy na jawie, ale wciąż wydawało mi się, że widzę gołębie i wszystko to, co było dawniej: i gołębnik malowany na niebiesko, i gniazda, i druty na tarasie, które rdzewiały, bo nie mogłam wieszać na nich bielizny, i dziurę, którą schodziły gołębie, i całą ich procesję z balkonu na galerię, a potem dryp, dryp do mieszkania, wszystko tak jak kiedyś – i to było bardzo ładne.

Te gołębie niczego nie brudziły, nie iskały się, tylko fruwały i fruwały jak aniołki. Strzelały w górę i wśród szumu skrzydeł przelatywały ponad tarasami... Pisklęta rodziły się całe w piórkach, nie żylaste, nie gołe, a główki i dzioby miały odpowiedniej wielkości do ciałek. Rodzice nie karmili ich z dzioba do dzioba z tym nerwowym niepokojem, a one nie wyrywały im żarcia pośród przerażonych okrzyków, nie; a jeżeli załęgłe jajko spadało na ziemię – nie śmierdziało, a ja dbałam o gołębie, wyściełałam im gniazda, zmieniałam wodę w miseczkach, która zawsze, nawet w upał, była przezroczyta...

Opowiedziałam to któregoś dnia jednej pani, która usiadła koło mnie na ławce w parku na wprost róż. Opowiedziałam jej, że miałam czterdzieści gołębi, a raczej czterdzieści par, czyli osiemdziesiąt gołębi rozmaitych gatunków, i tych z jedwabnymi krawacikami, i tych, co im pióra układają się do tyłu i wyglądają, jakby miały wszystko na odwrót, i pawich ogonów, i tych w ciapki, i białych, i czarnych, i zakonników, i takich, co naokoło szyi sterczą im piórka i zasłaniają oczy, że wszystkie żyły w specjalnie w tym celu zbudowanej wieżyczce, do której wchodziły pochylnią w kształcie ślimaka, a w tej pochylni były wąziutkie okieneczka i u stóp każdego okienka umieszczone było gniazdo do wysiadywania; te, które już wysiedziały, wchodziły na parapety okienek i jak z daleka patrzyło się na tę wieżę, to wyglądała jak kolumna cała pokryta gołębiami, które mogły być być rzeźbą w kamieniu, ale były żywymi ptakami. Powiedziałam, że nigdy nie wyfruwały przez okienka, tylko z samego szczytu wieży, że wznosiły się niby wieniec dziobków i piór, ale że w czasie wojny padła bomba i wszystko się skończyło.

Widać ta pani opowiedziała to innej, a tamta jeszcze innej, bo kiedy się zbliżałam, jedna szeptała do drugiej: „O, idzie ta pani od gołębi...”. A od czasu do czasu te, które nie wiedziały wszystkiego, pytały mnie: „Czy to przez wojnę zginęły pani ptaki?” – lub mówiły do sąsiadki na ławce: „... i mówi, że stale tylko o tym myśli”, albo: „Jej mąż zrobił dla nich specjalnie taką wieżę, żeby wszystkie tam mieszkały, cała ta chmara gołębi...”. I myśląc, że mówią prawdę, orzekały: „Ona tęskni za swoimi gołębiami. Ta pani tęskni za swoimi gołębiami i za wieżyczką pełną okienek...”.

Kiedy szłam do parku, starałam się omijać ulice, po których jeździło dużo samochodów, bo dostawałam zawrotów głowy, tak że nieraz robiłam bardzo wielkie okrążenia. Do każdego z parków miałam już ze dwie lub trzy trasy, żeby mi się nie nudziło i droga nie była zawsze jednakowa.

Zatrzymywałam się przed domami, które mi się podobały, oglądałam je dokładnie, niektóre w końcu dosłownie umiałam na pamięć. Jeżeli czasem jakieś okno było otwarte, a nie było nikogo w pokoju, zaglądałam do środka, a idąc, nieraz myślałam: czy też okno od tego pokoju, gdzie jest czarny fortepian, będzie dziś otwarte, czy zamknięte? albo: ciekawe, czy też będzie otwarta ta brama, gdzie wiszą świeczniki? albo: ciekawe, czy z tej bramy wyłożonej białym marmurem będą dziś wystawione do podlewania donice z zielenią, albo: ciekawe, czy w tej willi z ogródkiem od ulicy, z fontanienki obłożonej niebieskimi kaflami, będzie biła woda?

Z początku, kiedy padało, zostawałam w domu, ale potem jakoś nie mogłam wytrzymać, tak że zaczęłam wychodzić nawet w deszcz; w takie dni w parku nie było pań, więc brałam gazetę i o ile nie bardzo padało, kładłam ją na ławce, siadałam, zasłaniając się parasolką i patrzyłam, jak deszcz obrywa liście albo jak otwiera lub zamyka płatki kwiatów... Nieraz, wracając do domu, dobrze zmokłam, ale nie robiło mi to różnicy, nawet to lubiłam. Nie śpieszyłam się z powrotem i jeżeli tego dnia miałam w planie przejście koło bramy obłożonej marmurem, skąd wystawiano na ulicę donice pełne zieloności, żeby podlać je deszcz, zatrzymywałam się, żeby chwilę na nie popatrzeć, i już widziałam, co jest w której donicy, i zauważałam, że odcięto jakiś liść albo że wypuścił nowy. Bez pośpiechu chodziłam sobie po pustych ulicach...

I tak dużo patrząc na rzeczy wątłe i delikatne, sama zrobiłam się wrażliwa jak figowy kwiat i o byle głupstwo płakałam... Tak że na wszelki wypadek zawsze w rękawie miałam chusteczkę.

ROZDZIAŁ XLIII

Któregoś wieczoru, kiedy Toni już miał iść do siebie, Antoni powiedział żeby czekał, żeby został chwilę z nami, bo chciałby z nim porozmawiać. Już sprzątnęłam ze stołu i położyłam laufer, na którym ustawiłam wazon w panie w welonach i z rozpuszczonymi włosami, tyle że kwiaty były inne, już dawno je zmieniłam, bo tamte zbladły i ubrudziły się, więc zamiast róż i margerytek teraz stały w nim tulipany i migdałowe gałązki.

Antoni powiedział małemu, że chciałby wiedzieć, czy już zastanawiał się nad tym, co będzie robił, jak dorośnie, czy – skoro tak lubi się uczyć – nie miałby ochoty dalej studiować; że w sumie chciałby wiedzieć, jakie są jego plany. Powiedział, żeby nie odpowiadał od razu, tylko spokojnie to sobie przemyślał, bo czasu jest aż za dużo. Mały słuchał go ze spuszczonymi oczami, a kiedy Antoni skończył, podniósł głowę, popatrzył najpierw na mnie, potem na niego i powiedział, że nie ma co myśleć, bo już dawno zdecydował: dalej studiować nie chce, uczył się, bo uważał, że pewne rzeczy należy wiedzieć, że jest to kwestia ogólnej ogłady, ale że on myśli praktycznie, nie chce pracować poza domem i jedyne, o co by prosił, to abyśmy się zgodzili, by mógł zostać kupcem tak jak Antoni, bo – powiedział: – Ty będziesz się robił z każdym rokiem starszy i będziesz potrzebował pomocy.

Antoni wyrwał z bukietu odrobinę mchu, skręcił go w palcach w kulkę i powiedział: „Muszę cię o jednej rzeczy uprzedzić: handel zapewnia utrzymanie, ale nie jest to eleganckie zajęcie”, po czym cały czas kręcąc tę kulkę, dodał, że może mały mówi to, żeby jemu sprawić przyjemność, wobec tego on sprawę uważa za nadal otwartą i prosi, żeby Toni myślał nad tym dalej tyle, ile tylko będzie chciał, bo nie chciałby, żeby jutro pożałował słów wypowiedzianych tylko po to, żeby jemu sprawić przyjemność, i dodał, że on, Antoni, dawno sobie zdał z tego sprawę, że mój syn ma dość otwartą głowę, żeby robić to, na co będzie miał ochotę. Mały milczał, miał zaciśnięte wargi i dwie zmarszczki między brwiami – znak uporu, w końcu powiedział, że dobrze wie zarówno, co mówi i co robi, jak i dlaczego to mówi i dlaczego robi. Powtórzył to dwa razy, a w końcu on, taki zawsze cichy i spokojny, wybuchł. Wybuchł, ale przedtem on także wyrwał trochę mchu i także skręcił go w kulkę – już obaj kręcili te kulki – i powiedział, że jeżeli wybrał ten zawód, że jeżeli chce zostać kupcem, to dlatego, żeby pomóc

Antoniemu i rozwijać w dalszym ciągu sklep, bo lubi ten sklep, i koniec. A potem szybko powiedział „dobranoc” i uciekł do siebie.

Więc i my poszliśmy spać jedno za drugim, a przez cały czas Antoni powtarzał: „nie zasłużyłem na to”, „nie zasłużyłem na to”, a potem dodał, że mały robi szaleństwo i że on byłby osobiście bardzo szczęśliwy, gdyby mały został lekarzem albo adwokatem; uważałby, że to jego ręce doprowadziły chłopca do takiej pozycji.

Zawsze rozbieraliśmy się za parawanikiem, żeby przez noc rzeczy nie walały się po pokoju. Mieliśmy tam taborecik, żeby można było się, zdejmując buty, i wieszak na ubrania. Antoni wychodził z za parawanu już w piżamie, a ja przed nim lub po nim w nocnej koszuli, zapięta pod samą szyję, nawet mankieciki u rękawów. Antoni powiedział mi już dawno, że zwyczaj rozbierania się za parawanem przejął od matki. Parawan był pokryty materiałem naciągniętym na dwa druty, żeby można było zdejmować go i prac, materiał był niebieski w białe margerytki, które wyglądały jak żywe.

Sypiałam bardzo lekko i pierwszy wóz jadący na plac targowy budził mnie od razu. Często wstawiałam wtedy, żeby się napić wody, potem słuchałam chwilę snu dzieci, a potem nie bardzo wiedząc, co robić, przechodziłam przez Japonkę i wchodziłam do sklepu. Wkładałam rękę w worek z ziarnem, najczęściej z kukurydzą, bo stała najbliżej stołowego, wyjmowałam pełną garść, podnosiłam ramię i ziarnka spadały jak deszcz, potem znów nabierałam pełną garść, a potem wachałam moje ręce i wszystko naokoło.

Ponieważ w kuchni zostawiałam zapaloną lampę, wpadało tu trochę światła, w którym lśniły celofanowe oczka w opakowaniach rozmaitych makaronów: gwiazdek, literek, wermiszelu, błyszcząły słoje pełne oliwek i zielonych, i tych czarnych, pomarszczonych, jakby miały sto lat; poruszałam w nich drewnianą łyżką podobną do wiosła – woda po brzegach pieniała się i rozchodził się specyficzny zapach. I tak się zabawiając, myślałam, że po tylu latach Quimet, który był jak rtęć i wiercił się, rysując plany swoich mebli pod lampą z malinową frędzlą, z pewnością już nie żyje i że nawet nie wiem, gdzie umarł ani czy został pochowany, i że może do dzisiaj jego kości leżą tam, ledwie przykryte piaskiem i suchą trawą aragońskiej pustyni, a wiatr wypełnia te kości ziemią, i tylko żebra nie dają się niczym napęcznieć, te żebra wyglądające jak wypukła klatka, w której kiedyś były różowe płuca pełne dziur i robaczków. Tak, żebra z pewnością sterczą na zewnątrz, wszystkie prócz jednego, tego, z którego zrobiono mnie; a kiedy zostałam już zrobiona z tego żebra, zerwałam błękitny kwiatek i obrywałam mu

płatki, które spadały na ziemię tak jak ziarnka kukurydzy... I wszystkie kwiaty były błękitne, koloru wody, może morskiej, może rzecznej, może źródlanej, a wszystkie liście na wszystkich drzewach były zielone jak ten wąż, z jabłkiem w pyszczku. A kiedy zrywałam kwiat i obrywałam z niego płatki, Adam uderzył mnie po rękę: nie rób tego! A wąż nawet się nie roześmiał, bo nie mógł wypuścić z pyska jabłka, i tylko pełzył za mną ukradkiem...

Więc wracałam do łóżka, gasiłam światło w kuchni, tamten wóz już dawno przejechał, a teraz nadjeżdżały inne i ciężarówki, jadące w kierunku Rynku...

Czasem monotonny łoskot tych kół usypiał mnie znowu.

ROZDZIAŁ XLIV

Jakiś młody człowiek chce z tobą mówić – powiedział Antoni, wchodząc do salonu. Rosa prasowała, a ja siedziałam na sofie, tej w pokrowcu. Antoni dodał, że chłopiec zaczął mu coś mówić, ale go prosił, by poczekał na mnie, bo nie jemu, a mnie powinien był to powiedzieć. Zaintrygował mnie. Powiedziałam Rosie, że zaraz wrócę – dobrze, proszę pani – i zaciekawiona poszłam do stołowego; w korytarzu Antoni rzucił jeszcze, że to najprzystojniejszy chłopak w całej naszej dzielnicy.

W jadalni, do której weszłam na miękkich nogach, zastałam właściciela narożnego baru. Kupił go ze dwa lata temu. Tak jak powiedział Antoni, był rzeczywiście bardzo przystojny. Włosy miał jak skrzydła kruka. I był miły. Gdy mnie zobaczył, zaczął od zapewnień, że jest staromodnie wychowany. Poprosiłam, go, by spoczął, i usiedliśmy oboje.

Antoni wyszedł, zostawiając nas samych, a młodzieniec przystąpił do rzeczy. Powiedział, że posiada jedną jedyną namiętność, a mianowicie pracę: że jest ogromnie pracowity. Że bar pozwala mu dobrze żyć, a nawet odkładać, mimo że czasy są raczej trudne, i że w przyszłym roku ma zamiar odkupić sąsiadującą z barem mydlarnię (pertraktacje już są w toku), aby powiększyć bar i zrobić salę do wynajmowania na przyjęcia. Że po tym powiększeniu będzie zarabiał dość, by w ciągu trzech lat kupić domek w Cadaques, gdzie mieszkają jego rodzice, bo gdyby się ożenił, chciałby, żeby jego żona mogła spędzać wakacje nad morzem, dla niego bowiem nie ma nic piękniejszego niż morze.

– Jestem synem bardzo kochających się ludzi, a w domu widziałem tylko radość i dobrobyt. I chciałbym, o ile bym się ożenił, aby moja żona mogła powiedzieć to, co całe życie powtarza moja matka: „Szczęśliwy dzień, w którym go spotkałam!”.

Słuchałam go, nie otwierając ust, bo wyrzucał słowa jak maszyna. Zastanawiałam się tylko, ku czemu dąży. Mówił, mówił i nagle umilkł, po czym dłuższą chwilę siedzieliśmy w zupełnym milczeniu. Kiedy cisza zaczynała być już zbyt męcząca, przerwałam ją sama.

– No więc słucham pana – powiedziałam.

No to wysłuchałam: Rita.

– Za każdym razem, kiedy ją widzę, mam uczucie, że patrzę na jakiś

egzotyczny kwiat. I przychodzę prosić panią...

Uchyliwszy koralikową zasłonę, zawołałam Antoniego, a gdy się zjawił i przystąpiłam do wyjaśniania mu, o co chodzi, kiwnął głową, że wie. Więc zwróciłam się do młodzieńca. Powiedziałam, że Rita nic mi jeszcze o tym nie mówiła, wobec czego muszę poczekać, aż się od niej dowiem, ale mi przerwał: „Proszę do mnie mówić Vicenę” – powiedział, i dodał, że Rita o niczym nie wie. Wtedy powiedziałam, że moim zdaniem, pierwsze, co powinien zrobić, to sam z nią pomówić, mając jednak na uwadze, że jest bardzo młoda. On na to, że jemu to nic nie szkodzi, że jeżeli będzie trzeba czekać – poczeka, że jeżeli o niego chodzi, to gotów jest żenić się nawet i dziś, ale że – jak rzekł – jest staromodnie wychowany i sam nie ośmieli się z nią mówić, więc prosi, żebyśmy porozumieli się z nią i zobaczyli, co nam powie. „Jeżeli państwo chcą, proszę zebrać o mnie informacje”. Powiedziałam, że z nią pomówię, ale wiem, że jest przekorna, i możliwe, że ta rozmowa nic nie da. Jak powiedziałam, tak zrobiłam. Gdy Rita wróciła do domu, powiedziałam jej, że młody człowiek z baru przyszedł prosić mnie o jej rękę. Zamiast odpowiedzi tylko popatrzyła na mnie i poszła do siebie odłożyć książki, a potem do kuchni umyć ręce, a gdy wróciła, powiedziała:

– A ty wyobrażasz sobie, że ja mam ochotę zostać żoną szynkarza z rogu?

Usiadła w stołowym, jednym ruchem odrzuciła włosy do tyłu, oczy jej się śmiały i nagle wybuchła takim śmiechem, że zupełnie odjęło jej mowę; dopiero po chwili wykrztusiła: „No, nie miejże takiej miny...”.

Zaraziła mnie tym śmiechem, tak że nie wiedząc z czego, ja także zaczęłam się śmiać i śmiałyśmy się tak głośno, że przyszedł Antoni, jedną ręką odsłonił firankę i wsuwając głowę do stołowego zapytał: „Co się stało?”. Widząc go w tej firance, znowu zaczęłyśmy się śmiać, w końcu Rita powiedziała mu, że to z tych bzdurnych oświadczyń, że ona wcale nie ma ochoty na żaden ślub, że chce poznać świat i ani myśli wychodzić za męża, i że nie, i że nie, i że możemy powiedzieć temu właścicielowi baru, żeby nie tracił czasu, bo ona ma co innego w głowie. Zapytała jeszcze: „Sam przyszedł się o mnie oświadczyć?”. Antoni potwierdził, a ona znowu w śmiech, aż się rozzłościłam, że dosyć, że nie ma w tym nic aż tak zabawnego, że porządny chłopak chce się z nią ożenić.

ROZDZIAŁ XLV

Antoni dał znać Vicençowi, żeby przyszedł; powiedziałam mu, że bardzo mi przykro, ale Rita o niczym nie chce słyszeć. Na co zapytał:

– A państwo by mnie chcieli?

Kiedy powiedzieliśmy mu, że tak, bardzo poważnie oświadczył:

– Więc Rita będzie moja.

Najpierw zasypał nas deszcz kwiatów, a potem przyszło zaproszenie na kolację do baru. Toni trzymał stronę Rity, twierdząc, że to wszystko mu się nie podoba, że Rita ma rację, że nie ma powodu wiązać się z jakimś restauratorem, jeżeli ją interesuje poznawanie świata. O ile restaurator szuka żony, w kraju jest dość dziewczyn, które z pewnością będą go sobie wyrywały.

Któregoś ranka, kręcąc się po jadalni, zobaczyłam Ritę stojącą koło wejścia do galerii, zwróconą twarzą do patio, a tyłem do mnie. Słońce rzucało jej cień na ziemię, a głowa pod światło mieniła się króciutkimi, wijącymi się włosami. Była szczupła, miała długie nogi. Pociągając czubkiem pantofla, rysowała na ziemi jakieś kreski.

Nagle zdałam sobie sprawę, że stoję dokładnie na cieniu jej głowy, a raczej, że cień jej głowy dotyka moich stóp. Robiło to takie wrażenie, jakby cień Rity był dźwignią, która w każdej chwili mogła mnie podnieść w górę, bo Rita i słońce z pewnością ważyły więcej niż jej cień wraz ze mną. Nagle z całym natężeniem uczułam przepływ czasu. Nie tego, który się mierzy chmurami, słońcem, deszczem czy też gwiazdami – ozdobą nocy, ani tego, który odmierza wiosny lub jesień, ani tego, który przystraja gałęzie w liście lub je z nich obrywa, ani tego, który kształtuje kielichy kwiatów, barwiąc je kolorami tęczy, lecz tego wewnętrznego, tego, który nosimy w sobie, tego, który poznaje się po tym, że nas zużywa, tego, który krąży i krąży wokół serca, który wreszcie każe sercu krążyć wraz z sobą, tego, który nas zmienia zarówno wewnątrz, jak i zewnątrz, powoli formując nas takimi, jakimi będziemy ostatniego dnia.

I podczas gdy Rita czubkiem pantofla rysowała kreski na ziemi, nagle zobaczyłam ją, jak z rączkami podniesionymi w górę biegła za Antonim wokół naszej jadalni i jak stawiała pierwsze kroczki, otoczona chmarą gołębi... Rita odwróciła się, zdziwiona, że stoję bez ruchu na progu stołowego, i wyszła przez

drzwiczki od patio, mówiąc, że zaraz wróci.

Wróciła więcej niż po półgodzinie z twarzą w wypiekach. Powiedziała, że wraca, od Vicenča, że się z nim pokłóciła, że powiedziała mu, że pierwsze, co powinien zrobić chłopak, który się chce żenić, to zdobyć dziewczynę, a nie mieć konszachty z jej rodziną, i że nie posyła się kwiatów, póki się nie wie, czy dana osoba ma na nie ochotę. Zapytałam, co jej odpowiedział; otóż odpowiedział jej, że jest bardzo zakochany i że jeżeli ona go nie zechce, likwiduje bar i wstępuje do klasztoru.

Poszliśmy na kolację do baru Vicenča. Rita miała niebieską sukienkę haftowaną w białe kropki, ale przez cały czas nie rozchmurzyła się ani nie tknęła niczego, co było do jedzenia. Twierdziła, że nie jest głodna. Kiedy po deserze kelner przestał się kręcić tam i na powrót po sali, Vicenč mruknął, ale tak jakby do siebie:

– Cóż, niektórzy mają szczęście u dziewczyn; ja – nie.

I tymi słowami ją zdobył. Nastąpiły zaręczyny; zaręczyny podobne do wojny. Z chwili na chwilę Rita mówiła, że wszystko zerwane i że nie chce wychodzić za męża ani za niego, ani za nikogo innego, zamykała się w swoim pokoju i wychodziła tylko do szkoły. Ledwie drzwi się za nią zamknęły i zdążyła wsiąść do autobusu, którego przystanek był naprzeciwko baru, zjawiał się Vicenč.

– Sam nie wiem... Czasem myślę, że mnie kocha, a o paru dniach już wydaje mi się, że nie. Dziś jest zadowolona, jak jej daję kwiaty, a jutro, jak jej daję inne, już ich nie chce przyjąć.

Antoni wchodził do stołowego, siadał, urywał swój kawałek mchu. Pocieszał Vicenča, że Rita jest bardzo młoda, dzieciak, a tamten mu odpowiadał, że wie i dlatego czeka, choć czasami już mu brak cierpliwości, bo z Ritą nigdy nie wiadomo, na jakim świecie się żyje. Na chwilę przed powrotem Rity uciekał. Czasem do naszych zebrań przyłączał się Toni, który widząc, że Vicenč rzeczywiście cierpi – sam smutniał. Powoli przeszedł na jego stronę i zaczął klócić się z Ritą, stając w jego obronie. „A jak już objedziesz cały świat, to co potem?” – mówił.

Kiedy mały rozmawiał z Antonim o sklepie, o tym, co należałoby kupić i w jaki sposób go prowadzić, często zostawiałam ich samych, szłam do stołowego i zabierałam się do porządków, nie słuchając ich. Ale któreś nocy doszło do mnie słowo „żołnierz” i zmartwiałam. Antoni mówił małemu, że na pewno udałoby się odsługiwać wojsko w Barcelonie, ale że trwałoby to o rok dłużej, a na to mały, że woli rok dłużej w Barcelonie niż o rok krócej u diabła na kuliczkach. I dodał, żeby

mu się Antoni nie dziwił, ale kiedy był dzieckiem i w czasie wojny nie było co jeść, spędził spory okres czasu poza domem i został mu jakiś bzik, jakiś uraz na ten temat, tylko chciałby siedzieć w domu, zawsze siedzieć w domu, jak kornik w drzewie. I że ten bzik nie minął mu i nigdy mu już nie minie.

Antoni zgodził się z nim, a potem przyszedł do mnie do stołowego i powiedział, że niedługo zobaczymy małego w mundurze.

ROZDZIAŁ XLVI

Rita ustaliła datę ślubu w obecności nas wszystkich, dodając, że robi to bo, dosyć ma już oglądania Vicenę w charakterze cierpiętника skarżącego się, odstawiającego ofiarę przed wszystkimi sąsiadami i robiącego z niej – bez słowa, tylko za pomocą wyrazu twarzy – jakiegoś demona. Dodała, że z opinią, którą jej zrobił, gdyby nie wyszła za niego – zostałaby starą panną, na co także nie ma najmniejszej ochoty. Skoro już nie zostanie stewardesą, to niech chociaż pójdzie od czasu do czasu z przystojnym facetem do teatru. A to już trzeba przyznać: Vicenę jest przystojny. Jedyne, co ją denerwuje, to że jest sąsiadem, że bar jest tuż koło domu. Spytaliśmy, co jej to przeszkadza; powiedziała, że nie umie tego wytłumaczyć, ale że w jakiś sposób mieć sąsiada za męża to trochę tak jakby jakiegoś kuzyna, i że jest w tym coś prozaicznego.

Z narzeczeństwa, które było właściwie powolnym przyzwyczajaniem się jednego do drugiego, przeszli wreszcie do normalnego narzeczeństwa poprzedzającego ślub. Dwa razy w tygodniu zaczęła przychodzić krawcowa i salon z kanapą w pokrowcu zamienił się w warsztat. Podczas gdy Rita wraz z krawcową siedziały po uszy w szyciu, wpadał Vicenę; na jego widok Rita robiła się nerwowa, mówiła, że gdyby nie był z sąsiedztwa, nie mógłby tak wpadać na przespiegi... a tak wszystko będzie wiedział przed czasem. Vicenę widział, co się z nią działo, ale nie był w stanie zrezygnować z tego przychodzenia, wkładał się więc do pokoju, jakby robił coś strasznego, i siedział zupełnie bez ruchu, a potem, jeżeli widział, że wszystkie pracujemy, cicho się wymykał. Zrezygnowałam z pomagania im w szyciu wyprawy, zostawiając to Ricie i krawcowej, bo widziałam, że i tak nie sprostam wymaganiom Rity (sama zresztą miałam już dosyć) i wróciłam do moich spacerów.

Ale w parku z kolei miałam dosyć tych wszystkich pań, które czekały na mnie codziennie jedna z twarzą smutniejszą od drugiej, tylko dlatego że kiedyś miałam gołębie; cała ta konieczność ciągłego mówienia o gołębiach i o wieży minęła mi jakoś.

Jeżeli czasem miałam ochotę o nich pomyśleć, wolałam być sama i myśleć tak, jak mi się zechce, bo czasem to myślenie smuciło mnie, a czasem przeciwnie, miałam nawet szczerą ochotę do śmiechu, kiedy sobie przypominałam, jak starałam się zabijać gołębie jeszcze w jajkach. Jeżeli było pochmurno i wychodząc

z domu, zabierałam parasol, a w parku znajdowałam pióro jakiegoś ptaka, nakłuwałam je na czubek parasola i zakopywałam jak najgłębiej w ziemi. A kiedy spotykałam jedną ze znajomych pań, która mnie zaczepiała: „No, nie siądzie pani?” – mówiłam, że nie, że nie wiem, jak to się dzieje, ale jak tylko siadam, cała wilgoć z liści włazi mi w plecy i w nocy nie przestaję kasłać... I zostawiałam je jakby nigdy nic, a sama szłam oglądać drzewa; wyobrażałam sobie, że żyją do góry nogami, że gałęzie są właśnie nogami, a głowa jest w ziemi, wraz z korzeniami, które są zębami. Krew też w drzewach krąży inaczej niż w ludziach: prosto, od głowy do nóg. Zaś wiatr i deszcze, i ptaszki łaskoczą je w nogi, takie zielone, gdy są młode, takie żółte, gdy się starzeją.

Wracałam zawsze z lekkim zawrotem głowy i natykałam się na salon o zapalonych światłach, na Ritę całą nasrożoną, na smutną krawcową i na Vicenę, który stał lub siedział. Czasem było już po jego wizycie. Antoni pytał, czy byłam na dalekim spacerze, a Toni zaglądał, aby zobaczyć, co się szyje dla Rity. Nieraz zastawałam ich pokłóconych, bo Toni wracał głodny z koszar, a Rita nie chciała nic mu przygotować do jedzenia, mówiąc, że straci czas i nie zdąży z wyprawą, a chce mieć wszystko gotowiusieńkie, żeby po ślubie nie musieć już zrobić ani jednego ściegu i żyć tylko po to, żeby się bawić. Czasami wszyscy jedli podwieczorek, dyskutując nie wiadomo o czym.

Wracałam, szłam zmienić pantofle, siadałam na sofie i podczas gdy oni gadali, miałam przed oczami liście, te żywe i te martwe, te, które z jękiem odrywały się z gałęzi, i te, które spadały, nie skarżąc się, zataczając koła, niby lekkie piórka gołębie, spadające gdzieś z bardzo wysoka.

ROZDZIAŁ XLVII

Nadszedł dzień ślubu. Padało całą noc, a w chwili wyjazdu do kości dosłownie lało jak z cebra. Rita była biało ubrana, tak jak chciałam, bo ślub jest tylko wtedy prawdziwym ślubem, kiedy panna młoda jest na biało. Równocześnie z weselem Rity wypadała rocznica naszego ślubu z Antonim. Seniora Enriqueta, która ostatnio zaczęła starzeć się bardzo gwałtownie, podarowała Ricie obraz z langustami: „Masz, jako dziecko nie mogłaś się mu napatrzeć...”. Antoni ofiarował jej sporą sumę pieniędzy jako posag, Vicenç podziękował mu za to, ale powiedział, że to nie ma żadnego znaczenia, bo ożeniłby się z Ritą, nawet gdyby nie miała centa, co Rita uzupełniła dowcipnie, że posag przyda jej się, kiedy się będą rozwodzili... w każdym razie, gdy wychodziła za mąż, miała absolutnie wszystko. Przyjęcie wydaliśmy w barze u Vicença, w tej sali do wynajmowania, bar był już bowiem od dość dawna powiększony dzięki kupnu mydlarni. Na ścianach wisiały girlandy z asparagusa przybrane różami z białej bibułki, bo prawdziwe róże już przekwitły. Do lamp poprzywiązywano wstążki, każda zakończona różą, poza tym poustawiano czerwone lampeczki, które zapalono, zanim nastał wieczór. Kelnerzy mieli tak wykrochmalone koszule, że dosłownie nie mogli się ruszyć. Rodzice Vicença zjechali z Cadaquez cali na czarno, w wyświeconych butach, a ja byłam w beżowej sukience, bo zarówno Vicenç, jak Antoni i oboje dzieci uparli się, żebym sobie zrobiła złotawą jedwabną sukienkę i włożyła naszyjnik z hodowanych pereł.

Vicenç, blady z emocji, że w końcu nadszedł ów dzień, o którego nadejściu już tylokrotnie wątpił, wyglądał, jakby wstał z grobu. Rita była zła, bo kiedy wychodzili z kościoła, zmoczyła sobie koniuszek ogona od sukni i kawałeczek welonu. Toni nie mógł być w kościele, a na wesele przyszedł w mundurze. Włączyliśmy wentylatory, od których drżały papierowe róże; Rita zaczęła tańce z Antonim, który ze wzruszenia zmiękł jak nadgniła brzoskwinia.

Rodzice Vicença, których dotąd nie znałam, powiedzieli, że jest dla nich niesłychaną przyjemnością poznanie mnie, na co odpowiedziałam im zupełnie to samo. Twierdzili, że Vicenç w listach stale tylko pisał o Ricie i o pani Natalii. Po chwili Rita zdjęła welon, który przeszkadzał jej tańczyć, i zaczęła naprawdę się bawić, śmiejąc się, odrzucając w tył głowę i unosząc sukienkę. Oczy jej błyszczały, a małe kropelki potu perlily się na górnej wardze. Kiedy tańczyła z Antonim,

seniora Enriqueta w kolczykach z fiołkowymi kamieniami zbliżyła się do mnie i mruknęła:

– Żeby Quimet mógł ją widzieć...

Po kolei wszyscy podchodzili do mnie, nawet ludzie, których zaledwie znałam, i pytali: „Jak się pani czuje, pani Natalio?”. A kiedy tańczyłam z żołnierzem – moim synem, z dłonią w jego dłoni, wydało mi się, że raz jeszcze kolumienka zrobiona z ułożonych jedna na drugiej kul pęka, więc puściłam jego rękę, a swoją ścisnęłam go mocno za szyję. „Co robisz?” – zapytał, a ja odpowiedziałam: „Duszę cię”. Pod koniec naszego tańca kolia zaczepiła mi się o jeden z jego wojskowych guzików i perły rozsypały się po ziemi, a zebrani rzucili się je zbierać, podając mi po jednej: proszę, proszę, proszę, pani Natalio, a ja wkładałam je do torebki, i jeszcze proszę... proszę...

Walca miałam zatańczyć z Antonim i wszyscy okrążyli nas kołem, bo przedtem Antoni poprosił Vicençę, żeby ogłosił, że dziś jest nasza rocznica ślubu. Rita podeszła, żeby mnie pocałować, i powiedziała, że od pierwszej chwili jak szalona zakochała się w Vicençie, ale nie chciała mu tego pokazać, i on ma nigdy nie dowiedzieć się, że ona jest w nim zakochana. Mówiąc, leciutko łaskotała mnie w policzek, na którym przez chwilę odczułam ciepło jej oddechu.


Zabawa miała się ku końcowi, nadchodził czas rozstania, wyszedł Toni, potem młoda para; przed wyjściem Rita porozdawała wszystkim kwiaty. W sali było gorąco, ale na dworze świeżo, czuło się koniec lata. Nie padało, ale ulice pachniały deszczem.

Wróciliśmy do domu z Antonim przez drzwiczki na patio. Rozebrałam się za parawanem, a Antoni powiedział, że każe mi nawlec perły na taką nitkę, co nigdy nie pęka, a potem przebrał się i poszedł do sklepu, bo miał robotę. Usiadłam na sofie na wprost konsoli. W lustrze konsoli widziałam kawałek mojej głowy i trochę włosów, a obok, niżej, po dwóch stronach, w kryształowych dzwoneczkach śpiące spokojnym snem, te nie wiedzieć ile lat liczące kwiateczki. Muszla stała na środku i niemalże słyszałam skargę morza w jej głuchym szumie. Pomyślałam, że może wtedy, kiedy nikt nie słucha, ten szum milknie i że jest to jedna z tych rzeczy, których nigdy się nie dowiemy: czy w morskiej muszli hałasują fale nawet wtedy, kiedy nikt nie przytyka do niej ucha. Wyjęłam perły z torebki i włożyłam do pudełeczka, ale zatrzymałam jedną i wrzuciłam do muszli. Niech dotrzymuje towarzystwa morzu.

Poszłam zapytać Antoniego, czy chciałby zjeść kolację; powiedział, że tylko napiłby się białej kawy. Ponieważ zapytałam z korytarza, wszedł do stołowego,

żeby mi odpowiedzieć, ale potem cofnął się do sklepu, a ja wróciłam na sofę z pokrowcem i siedziałam tam, aż się zrobiło ciemno i zapalono latarnie uliczne; trochę trupiego blasku, który na czerwonych kaflach odbijał się niby jakaś zjawą. Wzięłam muszlę i ostrożnie poruszyłam nią w prawo i lewo, żeby usłyszeć, jak przetacza się w niej perła. Muszla była różowa w białe plamy, ze szpiczastym końcem, w środku mieniącym się. Odłożyłam ją na zwykłe miejsce i pomyślałam, że jest kościołem, perła w jej wnętrzu jest ojcem Joanem, a jej szum – śpiewem aniołów, które znają tylko tę jedną piosenkę. Siedziałam na sofie tak długo, aż Antoni zapytał, co robię po ciemku, a ja powiedziałam, że nic. Zapytał, czy myślę o Ricie, więc przytaknęłam, chociaż wcale o niej nie myślałam. Usiadł koło mnie i powiedział, że powinniśmy się położyć, że jest półżywy, bo nie jest przyzwyczajony do noszenia kamizelki, więc powiedziałam, że ja też jestem zmęczona, i wstaliśmy, a ja poszłam zrobić mu kawę; „ale tylko pół filiżanki” – poprosił.

ROZDZIAŁ XLVIII

 budziłam się, gdy wrócił Toni, choć zazwyczaj, kiedy wracał późnie przechodził przez patio na palcach. Zaczęłam przekładać palce przez szydełkowe kwiaty, a od czasu do czasu pociągałam za listek. Jakiś mebel zaskrzypiał, może konsolka, może sofa, może komoda... Po ciemku migał mi przed oczami wirujący klosz białej spódniczki Rity ponad atlasowymi pantofelkami z brylantową klamrą. Płynęła noc. Szydełkowe róże miały w środku serduszka, kiedy raz jedno z nich podarło się, wylazł z niego półokrągły guziczek... seniora Natalia.

Wstałam. Toni nie domknął drzwi od balkonu, żeby nas nie budzić, więc poszłam je zamknąć. A kiedy już znalazłam się obok nich, wróciłam do sypialni, weszłam za parawan, ubrałam się po omacku i poszłam do kuchni, jak zawsze trzymając się ścian i boso. Dopiero świtało. Stałam za drzwiami sypialni małego i usłyszałam jego spokojny, głęboki oddech. Wróciłam do kuchni, żeby napić się wody, otworzyłam szufladę białego stolika nakrytego ceratą w kraty i wyjęłam nożyk do obierania kartofli z ostrym końcem. Ostrze tego nożyka jest zębate jak górski grzbiet... seniora Natalia. Ten, kto wymyślił taki nożyk, miał pomysłu, musiał dużo się nad tym zastanawiać przy stole, pod lampą, bo dawniej nie było takich nożyków i trzeba było wzywać szlifierza; ale może z winy tego wynalazcy szlifierze muszą teraz zmieniać zawód?... Może teraz już czym innym się zajmują biedni szlifierze, chociaż może i lepiej im się powodzi, może mogą nawet kupować motocykle i pędzić ulicami jak strzały z przerażonymi żonami na siodelkach? Bo wszystko jest takie samo: drogi i ulice, i przejścia, i domy, w które można się schować niby kornik w drzewo. Ściany i ściany. Kiedyś Quimet powiedział mi, że skaranie z tymi kornikami, a ja spytałam, jak one się urządzają, żeby oddychać, ciągle pchając się w głąb i w głąb, i że im głębiej się wepchną, tym trudniej im jest oddychać, a na to Quimet, że są przyzwyczajone do tego, żeby siedzieć nosem w drzewie i że im się taka robota podoba. Więc pomyślałam, że może szlifierze jednak mogą do dziś żyć ze swego zawodu, bo przecież są i inne noże, nie tylko w kuchniach, na koloniach i w przytułkach, gdzie się wyłącznie myśli o oszczędnościach, ale i te o dobrych ostrzach, które ostrzy się na oselkach. A kiedy o tym myślałam, narodziły się we mnie zapachy i smrody, goniące jedne za drugimi, ustępujące sobie miejsca, znikające

i powracające. I smród gołębi na tarasie, i zapach tarasu, kiedy nie było gołębi, i smród prania, który poznałam dopiero po ślubie, i zapach krwi, będący jakby zwiastowaniem zapachu śmierci, i siarkowa woń rac i fajerwerków owej nocy na Diamentowym Placu, i zapach papieru, jakim pachną papierowe kwiaty, i suchy zapach asparagusu, który opada i zaściela ziemię małymi igielkami, zielonymi listeczkami, opadniętymi z rośliny. I mocny zapach morza. I przetręłam ręką oczy. I zastanawiałam się, dlaczego smrody nazywamy smrodami, a zapachy zapachami, i czy nie można by nazwać smrodów zapachami, a zapachów smrodami, i wtedy poczułam zapach Antoniego, kiedy się budzi, a potem kiedy śpi. I powiedziałam Quimetowi, że może korniki nie pracują z zewnątrz do wewnątrz, tylko odwrotnie, i wystawiają głowę przez okrągłą dziurkę, myśląc o tym, co przeszkrobały. I zapach dzieci, gdy są małe, zapach śliny i mleka, słodkiego mleka, a potem skwaśniałego mleka. A seniora Enriqueta mówiła mi, że mamy wiele żyć połączonych jedne z drugimi, że dopiero czasem, nie zawsze, jakiś ślub albo śmierć dzieli je, a wtedy dopiero prawdziwe życie, wyzwolone z więzów innych małych żyć, może żyć tak jak powinno było zawsze, gdyby te małe, złe życia były je zostawiły w spokoju. Mówiła także, że te splątane życia biją się ze sobą i przez to cierpimy, ale nic o tym nie wiemy, tak jak nie wiemy nic o pracy serca ani o niepokojach kiszek... I zapach prześcieradeł wypełniony mną i Antonim, ten zapach zmęczonego płótna, które wyssało już zapach z człowieka, i zapach włosów na poduszce, i zapach wszystkich zagnieceń, które robią się w nogach łóżka, i zapach używanej bielizny, składanej nocą na krzesłach... I zapach ziarna, i kartofli, i kwasu azotowego w gąsiorze... Nóż miał rączkę z drewna, przymocowaną trzema gwoździkami o spłaszczonych główkach, aby nigdy nie można było jej oddzielić od ostrza. W rękę trzymałam pantofle, a kiedy wyszłam na patio wiedziona jakąś niewidzialną siłą, która mną oładnęła, przymknęłam balkon i oparłszy się o kolumnę, włożyłam je na nogi. Wydało mi się, że słyszę pierwszy samochód, gdzieś daleko jeszcze... Morelowe drzewko poruszyło liśćmi oświetlonymi blaskiem latarni i zobaczyłam umykające skrzydło ptaka. Zadrżały gałązki. Niebo było granatowe, a na nim, wysoko odcinały się dachy dwóch wysokich domów po drugiej stronie ulicy.

Wydało mi się, że wszystko, co robię, już kiedyś robiłam, ale nie wiedziałam, ani gdzie, ani kiedy, tak jakby to wszystko było zasiane i zakorzenione w jakimś niepamiętnym czasie... Dotknęłam twarzy, była to moja twarz, moja skóra, mój nos, mój kształt policzka, ale chociaż to byłam ja i wszystko, co widziałam, było żywe, było to jakby za mgłą: jakby spadły na to całe chmury kurzu. Przed targiem,

poniżej „Domu Cerat”, skręciłam w Calle Mayor i szłam sobie po chodniku z płyty na płytę, aż doszłam do brzegu i tam stanęłam, sztywna jak kij, a w środku jakiś wicher wznosił mi się od serca do głowy. Przejechał tramwaj, musiał to być pierwszy, który wyjechał z remizy, taki jak zawsze, jak wszystkie inne, wyblakły i stary. Może to on właśnie widział mnie kiedyś, jak biegłam, uciekając przed Quimetem, gdy jak wariaci wyskoczyliśmy z Diamentowego Placu. Poczułam dziwny węzeł w gardle, jakby mi utknęło ziarnko grochu, zrobiło mi się niedobrze, zamknęłam oczy, dopiero powiew przejeżdżającego tramwaju ocucił mnie, więc poszłam dalej, jakbym chciała uciec od życia. Przy pierwszych krokach jeszcze widziałam tramwaj, odjeżdżał, krzesząc czerwone i żółte iskry pomiędzy kołami a szynami.

Czułam się tak, jakbym stała nad przepaścią, nie widziałam nic, miałam wrażenie, że tonę, przeszłam ulicę ściskając mocno nóż i nie widząc błękitnych świateł. Po drugiej stronie odwróciłam się i spojrzałam jakby zarazem oczami i duszą: niemożliwe, więc jednak przeszłam! Zachciało mi się iść śladami mego dawnego życia, poszłam więc do poprzedniego mego domu, do tamtej ściany na wprost balkonu. Był zamknięty. Spojrzałam w górę i wydało mi się, że widzę Quimeta: stoi na środku jakiegoś pola niedaleko morza – ja jestem w ciąży z Antonim – podaje mi niebieski kwiatek, a potem pęka ze mnie ze śmiechu.

Miałam ochotę wejść po schodach, przejść koło wag i dotknąć ich, a potem wyżej, do mego mieszkania, na mój taras... Wiele lat temu weszłam przez te drzwi jako żona Quimeta, wyszłam przez nie wraz z dziećmi na ślub z Antonim. Nie była to ładna ulica ani dom nie był ładny, tyle że bruk niezły, zarówno dla koni, jak i dla aut. Latarnia stała dość daleko, drzwi były w cieniu. Zaczęłam szukać we drzwiach tej dziurki ponad zamkiem, którą wywiercił Quimet, i znalazłam ją natychmiast, była rzeczywiście akurat nad zamkiem, zatknięta korkiem. Więc wzięłam nóż i czubkiem zaczęłam wykruszać korek po kawałeczku. Wreszcie wydłubałam cały korek i wtedy dopiero zrozumiałam, że i tak nie wejdem, bo nie mogę schwycić sznurka palcami, aby otworzyć drzwi. Musiałabym mieć, tak jak wtedy, zakrzywiony kawałek drutu. Nagle zachciało mi się walić pięściami w te drzwi, ale złąkałam się, że zrobiłoby to za dużo hałasu, więc zaczęłam walić w ścianę i rozbiłam sobie pięść. Stanęłam tyłem do drzwi, żeby odpocząć: już dniało. Jeszcze raz odwróciłam się do drzwi, czubkiem noża, drukowanymi literami, wyskrobałam głęboko „Colometa” i poszłam, ale to było tak, jakby ściany mnie niosły, a nie nogi, aż na Diamentowy Plac, podobny starej skrzynce, której bokami są domy, a wiekiem niebo.

Na środku tego wieku fruwały jakieś małe cienie, a domy chwiały się, jakby stały w wodzie, którą ktoś porusza powoli, powoli, ściany domów zaczęły się wydłużać, pochylać, jedno na drugie, dziura wieka robiła się coraz mniejsza, niby lejek, poczułam jakąś rękę w mojej ręce, to była ręka Mateu; na jego ramieniu usiadł gołąb pawik, ale nigdy nie widziałam takiego: piórka miał mieniące, a ja czułam jakiś kołujący wiatr dmący po leju już niemalże zamkniętym i zasłaniając rękami twarz, żeby się jakoś uratować, wydałam nieludzki krzyk, krzyk, który musiał być we mnie od bardzo dawna, a wraz z tym krzykiem, który ledwie przeszedł przez moje gardło, tak było ściśnięte, wyskoczyło mi z ust jeszcze coś, jakaś odrobina, jakieś nic, niby odprysk śliny... Ta odrobina, która tyle czasu leżała zamknięta gdzieś we mnie, to nic – to była moja młodość, która uciekała wraz z tym krzykiem, o którym sama nie wiedziałam, czym był... opuszczeniem?

Ktoś dotknął mojego ramienia, obejrzałam się bez lęku i zobaczyłam starszego pana, który pytał mnie, czy nie jestem chora; nieopodal ktoś otwierał balkon: – Może niedobrze pani? – Właśnie podchodziła jakaś stara kobieta i mężczyzna; stanęli przede mną, a na balkonie zamigotał jakiś biały cień.

– Już mi przeszło – powiedziałam.

Ludzie nadchodzili, wraz ze światłem dnia napływało ich coraz więcej, a ja powtarzałam, że już nic mi nie jest, że już mi przeszło, że to było nerwowe, nic, głupstwo, nie ma o czym mówić. I zrobiłam w tył zwrot, a potem odwróciwszy się, zobaczyłam, że stary i stara nie ruszyli się z miejsca i nie spuszczały mnie z oka, w rodzącym się świetle dnia wydawali się jak z bajki. Dziękuję, dziękuję, dziękuję. Antoni całe lata nie mówił nic innego, tylko „dziękuję”, a ja nigdy nie podziękowałam mu za nic. Dziękuję...

Na brzegu chodnika Calle Mayor spojrzałam w lewo i w prawo, czy nie nadjeżdża tramwaj, i pędem przebiegłam przez jezdnię, a kiedy już się znalazłam po właściwej stronie, raz jeszcze odwróciłam się, żeby zobaczyć, czy nie przybiegła tu za mną ta odrobina, to nic, które doprowadziło mnie do takiej wariacji. Ale za mną nie było nikogo.

Przedmioty i domy miały już swoje normalne kolory; przez ulice prowadzące na targ wjeżdżały ciężarówki i samochody, a ludzie z rzeźni, w fartuchach powalanych krwią, wnosili na targ połówki cielaków. Kwiaciarki układały bukiety w żelaznych lejkach napełnionych wodą, chryzantemy wydawały gorzką woń – ul zaczynał żyć. Weszłam w moją ulicę, przechodząc, patrzyłam na szerokie bramy, w których od lat sprzedawcy brzoskwiń, gruszek i śliwek na starych wagach wazyli przy pomocy mosiężnych i żelaznych odważników. Regulowali wagi,

przytrzymując haczyki szalek jednym palcem. Na ziemi wałała się słoma, wióry i brudne bibułki. Nie, dziękuję. I krzyk ostatnich ptaków wysoko na niebie – tych, które same drżąc, uciekają prosto w drżący lazur. Stałam koło kraty, pod galeriami, ułożonymi jedne nad drugimi niby nisze jakiegoś dziwnego cmentarza, pełnego żaluzji podnoszących się przy pomocy sznurka, zielonych, pozaczepianych, u góry lub poodczepianych u dołu. Na drutach wisiała bielizna, a od czasu do czasu raziła oczy jakaś kolorowa plama: kwiat geranium w glinianej donicy. Weszłam na patio; marny promyk słońca plamił liście morelowego drzewka. Z nosem spleśzczonym o balkonową szybę Antoni wypatrywał mnie. A ja, umyślnie szłam krok za krokiem, najpierw jedną nogą, potem drugą, jedna i druga, nogi zaledwie mnie niosły, a były to spracowane nogi, które wiele się nachodziły i które – gdybym umarła – Rita prawdopodobnie związałyby drutem, żeby leżały równo jedna koło drugiej.

Antoni otworzył balkon i drżącym głosem zawołał: – Co ci się stało? – i dodał, że od długiej chwili już był niespokojny, bo zbudził się nagle, jakby ktoś chciał go uprzedzić o jakimś nieszczęściu, i nie znalazł mnie ani koło siebie, ani nigdzie indziej. Powiedziałam, że mi marzną nogi i że się przebudziłam, jak jeszcze była noc, i nie mogłam już zasnąć, i że potrzebowałam powietrza, bo miałam uczucie, że coś mnie dusi... Bez słowa wrócił do łóżka.

– Może jeszcze moglibyśmy pospać – powiedziałam, patrząc na jego kark, trochę zbyt zarośnięty, na uszy białe i smutne, te uszy, które zawsze białły mu, gdy zmarł. Odłożyłam nóż na konsolę i zaczęłam się rozbierać. Ale przedtem zamknęłam okiennice – przez szparę wchodziło słoneczne światło – podeszłam do łóżka i zdjęłam pantofle. Materac skrzypnął z lekka, bo już był stary i od dawna powinniśmy byli zmienić mu sprężyny, ściągnęłam pończochy, jakbym ściągała z siebie za długą skórę, włożyłam nocne pantofle i zdałam sobie sprawę, że jestem okropnie przemarznięta. Włożyłam koszulę wyblakłą od długiego prania, zapięłam guziki od dołu aż do kołnierzyka, nawet zapięłam mankiety, potem obciągnęłam ją, żeby sięgała do samych stóp, wlałam do łóżka i otuliłam się. Łóżko było ciepłe jak brzusek wróbla, ale Antoni drżał. Słyszałam, jak mu szcękają zęby górne o dolne, a dolne o górne. Leżał tyłem do mnie, więc podłożyłam mu rękę pod ramię i pocałowałam go. Ale ciągle było mu zimno... Zaplotłam nogi o jego nogi, a stopy o stopy, opuściłam rękę, odwiązałam pasek, żeby mógł lepiej oddychać. Przykleiłam mu twarz do pleców i poczułam, jak żyje to wszystko w nim, co jest przeciw nim: najpierw serce, a potem płuca i wątroba, wszystko w osoczu i krwi. Głaskałam go powoli po brzuchu, mojego kochanego,

biednego, z twarzą wciąż przytuloną do jego pleców pomyślałam, że nie chciałabym, żeby umarł, nigdy, nigdy, i chciałam powiedzieć mu to, co myślę, i że myślę więcej nawet, niż umiem powiedzieć, ale nie powiedziałam nic, nogi powoli mi się ogrzewały i tak zasnęliśmy, ale jeszcze przedtem, kiedy go głaskałam po brzuchu, natrafiłam na pępek i zatknęłam go palcem, tak jakby nawet tamtędy Antoni mógł mi umknąć. Och, żeby mi nie umknął, żeby nie wyszała go żadna zła wróżka i nie zostawiła mnie bez Antoniego... I tak zasnęliśmy, powoli, jak dwa aniołki, i on spał do ósmej, a ja przeszło do dwunastej!

Kiedy się obudziłam z tego kamiennego snu, z wysuszonymi wargami oraz z gorzkim smakiem w ustach, wreszcie opuszczając noc – a było już przecież południe – wstałam i powoli zaczęłam ubierać się, ciągle jakby nieobecna, z duszą ciągle jeszcze zamkniętą w skorupce snu. A kiedy wstałam, ścisnęłam rękami skronie: wiedziałam, że zrobiłam coś dziwnego, ale nie mogłam sobie przypomnieć co i czy w ogóle to zrobiłam, a jeżeli to zrobiłam, to nie wiedziałam, czy zrobiłam to przez sen, czy na jawie, więc poszłam umyć sobie twarz, żeby woda mnie jakoś orzeźwiła, napuściła kolorów na policzki, a światła w oczy... Nie warto było jeść śniadania, skoro było tak późno, wystarczyło wypić łyk wody, a żeby przestały palić mnie usta.

Woda była zimna i przypomniała mi, że poprzedniego dnia rano, dokładnie o godzinie ślubu, lało, i pomyślałam, że może kiedy dziś, tak jak zawsze, pójdę po południu do parku, natknę się na kałuże na ścieżkach i że w każdej kałuży, nawet najmniejszej, będzie odbijało się niebo, niebo, które od czasu do czasu zmąci skrzydłami ptak, spragniony ptak, który nie wiedząc o tym, będzie mącił niebo z wody... albo wiele małych krzykliwych ptaków, które będą zniżać się z drzew niby błyskawice, będą zanurzały się w kałużach, będą w nich kąpały swe nastroszone piórka i będą mieszały niebo i błoto, i dziobki, i skrzydła, szczęśliwe...

Genewa, luty–wrzesień 1960

SPIS TREŚCI:

Karta tytułowa
Karta redakcyjna
Dedykacja
Przedmowa
Rozdział I
Rozdział II
Rozdział III
Rozdział IV
Rozdział V
Rozdział VI
Rozdział VII
Rozdział VIII
Rozdział IX
Rozdział X
Rozdział XI
Rozdział XII
Rozdział XIII
Rozdział XIV
Rozdział XV
Rozdział XVI
Rozdział XVII
Rozdział XVIII
Rozdział XIX
Rozdział XX
Rozdział XXI
Rozdział XXII
Rozdział XXIII
Rozdział XXIV
Rozdział XXV
Rozdział XXVI
Rozdział XXVII
Rozdział XXVIII

Rozdział XXIX
Rozdział XXX
Rozdział XXXI
Rozdział XXXII
Rozdział XXXIII
Rozdział XXXIV
Rozdział XXXV
Rozdział XXXVI
Rozdział XXXVII
Rozdział XXXVIII
Rozdział XXXIX
Rozdział XL
Rozdział XLI
Rozdział XLII
Rozdział XLIII
Rozdział XLIV
Rozdział XLV
Rozdział XLVI
Rozdział XLVII
Rozdział XLVIII